

Upiorny Jaś
i biblia snów

Sylvia Plath



zyski s-ka wydawnictwo

**Upiorny Jaś
i biblia snów**

Sylvia Plath

Tłumaczyli
Tomasz Bieroń
Marek Obarski
Teresa Truszkowska

zysk i s-ka wydawnictwo

Wstęp

do wydania angielskiego

Sylvia Plath napisała dość pokaźną ilość prozy. Zachowało się około siedemdziesięciu opowiadań, w większości nie opublikowanych. Zaczęła kilka powieści, lecz z okresu przed *Szklanym kloszem* pozostał tylko jeden większy fragment – *Stone Boy with Dolphin*. Po *Szklanym kloszu* napisała mniej więcej 130 stron kolejnej powieści, zatytułowanej prowizorycznie *Double Exposure*, lecz około 1970 roku maszynopis zagiął.

Oprócz beletrystyki dość regularnie prowadziła coś w rodzaju dziennika – niekiedy w dużych zeszytach w twardej oprawie, niekiedy na luźnych kartkach pisanych na maszynie, niekiedy w małych notesach, z których wrywała te kartki, które chciała zachować. (Pozostałą część notesu wypełniały szkice wierszy itd.). Prowadząc dziennik, powodowała się różnymi motywami. Pisane ręcznie fragmenty w notesie były zazwyczaj formą samooskarżenia bądź też apelem, który miał ją pobudzić do wykonania czegoś. Po śmierci pisarki wśród jej papierów znaleziono około siedemnastu opowiadań, w tym teksty, które pragnęła zachować, jak również opowiadania powstałe w okresie ostatnich dwóch lat jej pobytu w Anglii.

Na pierwsze wydanie tej książki, opublikowane w 1977 roku, złożył się wybór spośród tych siedemnastu opowiadań, wraz z niektórymi utworami dziennikarskimi i fragmentami dziennika. Będąc redaktorem tomu, zmuszony byłem w tym okresie założyć, że albo zgubiła, albo zniszczyła jako nieudane wszystkie inne opowiadania, które, jak pamiętałem, napisała. Jednakże już w trakcie publikacji tego zbioru wyszło na jaw, że znaczną liczbę tekstów Sylwii Plath posiada biblioteka Uniwersytetu Indiana, która zakupiła je od pani Aurelii Plath, matki pisarki. Były wśród nich maszynopisy ponad pięćdziesięciu opowiadań – z okresu od jej pierwszych prób pisarskich aż po rok 1960, w większości jednak wczesne prace. Nie licząc duplikatów kilku opowiadań, które zachowała, były to teksty, których nie opublikowała i ostatecznie odrzuciła.

Niniejsze drugie wydanie zawiera trzynaście opowiadań z pierwszego, pięć ciekawszych artykułów prasowych, kilka fragmentów dziennika oraz, w części IV, dalsze dziewięć opowiadań z archiwum Uniwersytetu Indiana. Wszystkie teksty opatrzone przybliżoną datą powstania, na ile jest znana.

Sylvia Plath bez wątplenia odrzuciła kilka z zawartych tu opowiadań, a zatem publikowane są wbrew jej woli. Należy to wziąć pod uwagę. Mimo oczywistych usterek wydają się jednak wystarczająco ciekawe, choćby tylko jako ilustracje do jej wewnętrznej autobiografii. Niektóre z nich ukazują, jeszcze bardziej bez osłonek niż lepsze opowiadania, w jak wielkim stopniu obiektywne zdarzenia samą swą obecnością paraliżowały jej fantazję i inwencję twórczą. Tkwiąca w niej malarka martwych natur była wierna przedmiotom. Nic bardziej nie odświeżało jej wyobraźni niż wielogodzinne wpatrywanie się w jakąś chaotyczną stertę przedmiotów i pracowite wykreślanie zarysu każdego z nich. Była w tym jednak także bezradność. Nagi fakt zabijał w niej umiejętność i ochotę, by go zrekonstruować lub ujrzyć inaczej. To ograniczenie do autentycznych okoliczności, które stanowi więzienie znacznej części jej prozy, częściowo stało się przyczyną konkretności i prawdziwości jej późniejszych wierszy.

W 1960 roku popróbowowała swych sił w opowiadaniach dla bardziej sentymentalnych

angielskich pism kobiecych i zdołała tam osiągnąć większą swobodę wyobraźni. Jedno z tych opowiadań, *Day of Success*, zostało tu zamieszczone jako przykład prób pastiszu. Jednak nawet tutaj daje się odczuć, że nieustępliwa sytuacja obiektywna nie pozwala życiu wnikać w narrację.

Z drugiej strony niewątpliwą słabością gorszych spośród opowiadań jest to, że autorka nie pozwoliła sobie na wystarczający obiektywizm. Kiedy pragnęła tylko notować rzeczywistość, bez myśli o artystycznej obróbce i publikacji, powstawała proza, którą można zaliczyć do najlepszych w jej pisarstwie – to pojawia się w dziennikach¹.

Dziennik w dużym stopniu dotyczy ludzi, którzy jeszcze żyją, bądź też zawiera szczegóły, które były dla niej bardzo intymne. Trudno ustalić, ile z tego wolno opublikować. Jej opisy sąsiadów, znajomych i codziennych zdarzeń z reguły są zbyt osobiste, jej krytyczne uwagi często krzywdzące. Zostało wybranych kilka mniej szkodliwych fragmentów – wcale nie najlepszych – z późniejszego okresu, aby zilustrować, między innymi, bliski związek pomiędzy szczegółami, które zanotowała na tych stronach, a szczegółami, które zdołała później wykorzystać w wierszach. Tekst o Charliem Pollardzie jest luźnym szkicem prozą do *The Bee Meeting*. Warto zwrócić uwagę na chłód i oszczędność jej spostrzeżeń. Można tu jednak znaleźć niemal wszystkie istotne szczegóły z wiersza, zaczątki interpretacji i nastroju, a nawet narkotyczną melodię niektórych fraz. *Rose and Percy B.* to w istocie szkic do śmierci i pogrzebu w *Berck Plage*; kilka sformułowań z tego fragmentu pojawia się również w *Among the Narcissi*.

Przy lekturze tego wyboru opowiadań należy pamiętać, że renoma Sylvii Plath opiera się na wierszach z ostatnich sześciu miesięcy jej życia. Prawie cała proza powstała przed ukończeniem jej pierwszego tomiku wierszy, *The Colossus*, na trzy lata przed śmiercią.

Jedynie dzieła prozatorskie pisane równoległe z wierszami z tomiku *Ariel* to trzy krótkie utwory dziennikarskie, *America! America!*, *Snow Blitz* i *Ocean 1212-W*. Innymi słowy, niniejszy wybór nie reprezentuje prozy twórczyni *Ariela*, tak samo jak wiersze z tomiku *The Colossus* nie reprezentują poezji twórczyni *Ariela*. Pozwala jednak na wgląd we wczesne stadium dziwnego konfliktu pomiędzy tym, czego po niej oczekiwano i tym, co ostatecznie osiągnęła.

Winien jestem podziękowania bibliotece Uniwersytetu Indiana za życzliwą pomoc w penetrowaniu zawartości archiwum Sylvii Plath dla celów tego wyboru.

Ted Hughes

¹ Niniejsze wydanie polskie nie uwzględnia dzienników. Ukazą się one w tomie II utworów Sylvii Plath (przyp. red.).

Część I

Najbardziej popularne opowiadania i fragmenty prozy

Upiorny Jaś i biblia snów

Codziennie od dziewiątej rano aż do piątej po południu ślęczę w moim zacisznym gabinecie, przygarbiona przy biurku na wprost drzwi, przepisując na maszynie sny naszych pacjentów. Nie poprzestaję na samych snach, gdyż to nie wystarczyłoby moim przełożonym. Notuję również ich powszednie troski, skargi, żalosne utyskiwania na matkę czy ojca, wysłuchuję z taśmy nagranej przez lekarza opowieści o ich kłopotach z butelką, problemach łóżkowych, o wiecznym bólu głowy zatruwającym im życie, o nie kończących się zmartwieniach, które pojawiają się bez przyczyny i przemieniają beztroską wegetację w piekło. Tych dolegliwości nie można zdiagnozować próbą Wassermanna czy Wechslera-Belvuesa.

Możliwe, że malutka myszka dochodzi do wniosku, skoro tylko opuści pierwszy raz bezpieczną norkę, że światem władają olbrzymie stopy. Jednak ja sama, siedząc na krześle przy moim biurku i przepisując na maszynie ludzkie sny, myślę, że światem rządzi tylko jedna straszliwa potęga – upiorny strach o pysku psa, twarzy diabła, wiedźmy i kurwy, wszystkożerny lęk pozbawiony w ogóle twarzy, wyrażony wielkimi literami, wypisany w ciemności naszą krwią – ten sam Upiorny Jaś, który przeraża we śnie lub na jawie.

Zwykle, gdy ludzie pytają mnie, gdzie pracuję, odpowiadam, że zastępuję sekretarkę w jednej z przyszpitalnych przychodni w szpitalu miejskim. To brzmi tak przejrzysto i wyczerpująco, że nikt nie indaguje mnie o nic więcej, zadowolając się moim wyjaśnieniem, że zajmuję się przepisywaniem na maszynie wywiadów lekarzy z pacjentami. Jednak na własną rękę, w sekrecie przed lekarzami, by nie wywołać awantury, robię to, do czego czuję prawdziwe powołanie. Kiedy jestem zupełnie sama w moim jednopokojowym mieszkaniu, uważam się wyłącznie za sekretarkę Upiornego Jasia.

Poznając sny pacjentów, uczę się, jak stać się kimś niezwykłym, bardziej niezwykłym niż członkowie Towarzystwa Psychoanalitycznego – bezspornym znawcą snów – w żadnym razie nie burzycielką marzeń sennych czy interpretatorką snów, ani też eksploatatorem wykorzystującym ludzkie sny dla praktycznych, beznadziejnie głupich celów, który pragnie uzyskać dzięki przepowiedniom i wiedzy ze snów szczęście i zdrowie, ale jestem prawdziwą, niezbrukaną interesownością kolekcjonerką marzeń sennych i nocnych koszmarów, które zbieram jak nieznanne i piękne motyle, lub budzące trwogę ćmy. Jestem prawdziwą fanatyczką snów, żarliwą wyznawczynią Upiornego Jasia – stwórcy wszystkich snów, który przykrawa je na miarę naszych lęków.

Znam na pamięć wszystkie bez wyjątku sny, które zanotowano w naszej księdze sprawozdań lekarskich. Wszystkie też przepisałam w domu do *Biblii snów Upiornego Jasia*, wypełniając swoje prawdziwe powołanie.

Czasem w nocy wyjeżdżam windą na dach mojego bloku, zwykle około trzeciej nad ranem. Kiedy wpatruję się ponad konarami drzew rosnących na krańcu parku w mrugający neon reklamowy na wieżowcu United Fund, który gaśnie i zapala się znowu jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, dostrzegam tu i ówdzie w szczelinach między kamieniami i ceglami dziwne światło. Przede wszystkim odczuwam wszystkimi porami skóry, że miasto zapadło w sen. Śpi teraz i śni, rozciągnięte pomiędzy rzeką na zachodzie a oceanem na wschodzie jak pływająca wyspa, rozkołysana w pustej przestrzeni nocy.

Nawet wtedy, gdy jestem zdenerwowana i napięta jak struna skrzypiec, skoro niebo błękitnieje na wschodzie, ogarnia mnie niezwalczona senność. To myśl o ludziach pograżonych we śnie i o ich snach wywołuje tak przemożne znużenie, że zapadam w niespokojny sen.

Od poniedziałku do piątku nie robię nic innego, tylko przepisuję na maszynie wciąż te

same sny. Z pewnością nie uda mi się nigdy wpisać do mojej księgi wpływów wszystkich snów, które śnią się w naszym mieście. Jednak strona za stroną, sen za snem, uzupełniam szpitalną kolekcję, toteż wciąż grubieją poszczególne tomy biblioteki snów, zapełniając półki i gabloty w wąskim korytarzu – równoległym do głównego holu, przy którym mieści się tyle gabinetów lekarskich.

Rozpoznaję pacjentów według ich marzeń sennych. Jestem przekonana, że sny charakteryzują chorych lepiej niż imiona. Na przykład ten facet, który pracuje w fabryce łożysk kulkowych, śni każdej nocy, że leży na wznak, mając na piersi drobniuteńkie ziarenko piasku. Ziarenko rośnie wolniutko, aż olbrzymieje do wielkości domu, przygniatając śpiącego mężczyznę tak wielkim ciężarem, że nie może złapać tchu. Inny pacjent, którego znam z widzenia, opowiadał już wiele razy ten sam powtarzający się sen, jaki dręczy go od czasu, gdy uśpiono go eterem w dzieciństwie w czasie zabiegu wycinania migdałków. Od tamtego czasu śni mu się stale, że wpada pomiędzy rozpedzone koła w przędzalni bawełny i walczy o życie wśród straszliwej maszynerii. Jednak nie tylko jego prześladują koszmary senne tego rodzaju, choć jemu tak się wydaje. Wiele ludzi w dzisiejszych czasach miewa sny o tym, że pożerają ich lub miażdżą niebezpieczne maszyny. To zazwyczaj ludzie cierpiący na klaustrofobię, którzy boją się wejść do metra czy jechać windą.

Często mijam naszych pacjentów, kiedy wracam z lunchu w stołówce szpitalnej. Dyszą ciężko zmęczeni wspinaczką po zaśmieconych schodach na czwarte piętro, gdzie mieści się nasz oddział. Zastanawiam się, patrząc na zasapanych i wylęknionych pacjentów, o czym śnili ludzie, zanim wynaleziono łożyska kulkowe i przędzalnie bawełny.

Również sama miewam nieraz taki sen, który powtarza się stale. To mój jedyny sen – sen snów.

Śni mi się w tym śnie ogromne, na wpół przejrzyste jezioro, które przestrzeni się we wszystkich kierunkach. Jezioro jest tak niezmiernie wielkie, że nie sposób dojrzeć jego mglistych brzegów, o ile w ogóle ma brzegi. Ja sama unoszę się nad taflą wód, spoglądając w dół przez przezroczyste jak szkło dno kabiny helikoptera. Na dnie tego jeziora – tak niezmiernie głębokiego, że mogę tylko domyślać się czarnych potworów, kłębiących się i falujących w wodzie – mieszkają prawdziwe smoki, takie same przedpotopowe smoki, jakie żyły na ziemi, zanim ludzie znaleźli schronienie w jaskiniach i zaczęli opiekać mięso nad ogniskami, odkryli koło i stworzyli alfabet. Przymiotnik „olbrzymie” nie oddaje zupełnie ich potworności. Bestie z tego jeziora mają więcej zmarszczek na skórze niż sam Upiorny Jaś. Wiem, że gdybym śniła o nich zbyt często, moje własne stopy i ręce pofałdowałyby się tak samo jak straszliwe łapy smoków. Zwłaszcza, gdybym wpatrywała się w nie zbyt dokładnie.

W tym śnie słońce ma wielkość pomarańczy i jest mniej gorące, a ja mieszkam w Roxbury od czasu ostatniej epoki lodowcowej. Nie mam gdzie się podziać. Jestem skazana na ten wyściełany pokój, pierwszy pokój, który poznałam, gdzie wolno mi marzyć i unosić się, unosić się i śnić, dopóki nie znajdę się z powrotem pośród tych potwornych pierwotnych stworzeń, a wtedy nie muszę już dłużej śnić.

To właśnie ku temu jezioru ulatuje w nocy ludzka świadomość; strumienie i rynsztoki marzeń sennych spływają do tego wspólnego bezbrzeżnego rezerwuaru nocy. Moje jezioro snów nie przypomina w ogóle błękitnych, iskrzących się w blasku słońca źródeł wody pitnej, ogrodzonych drutem kolczastym, których strażnicy bogaczy strzegą tak bardzo zazdrośnie pośród sosnowych lasów jak diamentu „Hope”.

To prastara oczyszczalnia ścieków, która różni się tylko przejrzystą tonią od innych zastałych wód.

Woda w tym jeziorze cuchnie i paruje od snów, które nasiąkają od wieków. Jeśli wyobrazisz sobie, ile miejsca zabierają rekwizyty ze snów jednej osoby w jednym tylko mieście, a to miasto to zaledwie ukłucie szpilki na mapie świata, i pomnożysz tę przestrzeń przez liczbę nocy, które upłynęły od czasu, gdy małpoludy wyciosały pierwszy topór

kamienny, a potem straciły owłosienie i stały się ludźmi, zrozumiesz, co mam na myśli. Nie posiadam ścisłego umysłu matematyczki, toteż ból rozsada mi łepetynę, skoro tylko próbuję obliczyć liczbę snów, które ludzie śnią zaledwie przez jedną noc w samym stanie Massachusetts.

Dostrzegam wówczas taflę jeziora rojącą się od węży, ciał topielców wzdętych od gazów jak nadmuchiwane gumowe ryby, i płodów ludzkich, pływających w słojach w szpitalnym laboratorium – jak tyle już innych tajemniczych znaków od wszechmocnego Jam Jest.

Widzę w ciemności składy żelazne – noże rzeźnicze i kuchenne, noże do rozcinania papieru, pistony, zawory, dziadki do orzechów, wreszcie maski samochodów wypływające na powierzchnię wody ze szklanymi oczyma i wyszczerzonymi złowrogo zębiskami. Z głębi jeziora snów wyłaniają się również człowiek-pająk i pływonogi Marsjanin, i prymitywna żałobna maska twarzy ludzkiej, która wbrew wszystkim pierścieniom i ślubom, odwraca się, miłośnie szczerząc zęby do swej ostatniej kochanki.

Aż wstyd mi o tym mówić, ale najczęściej w tym galimatiasie kształtów pojawia się zwykła grudka brudu. Woda w jeziorze jest aż gęsta od tych błotnych pecynek, które przenikają wszędzie i wirują, jakby poruszała je jakaś osobliwa tajemnicza moc – wszechobecne, nieprzeniknione. Nieważne, jak nazwiemy tę niesamowitą toń – Jeziorem Nocnych Koszmarów lub Bagnem Szaleństwa, to tu spoczywają śpiący ludzie, miotając się w trwodze pośród przerażających rekwizytów ze swych najgorszych snów, w braterstwie nieznanym na jawie, choć każdy z nich uważa się po przebudzeniu za kogoś wyjątkowego i wynosi wzdorliwie ponad innych.

Właśnie taki jest mój sen. Nie ma go w żadnej historii choroby.

Harmonogram zajęć na naszym oddziale różni się ogromnie od tego, który obowiązuje w klinice dermatologicznej lub na onkologii. Inne oddziały są bardzo podobne do siebie, ale żadna klinika nie przypomina naszej. Lekarze nie stosują bolesnych zabiegów i nie ordynują kuracji farmakologicznej. Tu kuracja jest niewidzialna, a przeprowadza się ją w małych gabinetach, w których znajduje się jedynie biurko, dwa krzesła, okno i drewniane drzwi z matową szybą. To nadaje naszej metodzie leczenia pewną duchową czystość. Odnoszę wrażenie, że jestem uprzywilejowaną osobą z racji pełnionej przeze mnie funkcji młodszej sekretarki w Klinice Psychiatrycznej dla Dorosłych. Moją dumę potwierdzają zakusy lekarzy z innych oddziałów, którzy zajmują brutalnie nasze gabinety w niektóre dni tygodnia, co jest spowodowane chronicznym brakiem miejsca w całym zespole szpitalnym. Gmach szpitala jest bardzo stary i nie wystarcza w nim pomieszczeń, by zaspokoić bieżące potrzeby schorowanych mieszkańców miasta. Właśnie teraz, w dniach chaosu, szczególnie mocno zaznacza się różnica pomiędzy naszą kliniką a innymi oddziałami szpitalnymi.

Na przykład we wtorki i czwartki rano robimy punkcje lędźwiowe w jednym z naszych gabinetów. Jeśli jednak zdarzy się, że siostra zostawi przypadkiem drzwi otwarte, mogę zobaczyć fragment łóżka, na którym leży pacjent i jego nie domyte białe stopy o żółtych podeszwach, wystające spod prześcieradła. Wbrew wstrętowi, jaki wywołuje we mnie ten ohydny widok, nie mogę oderwać wzroku od bosych stóp. A chociaż piszę na maszynie, sprawdzam co sekundę, czy stopy tkwią sztywno na swoim miejscu. Można sobie wyobrazić, jak bardzo przeszkadza mi to w pracy. Często muszę przeczytać kilkakrotnie ten sam fragment pod pretekstem dokładnej korekty, ażeby zapamiętać sny, które przepisałam, słuchając taśmy nagranej przez lekarza.

Również w godzinach przedpołudniowych zakłócają nam spokój zabiegi pozbawionych wyobraźni lekarzy z kliniki neurologicznej, którzy stosują mniej subtelne metody. Korzystamy z tych pomieszczeń jedynie po południu, klinika jest bowiem czynna tylko rano. Wystarczy jednak już nachalna obecność rozwrzeszczanych pacjentów, śpiewających lub przekrzykujących się po włosku lub chińsku przez bite cztery godziny, by zapomnieć, co się mówiło przed chwilą.

Mimo tych wszystkich przeszkód, robię szybkie postępy. Obecnie nie przepisuję już tylko tego, co opisuje pacjent, mówiąc: „Miałem taki sen, panie doktorze”. Posunęłam się do tego, że odtwarzam sny, których nawet nie opisano, dopowiadam te, które zaledwie zarysowały się w pamięci pacjenta, ukryte jak statua pod czerwonym aksamitnym sukniem przed uroczystym odsłonięciem posągu.

Postaram się to wyjaśnić. Pewnego razu skierowano do nas podczas ostrego dyżuru kobietę z obrzmiałym językiem, który wysunęła na przyjęciu wydanym dla dwudziestu znajomych teściowej przybyłej z Quebecu, i nie mogła już go cofnąć z powrotem.

Jak się okazało, jej samej wydawało się, że język wystaje z jej ust wbrew jej własnej woli. Odczuwała ogromny wstyd z tego powodu. Jednak w rzeczywistości nienawidziła swojej teściowej z Kanady jak zarazy, więc podświadomie wyrażała swoim wysuniętym językiem to paskudne uczucie, choć w istocie nie zdawała sobie sprawy ze swojej nienawiści.

Pacjentka twierdziła, że nie miewa snów. Musiałam poprzestać tylko na gołych faktach, ale odkryłam w nich skrzętnie zamaskowaną obietnicę jakiegoś snu. Spróbowałam wykorzenić ten jeszcze nie znany sen z wygodnego gniazdowiska pod językiem.

Za każdym razem, gdy udaje mi się wydobyć jakiś sen z podziemi, ogromnym trudem, wyczerpującym do cna wysiłkiem, a bywa że i modlitwą, jestem pewna, że odkryję odcisk kciuka, złowrogi znak nieco w prawo od środka – bezcielesny uśmiech kota z Cheshire, zawieszony w powietrzu, który sygnalizuje, że to wszystko stanowi dzieło Upiornego Jasia, wyłączne dzieło jego przerażającego geniuszu. On jest przebiegły, wyrafinowany i gwałtowny jak piorun, ale nazbyt często zdradza się ze swoją tajemnicą.

On nie może po prostu oprzeć się melodramatowi – jednemu z tych najstarszych poruszających serce melodramatów.

Pamiętam jednego faceta, krzepkiego mężczyznę w czarnej skórzanej kurtce nabijanej ćwiekami, który przybiegł do nas prosto z meczu bokserskiego w hali sportowej Mechanics Hall, gdyż Upiorny Jaś deptał mu po piętach. Ten gość, choć był młodym, prostolinijnym człowiekiem i dobrym katolikiem, lękał się straszliwie śmierci. W istocie bał się potwornie, że pójdzie do piekła.

Pacjent pracował na akord w fabryczce świetlówek. Pamiętam dokładnie ten szczegół, gdyż wydało mi się to zabawne, że człowiek, który pracuje w zakładzie, w którym produkuje się lampy – tak bardzo lęka się ciemności po wyjściu stamtąd.

Upiorny Jaś nadaje mojej pracy wymiar poetycki, który rzadko występuje w innych zawodach. Z tego powodu jestem niezmiernie wdzięczna losowi.

Pamiętam również bardzo dobrze scenariusz snu, który opracowałam dla tego gościa; gotyckie wnętrza w klasztornych podziemiach, ciągnących się tak daleko, jak sięga wzrok – jak gdyby nie kończąca się perspektywa pomiędzy dwoma ogromnymi lustrami, a w niej filary i ściany zbudowane jedynie z ludzkich kości i czaszek. W każdej niszy leżało ciało. Był to Pałac Czasu, w którym ciała leżące u jego niewidzialnych wrót nie ostygły jeszcze, pośrodku wysokiej komnaty bezbarwne, w początkowym stadium rozkładu, a na samym końcu połyskiwały w białej futurystycznej poświacie nagie szkielety ludzkie. Jak sobie przypominam, oświetliłam całą scenę, by wydobyć każdy detal, jednak nie świecami, co narzucało się niemal samo, ale połyskującą jak lód martwą poświatą, która nadaje skórze zielony odcień, a rumieńcom na twarzy martwy, siny kolor.

Spytasz, w jaki sposób poznałam, że to był sen tego gościa w czarnej skórzanej kurtce. Właściwie nie wiem. Jednak wierzę, że to był właśnie jego sen i wkładałam więcej energii, łez i próśb w to przekonanie, niż w wyśnienie w ciemności samego snu.

Działamy oczywiście na niewielkim poletku. Dama z wysuniętym językiem i gość z hali sportowej to nasi najbardziej obłąkani pacjenci. Ludzie, którzy naprawdę dopłynęli na samo dno tego zamulonego jeziora. Przychodzą tylko raz i zwykle zabierają ich gdzie indziej, by poddać ich długotrwałej kuracji, gdyż nasza klinika przyjmuje pacjentów wyłącznie od

dziewiątej rano do piątej po południu przez pięć dni w tygodniu. Nawet ci pacjenci, którzy nie powinni pracować, czy wychodzić sami na ulicę, i jeszcze nawet nie przebyli połowy drogi do jeziora snów, bywają odsyłani do poradni w innym szpitalu, specjalizującym się w podobnych przypadkach, gdzie nigdy nie byłam.

Widziałam jednak sekretarkę tego oddziału. Sposób, w jaki paliła papierosy i piła kawę w szpitalnej kafeterii podczas przerwy śniadaniowej o godzinie dziesiątej tak mnie zbulwersował, że przejęta odrazą, nie chciałam już nigdy więcej usiąść obok tej wiedźmy. Ona ma śmieszne nazwisko. Nie pamiętam dokładnie jego brzmienia, ale jest naprawdę osobliwe – bodajże panna Milleravage. To jedno z tych kombinowanych nazwisk, które łączą w sobie dwa znaczenia – w tym przypadku jakby połączenie nazwy leku uspokajającego Miltowna i napadu szału. Takie nazwiska rzadko figurują w książce telefonicznej, choć wcale nie brzmią tak dziwnie jak nazwiska ze spisu, takie jak Hyman Diddlebockers albo Sasparilla Greenleafs. Zdarzyło mi się kiedyś, nieważne kiedy, że przeczytałam całą książkę telefoniczną i przekonałam się, zaspokajając swoją ciekawość, że naprawdę nie tak znowu wiele osób w naszym mieście nazywa się Smith.

Tak czy owak panna Milleravage jest potężną kobietą, choć wcale nie tęgą. Ma jednak mocne mięśnie i jest bardzo wysoka. Nosi szary kostium, który opina jej wielkie ciało jak mundur, chociaż szczegóły wykroju nie mają w sobie nic wojskowego. Jej twarz, masywną jak u wołu, pokrywa mnóstwo drobniutkich plamek, jakby moczyła się pod wodą przez pewien czas i do jej skóry przylgnęły malutkie algi, pozostawiając na jej cerze cętki tabaczkowego brązu i różnych odcieni zieleni. Te plamki są tym bardziej dostrzegalne, że skóra wokół nich jest niezwykle blada. Niekiedy zastanawiam się, czy panna Milleravage kiedykolwiek wystawia twarz na słońce. Nie zdziwiłabym się, gdyby od kołyski przebywała jedynie w sztucznie oświetlonych pomieszczeniach.

Byrna, sekretarka kliniki dla alkoholików, mieszczącej się po drugiej stronie korytarza, przedstawiła mnie pannie Milleravage, mówiąc, że ja „również byłam w Anglii”, co stanowiło z jej strony zagranie w rodzaju gambitu w rozgrywce szachowej.

Panna Milleravage wyrzuciła z siebie natychmiast, że spędziła najlepsze lata swojego życia w londyńskich szpitalach.

– Miałam przyjaciółkę – zabuczała swym dziwnym, jadowitym basem, nie zaszczycając mnie w ogóle spojrzeniem – która była pielęgniarzką u samego Barta. Próbowalam nawiązać z nią kontakt po wojnie, ale była już inna siostra oddziałowa, wszystko zmieniło się i nikt już nie słyszał o mojej przyjaciółce. Musiała zginąć wraz ze swoją przełożoną w gruzach w czasie nalotu.

Mówiła z wymuszonym uśmiechem na obojętnej twarzy.

Widziałam, jak studenci medycyny krajali kiedyś nieboszczyków, których zwłoki miały tak mało wspólnego z wyglądem ludzkim jak Moby Dick. Inni studenci rzucali w siebie dla zabawy wątrobami wybebeszonych truposzy. Słyszałam, jak lekarze żartowali z tego, że źle zszyciło po porodzie pewną kobietę na oddziale położniczym dla ubogich. Jednak nie chciałabym nigdy dowiedzieć się, jaki dowcip uważa za najlepszy w świecie panna Milleravage. Nie, dziękuję, obejdę się smakiem! Gdyby ktoś próbował wydrapać jej szpilką oczy, okazałoby się zapewne, że to najprawdziwszy kwarc, którego nie sposób porysować.

Mój szef ma również poczucie humoru, ale bardziej subtelne. Jest przy tym tak hojny jak święty Mikołaj w noc wigilijną.

Pracuję dla panny Taylor, kobiety w średnim wieku, która jest kierowniczką sekretariatu w naszej klinice od samego początku, od trzydziestu lat, a więc od roku, w którym się urodziłam. To trochę niesamowite, prawda? Panna Taylor zna wszystkich lekarzy, pacjentów i wszystkie nieaktualne formularze w rejestracji, wycofane karty choroby i system rozliczeniowy, który zamierzano wprowadzić niegdyś w naszym szpitalu. Panna Taylor planuje tak długo pracować w naszej klinice, dopóki nie pošlą jej na zieloną trawkę z

comiesięcznym przekazem głodowej emerytury. Nigdy nie spotkałam kobiety tak bardzo oddanej swej pracy. Panna Taylor ma taki sam stosunek do statystyki jak ja – do snów, i gdyby budynek polikliniki stanął w ogniu, ona ratowałaby księgi z danymi statystycznymi i zrzuciła je z okna strażakom na płachtę, nie dbając o własną skórę.

Świetnie radzę sobie z panną Taylor. Muszę tylko uważać, by nie dać się jej przyłapać na czytaniu dawnych opisów snów. W rzeczy samej mam na to mało czasu. W naszej klinice panuje większe ożywienie niż na giełdzie, biorąc pod uwagę to, że przebywa tu dwudziestu pięciu lekarzy, a oprócz nich wielu studentów medycyny, odbywających tu praktykę, jak również pacjenci i ich krewni oraz wizytatorzy z innych oddziałów, którzy przysyłają do nas swych pacjentów. Więc nawet, jeśli jestem sama, bo panna Taylor ma akurat przerwę na kawę lub lunch, rzadko udaje mi się zapisać coś więcej.

Ta wolna amerykanka szarpie mi nerwy, by powiedzieć prawdę. W dawnych księgach zapisano sny najciekawszych śniarzy, takich śniarzy, którzy pojawiają się w naszej klinice zaledwie raz czy dwa w ciągu całego roku, skierowani na badanie, po którym odsyła się ich gdzie indziej. Potrzebuję czasu, bardzo dużo czasu, by przepisać te wszystkie sny. Warunki, jakie mam w pracy, nie sprzyjają powolnemu doskonaleniu mojej sztuki. Istnieje duży element ryzyka w pracy, której zagraża aż tyle niebezpieczeństw, a przecież ja pragnę jedynie idealnego spokoju, jakiego potrzebuje prawdziwy koneser, który rozkoszuje się samym bukietem brandy, zanim jeszcze poczuje na języku smak szlachetnego trunku.

Zbyt często łapię się ostatnio na tym, że wyobrażam sobie, jaką to przyniosłoby mi ulgę, gdybym zdobyła się wreszcie, by przynieść do pracy wystarczająco pojemną teczkę, w której zmieściłaby się bez trudności jedna z tych grubych, oprawnych w niebieskie płótno ksiąg, które wypełniają opisy snów pacjentów. W czasie lunchu panny Taylor, w chwili spokoju, zanim lekarze i studenci wypełnią korytarze, by zabrać swych pacjentów, mogłabym po prostu wsunąć jedną z tych dawnych ksiąg sprzed dziesięciu czy piętnastu lat do przyniesionej teczki i schować ją pod biurkiem, czekając aż zegar wybije piątą godzinę.

Oczywiście, wszystkie podejrzane pakunki sprawdza portier przy wyjściu, a na dodatek w szpitalu pracują agenci ochrony, których dyrekcja zatrudniła w celu zapobieżenia licznym kradzieżom, jakie zdarzają się na terenie polikliniki. Ale przecież, na miłość boską, nie zamierzam wynieść maszyny do pisania ani heroiny z apteczki. Chciałabym tylko pożyczyć jedną z ksiąg na noc i z samego rana, zanim ktoś nadejdzie, wsunąć ją z powrotem na półkę. Jednak, gdyby schwytano mnie z księgą w teczce przy wyjściu, z pewnością wyrzucono by mnie z pracy, a tym samym straciłabym dostęp do wszystkich materiałów źródłowych.

Sama myśl o tym, że mogłabym usiąść wygodnie w moim mieszkaniu i wertować w spokoju księgę snów, choćbym nawet musiała poświęcić temu wiele bezsennych nocy, kusi mnie tak bardzo, że irytuje mnie wykradanie tych paru minut dziennie na pośpieszne przeglądanie snów w czasie półgodzinnej nieobecności panny Taylor na oddziale.

Szkopuł tkwi w tym, że nigdy nie mogę przewidzieć dokładnie, kiedy panna Taylor wróci do biura. Jest tak sumienna, że gdyby nie utykała na lewą stopę, skróciłaby z pewnością półgodzinną przerwę na lunch i dwudziestominutową na kawę. Głośny stukot jej kulawej nogi w korytarzu ostrzega mnie, że wraca do swojego pokoju. To znak dla mnie, bym wrzuciła szybko księgę, którą właśnie czytam, do szuflady, by wścibska panna Taylor niczego nie zauważyła. A kiedy wchodzi, udaję, że właśnie notuję jakiś numer telefonu, albo wyszukuję inne alibi. Denerwuje mnie jedynie to, że za narożnikiem znajduje się klinika chirurgiczna, zaraz naprzeciwko neurologicznej, toteż niekiedy podskakuję ze strachu, zwiedziona fałszywym alarmem, gdy w pobliżu rozlegają się nagle jakieś pośpieszne kroki, a ja myślę, zdjęta przerażeniem, że to panna Taylor wraca wcześniej do pracy.

W najbardziej ponure dni, kiedy udaje mi się wycisnąć zaledwie jeden jedyny sen ze starych ksiąg, a moje przepisywanie przypomina wysiłki mazgaja z college'u, który nie

potrafi zrozumieć przesłania „Camino Real”, czuję, jak Upiorny Jaś odwraca się ode mnie, kamienny jak Mount Everest, dalszy niż gwiazdozbiór Oriona, a motto wielkiej biblii snów – „Doskonały lęk oczyszcza duszę”, które wypowiadam spierzchniętymi z pragnienia wargami, ma smak popiołu i octu. Jestem wówczas niczym stoczony przez robaki pustelnik w krainie tuczonych świń, tak uradowanych dostatkiem kukurydzy w korycie, że nie widzą rzeźni miejskiej, do której je wiozą wielkimi lorami. Jestem jak prorok Jeremiasz, którego zjada wizja krainy szczęśliwości.

Co gorsza – dzień po dniu widzę, że psychiatrzy uczą się pilnie, jak odzyskać wyznawców Upiornego Jasia, nie przebierając w środkach – chytrymi wybiegami, podstępem, ale przede wszystkim rozmową, rozmową i rozmową. Ci zbieracze snów – kolekcjonerzy o rozwichrzonych brodach i głęboko osadzonych oczach, którzy w przeszłości zaczęli moje dzieło i ich dzisiejsi spadkobiercy w białych kitlach, którzy przyjmują pacjentów w gabinetach z sosnową boazerią i skórzanymi kozetkami – wciąż kolekcjonują sny, kierując się przyziemnymi celami: zdrowiem i pieniędzmi, pieniędzmi i zdrowiem. Aby jednak zostać rzeczywistym członkiem stowarzyszenia Upiornego Jasia, trzeba zapomnieć o śniącym i zapamiętać jedynie jego sen. Ten, który śni, stanowi tylko narzędzie w ręku wszechmocnego Stwórcy wszystkich snów. Tego ci „lekarze dusz” nigdy nie uczynią. Upiorny Jaś jest jak złoto ukryte głęboko w trzewiach, a oni próbują wydobyć go za pomocą duchowego sondowania żołądka.

Zastanówmy się nad tym, co zdarzyło się Harryemu Bilbo. Pan Bilbo przyszedł do naszej kliniki z ręką Upiornego Jasia na ramieniu, ciężką jak ołowiana trumna. Pacjent ten głosił interesującą teorię na temat brudu w świecie. Doszłam do wniosku, że odgrywa on pierwszoplanową rolę w *Biblii snów Upiornego Jasia*, w Trzeciej Księdze Lęku, rozdział dziewiąty „O brudzie, chorobie i powszechnym rozkładzie”.

Przyjaciel Harry'ego grał na trąbce w orkiestrze harcerskiej, kiedy byli jeszcze dziećmi. Harry Bilbo również grywał na trąbce swojego kolegi. Wiele lat później jego przyjaciel zachorował na raka i umarł. Potem, pewnego dnia, nie tak dawno temu, przyszedł do mieszkania Harry'ego lekarz onkolog, którego wezwano do staruszki matki i usiadł na krześle obok łóżka. Wychodząc, doktor podał chorej rękę i sam otworzył sobie drzwi. Od tego czasu Harry przestał grać na trąbce, siadać na krześle i witać się z ludźmi przez podanie ręki. Jego strachu, że zarazi się rakiem, nie zażegnali by nawet rzymscy kardynałowie, gdyby błogosławili go przez całą dobę. Jego matka musiała odtąd sama włączać telewizor, zakręcać krany i otwierać drzwi. Wkrótce przestał chodzić do pracy, ażeby nie zetknąć się z odchodami psów i plwocinami na ulicy, które najpierw przyczepiają się do podeszew butów, a potem brudzą ręce i podczas posiłku mogą niepostrzeżenie dostać się do ust, a wtedy nawet setka zdrowasiek nie zapobiegnie reakcji łańcuchowej.

Miarka przebrała się, kiedy Harry zaprzestał podnosić ciężary w sali gimnastycznej widząc, że jakiś kaleka ćwiczy tam z hantlami. Nigdy nie wiadomo, jakie zarazki taki kaleka może przenosić na skórze i pod paznokciami. Dzień i noc Harry Bilbo oddawał boską cześć Upiornemu Jasiowi – żarliwy jak kapłan pośród kadzielnic i sakramentów. Całe piękno należało do niego.

Cóż, ci partacze w białych kitlach namówili w końcu Harry'ego do włączania telewizora, kranów i otwierania szaf, drzwi frontowych i drzwi do barów. Pod koniec kuracji pacjent siadał już na krzesłach w kinie, na ławkach w parku, i codziennie podnosił ciężarki w sali gimnastycznej, mimo że jakiś kaleka korzystał z urządzenia do wiosłowania. Wreszcie uścisnął rękę dyrektorowi kliniki mówiąc, że „stał się innym człowiekiem”. Czyste widmowe światło lęku nie rozjaśniało już jego twarzy. Opuścił klinikę skazany na beznadziejnie szare życie, które lekarze zwykli nazywać zdrowiem i szczęściem.

Mniej więcej w tym czasie, gdy Harry Bilbo wrócił do zdrowia, w najgłębszych zakamarkach mojego mózgu zrodził się pewien pomysł. Nie mogłam o nim zapomnieć, tak

jak o tych bosych stopach widocznych z gabinetu, w którym wykonuje się punkcje łądzwiowe. Nurtowała mnie myśl, żeby przyspieszyć moją pracę, zostając w budynku na noc, skoro ja sama, w obawie przed przyłapaniem i utratą pracy, nigdy nie zdobędę się na to, by wypożyczyć rejestr snów do domu. Przecież czas naglił, a ja zaledwie napoczęłam niezgłębione zasoby szpitalne, a w trakcie krótkotrwałej nieobecności panny Taylor niewiele mogłam przeczytać. Prawie tyle co nic, w porównaniu z tym, co mogłabym przepisać w ciągu kilku nocy. Muszę przyspieszyć tempo pracy, by przeciwdziałać knowaniom tych przebiegłych lekarzy.

Tego samego dnia o piątej po południu, zanim zdałam sobie z tego sprawę, ubrałam się w płaszcz i pożegnałam z panną Taylor, która pozostaje zwykle kilka minut dłużej, by uporządkować wykazy, a potem drepcze do damskiej toalety, która wreszcie jest wolna.

Tymczasem ja wślizgnęłam się do ubikacji dla pacjentów. Zarygłowałam drzwi od środka i czekam. Trochę się boję, że jakaś sprzątaczką zapuka do drzwi, myśląc, że jakiś pacjent zmarł na sedesie. Splatam palce ze zdenerwowania. Po dwudziestu minutach drzwi sąsiedniej toalety otwierają się i ktoś wchodzi, kuśtykając jak kurczak z przetrąconą nóżką. Kiedy słyszę pełne rezygnacji westchnienie, które przybyła wydaje na widok swego odbicia w zaśnieżonym lustrze, jestem pewna, że to panna Taylor. Słyszę stukot przesuwanych przyborów toaletowych na brzegu umywalki, szum płynącej z kranu wody, skrzypienie grzebienia w posklejanych włosach, a potem drzwi zamykają się powoli za nią, ze skrzypieniem zawiasów.

Mam szczęście. Kiedy wyszłam z toalety o szóstej, na korytarzu nie paliły się już światła, a wielki hol na czwartym piętrze był pusty jak kościół w poniedziałek.

Mam własny klucz do naszego gabinetu. Rano przychodzę zawsze pierwsza do kliniki, więc nie mam problemu z otwarciem drzwi. Maszyny do pisania leżą w walizkach na biurkach, a kluczyki do nich na tarczach telefonów. Wszędzie panuje porządek.

Za oknem dogasa zimowy blask. Jednak przezornie nie zapalam lampy w obawie, by nie wypatrzył mnie jakiś lekarz o sokolim wzroku lub woźny w jednym ze szpitalnych budynków po drugiej stronie dziedzińca. Gabinet z księgami snów mieści się w pozbawionym okien korytarzu, z którego drzwi prowadzą do gabinetów lekarskich z oknami na dziedziniec. Upewniam się, czy drzwi wszystkich gabinetów są zamknięte. Potem włączam żółtawe światło w korytarzu, zakurzoną dwudziestopięciowatową żarówkę przy suficie. Jednak wolę to kiepskie oświetlenie niż ołtarz rozjaśniony blaskiem tysiąca świec. Nie pomyślałam jedynie o tym, by przynieść sandwicza. W szufladzie w moim biurku pozostało jabłko, którego nie zjadłam podczas lunchu. Jednak pozostawię je na później, gdy dopadnie mnie wilczy głód, około pierwszej w nocy. Ale teraz staram się o tym nie myśleć i wyciągam kieszonkowy notes. Każdego wieczoru po powrocie z pracy wydzieram z notesu kartki, które zapisałam w ciągu dnia i odkładam, by później przepisać je w moim świętym manuskrypcie. Tym sposobem zacieram wszystkie ślady, aby ktoś niepowołany, gdyby notes przypadkiem wpadł mu w ręce, nie zorientował się, na czym polega i jaki ma zasięg moje sekretne przedsięwzięcie.

Zaczynam systematycznie przepisywać, otwierając najdawniejszą księgę z najniższej półki. Jej niebieska okładka wyblakła zupełnie, a stronicie są wystrzępione i szerniały od kalki. Drzę od stóp do głów. W dniu, w którym przyszłam na świat i dostałam pierwszego klapsa, ta księga była czysta, jeszcze nie zapisana.

Kiedy zorganizuję na dobre całonocną pracę, zadbam również o to, by mieć zawsze gorącą zupę w termosie dla pokrzepienia ciała w zimową noc, pasztet z indyka na przekąskę i czekoladowe ptysie. Przyniosę także do pracy lokówki i cztery bluzki na zmianę, tak by w poniedziałek rano nikt nie spostrzegł, że wyglądam źle i nie zaczął podejrzewać, że zakochałam się nieszczęśliwie, sympatyzuję z czerwonymi, a może nawet pracuję nad księgami snów w szpitalu już przez cztery kolejne noce.

Po jedenastu godzinach nieprzerwanej pracy wgrzynam się wreszcie w jabłko, pozostawiając tylko pestki. Jestem w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku. Czytam o prywatnej pielęgniarce, która otworzyła torbę z bielizną z pralni w szafie swojej pacjentki i znalazła w niej pięć odrąbanych głów, włącznie z głową swojej matki.

Chłodne powietrze przyjemnie owiewa mi kark. Z miejsca, gdzie siedzę na podłodze przed gablotką, z ciężką księgą snów na kolanach, dostrzegam kącikiem oka, że przez drzwi gabinetu lekarskiego przesącza się nikła niebieska smuga światła. Widzę ją nie tylko na podłodze, ale również na framudze drzwi. Wydaje mi się to dziwne, gdyż zaraz na początku sprawdziłam, że wszystkie drzwi są zamknięte. Smuga niebieskiego światła poszerza się. Mój wzrok przykuwa widok pary nieruchomych butów na progu, skierowanych czubkiem w moją stronę.

Buty są brązowe, zagraniczne, na grubej podeszwie. Nad butami widać czarne jedwabne skarpetki, przez które prześwituje blada skóra czyichś nóg. Mogę zobaczyć jeszcze szare mankiety prążkowanych spodni.

– No, no, no... – beszta mnie niezmiernie łagodny głos, który dochodzi z podniebnych rejonów nad moją głową. – Co za niewiarygodna pozycja! Chyba już zdrętwiały pani nogi? Pomogę pani wstać. Niebawem już wszędzie słońce...

Dwie silne ręce podejmują mnie pod ramiona, a ja trzęsę się jak galareta, próbuję wstać, choć nogi naprawdę mi zdrętwiały. Księga snów spada z trzaskiem, zamiatając rozrzuconymi stronicami podłogę.

– Niech pani stoi spokojnie – jego skwaśniały oddech dolatuje falami do moich małżowin usznych – a powróci cyrkulacja w żyłach.

Krew w moich zdrętwiałych nogach zaczyna krążyć jak gdyby pod ukłuciem miliona igieł maszyny do szycia i postać dyrektora zostaje wytrawiona w moim mózgu. Nie muszę mu się szczególnie przyglądać, by zobaczyć tłusty brzuch opięty ciasno szarą kamizelką w prążki, poźółkłe zęby, wystające jak u świstaka, różnokolorowe oczy za grubymi szklami, ruchliwe jak piskorze.

Ściskam kurczowo mój notes – ostatnią pływającą belkę z „Titanica”

Ile on wie, ile on wie?

Wszystko.

– Wiem, gdzie można zjeść talerz smacznego gorącego rosołu z makaronem!

Jego głos przypomina szelest kurzu wymiatanego spod łóżka, szmer myszy w słomie. Z ojcowską miłością ujmuję mnie pod ramię. Księgę wszystkich snów, jakie wyśniło to miasto, w którym przyszłam na świat i wydałam pierwszy krzyk, wpycha pod oszkloną biblioteczkę błyszczącym czubkiem buta.

O świetle nie ma nikogo w ciemnym korytarzu. Również nie ma nikogo na zimnych kamiennych schodach, które prowadzą do podziemi szpitala, gdzie Billy, młody pomocnik archiwisty, nabił sobie potężnego guza pewnej nocy, kiedy wysłano go pilnie po jakiś dokument.

Zaczynam przeskakiwać po dwa stopnie, żeby dyrektor nie pomyślał, że musi mnie ciągnąć.

– Pan nie może wylać mnie z posady – mówię spokojnie. – Sama odejdę!

Słyszę gorzki śmiech dyrektora, który zdaje się wydobywać z jego zwiniętych jak miech akordeonu trzewi.

– Nie zamierzamy stracić pani tak szybko!

Jego szept pełźnie jak wąż wzdłuż pobielonych podziemnych przejść, odbijając się echem wśród rur, wózków dla pacjentów i noszy opartych o mokre od pary ściany.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo jej tutaj potrzebujemy.

Błądzimy, a może nawet kręcimy się w kółko, ale staram się dotrzymać mu kroku, aż dochodzimy przez odszczurzone tunele do czynnej przez całą noc windy, którą obsługuje

jednoręki Murzyn. Wchodzimy do niej. Drzwi windy zamykają się z głośnym zgrzytem jak drzwi ciężarówki do przewozu bydła. Winda wznosi się wciąż wyżej i wyżej. Okazuje się, że jedziemy odrapaną i brzęczącą windą towarową, która różni się zupełnie od wyściełanych pluszem dźwigów osobowych, do których przywykłam w budynku szpitalnym.

Wysiadamy na nieokreślonym piętrze. Dyrektor kliniki prowadzi mnie pustym korytarzem, oświetlonym w dużych odstępach żarówkami w drucianych kagańcach, zawieszonych na suficie. Po obu stronach korytarza jest mnóstwo zamkniętych drzwi z małymi oszklonymi wziernikami. Zamierzam uwolnić się od dyrektora przy pierwszym czerwonym napisie „Wyjście”, ale nie widzę żadnego po drodze. Przebywam na nie znanym mi, obcym terytorium. Mój płaszcz pozostał na wieszaku w gabinecie, a torebka z pieniędzmi w górnej szufladzie biurka. Jednak notes wciąż trzymam w ręku. Jedynie Upiorny Jaś może mnie rozgrzać w tej epoce lodowcowej, która nastąpiła na zewnątrz gmachu.

Światła przed nami rozbłyskują coraz jaśniej. Zasapany dyrektor kliniki, wyczerpany szybkim i długim marszem, do jakiego nie był przyzwyczajony, wpycha mnie do jasno oświetlonego pokoju.

– Oto ona!

– Mała czarownica!

Panna Milleravage podrywa swoje potężne cielsko zza stalowego biurka naprzeciwko drzwi.

Ściany i sufit w tej sali są pokryte nitowanymi metalowymi płytami jak okręt wojenny. Nie ma okien.

Z małych zakratowanych cel po bokach i w głębi sali wpatrują się we mnie najwyżsi kapłani Upiornego Jasia, z rękami związanymi z tyłu, w białych nocnych koszulach naszego oddziału. Oczy mają rozpalone głodem wiary, czerwieńsze niż rozżarzone węgielki.

Witają mnie niesamowitym pochrząkiwaniem i rechotaniem, jakby mieli zasupłane języki. Bez wątpienia usłyszeli o mojej pracy pocztą pantoflową i pragną dowiedzieć się, jak powodzi się apostołom Upiornego Jasia w świecie ludzi.

Uspokajam ich, podnosząc ręce, wciąż ściskając kurczowo notes, a mój głos huczy jak organy Upiornego Jasia.

– Spokój!... Przynoszę wam...

Księgę!

– Nie próbuj swoich sztuczek, słodziutka!

Panna Milleravage płąsa za swoim metalowym biurkiem jak wytresowany słoń z cyrku.

Dyrektor kliniki zamyka drzwi sali.

W chwili, kiedy panna Milleravage przesunęła się, zauważyłam, co tak skrzętnie zasłaniała za biurkiem – białe szpitalne łóżko, sięgające przeciętnemu mężczyźnie do pasa, z grubym materacem, przykrytym nieskazitelnie białym prześcieradłem, napiętym jak skóra bębna.

U wezłowia łóżka stoi stół, na którym leży metalowe pudełko z tarczami i wskaźnikami.

Wydaje mi się, że czarne pudełko hipnotyzuje mnie swoim okiem o pionowej źrenicy, które połyskuje wśród miedzianych zwojów żmii splecionej z elektrycznych przewodników. To najnowszy model zabójcy Upiornego Jasia.

Sposobię się, by uskoczyć w bok. Kiedy panna Milleravage wyciąga swoją pulchną rękę, jej palce zaciskają się jak szpony w powietrzu. Próbuje znowu, z ciężkim, lepkiem jak sierpniowy skwar, uśmiechem.

– To nie zda się na nic. Nie zda się na nic, bo i tak będę miała tę czarną książeczkę.

Mimo że skaczę jak fryga wokół wysokiego białego łóżka, panna Milleravage sunie za mną tak szybko, jakby ściagała mnie na wrotkach. Wyciąga błyskawicznie rękę i wydziera mi notes. Okładam pięściami jej grube cielsko i ogromne zwiędłe piersi, aż jej ręce zaciskają się na moich przegubach jak żelazne obręcze i jej oddech otula mnie trupim odorem miłości,

bardziej cuchnącym niż stęchła piwnica grabarza.

– Moja maleńka, moja maleńka, wróciła do mnie!

Dyrektor kliniki strofuje mnie ze smutkiem i surowością:

– Znowu spędzała czas w towarzystwie Upiornego Jasia!

– Niegrzeczna, niegrzeczna.

Białe łóżko jest już przygotowane. Panna Milleravage z niezwyklej delikatnością zdejmuje mi z rąk zegarek. Potem ściąga pierścionki z palców, wyciąga wsuwki z włosów, i rozbiera mnie. Kiedy jestem już naga, namaszcza mi skronie i opatula mnie białym prześcieradłem, dziewiczym jak śnieg.

Wtedy, z czterech kątów sali i przez drzwi z tyłu wchodzi pięciu fałszywych kapłanów w białych chirurgicznych kitlach i w maskach na twarzach, których jedyny cel stanowi strącenie z tronu Upiornego Jasia, jedynego Boga i władcy. Zamaskowani kapłani rozciągają mnie na wznak i wkładają mi na głowę drucianą koronę, a na mój język kładą opłatek zapomnienia. Oprawcy zajmują stanowiska i chwytają mnie – jeden za lewą nogę, drugi za prawą, jeden za prawe ramię, drugi za lewe. Jeden z kapłanów staje u wezgowia przy metalowym pudełku, którego nie widzę.

W wąskich niszach wzdłuż ściany czciciele protestują głośno i zaczynają śpiewać pobożny hymn:

Można umiłować tylko Strach.

Umiłowanie Strachu to początek mądrości.

Można umiłować jedynie Strach.

Niechaj Strach i Strach i Strach

Zapanuje wszędzie.

Panna Milleravage, dyrektor kliniki i kapłani nie zdążyli zaplastrować im ust.

Sygnal już dano.

Maszyna nie działa.

W chwili, gdy sądzę, że jestem już zgubiona, ukazuje się na suficie oblicze Upiornego Jasia w aureoli łukowych świateł. Trzęsę się jak liść w paszczy chwały, który rozrywają zębiska Upiornego Jasia. Jego brodę rozświetla błyskawica. W jego oczach migoczą błyskawice. Jego słowo rozświetla wszechświat i zsyła moc przeznaczenia.

Powietrze rozrywa się z łoskotem, kiedy wyłaniają się wokół sinojęzyczne anioły w aureolach błyskawic.

Jego miłość wyraża się skokiem z dwudziestego piętra, sznurem zadziergniętym wokół szyi samobójcy, ostrzem noża w sercu.

Jak sprawiedliwy orędownik On nie zapomina o swym wyznawcy.

Ameryko! Ameryko!

Chodziłam do szkół publicznych – autentycznie publicznych.

Wszyscy chodzili: pyskaci i nieśmiali, chudzielcy i tłuściochy, przyszyły elektronik, przyszyły glina, który miał pewnego wieczoru skopać cukrzyka na śmierć, bo wziął go za pijanego i chciał otrzeźwić; biedni, zalatujący stęchłą wełną i zasikany niemowlęciem w domu i wielojęzycznym gulaszem; bogatsi, z myszaty futrzanymi kołnierkami, pierścionkami z opalem od chrztu i zmotoryzowanymi tatusiami („A *twój* tata co robi?” „Mój nie robi, mój jest szoferem na ciężarówce”. Śmiech). Serwowali nam wykształcenie – za darmo dla całej bandy, wspaniałego odłamka pogrążonej w kryzysie ludności Ameryki. My oczywiście nie byliśmy pogrążeni w kryzysie. Zostawialiśmy to naszym rodzicom, którzy tyrali na jedno lub dwoje dzieci, a po pracy i lichej kolacji zasiadali apatycznie przy radiu, żeby posłuchać wieści z „ojczyzny” i przemówień wąsacza nazwiskiem Hitler.

Przede wszystkim naprawdę czuliśmy się Amerykanami w tym rozwichrzonym nadmorskim mieście, gdzie wessałam, niczym szarpie, pierwsze dziesięć klas wykształcenia – wielkie, hałaśliwe kłębowisko irlandzkich katolików, niemieckich Żydów, Szwedów, Murzynów, Włochów i to rzadkie, czyste pokłosie „Mayflowera”, ktoś o *angielskim* rodowodzie. Ten transport nieletnich obywateli miał zostać zaszczepiony doktrynami wolności i równości, poprzez bezpłatne szkoły publiczne. Chociaż mogliśmy prawie że nazywać się bostończykami (miejskie lotnisko z piękną lewitacją samolotów i srebrnych sterowców burczało i błyszczało zza zatoki), ikonami na ścianach naszych pokoi były nowojorskie drapacze chmur, Nowy Jork i wielka zielona królowa, dźwigająca do góry lampkę nocną, która wieściła nam wolność.

Co rano z ręką na sercu ślubowaliśmy wierność sztandarowi, który jak obrus na pionowej mense wisiał za biurkiem nauczyciela. Śpiewaliśmy pieśni, pełne armatniego dymu i szwoleżerki, na akrobatyczne, chwiejne melodie w wysokim diapazonie. Jedna wzniosła, piękna pieśń, „Szkarłatny majestat gór nad kwietną równiną”, zawsze wyciskała łzy z oczu tkwiącej we mnie mikroskopijnej poetce. W tych czasach nie odróżniłabym kwietnej równiny od majestatu gór, myliłam Boga z Jerzym Waszyngtonem (którego jagnięca, babciowata twarz promieniała ku nam ze ściany klasy spod białych frędzli), lecz mimo to ćwierkałam z moimi małymi, rozwydrzonymi rodakami:

*„Ameryko! Ameryko! Niech łaska Boża ci sprzyja
Od morza do morza niech chwała twoja nie przemija”.*

O morzu coś niecoś wiedzieliśmy. Zamykało prawie każdą ulicę, wierzgało, bryzgało i wyrzucało ze swego szarego bezkształtu porcelanowe talerze, drewniane małpy, eleganckie muszle i buty nieboszczyków. Mokre, słone wiatry bez końca czochrały nasze place zabaw – te gotyckie melanje żwiru, tłuczni, granitu i nagiej, wychłostanej ziemi, która uwzięła się, żeby zdzierać delikatną skórę z kolan. Tam wymienialiśmy się taliami kart (według deseni na koszulkach) i mrocznymi opowieściami, skakaliśmy na skakance, graliśmy w kulki i odgrywaliśmy dramaty z radia i komiksów („Któż wie, jakie zło czyha w sercach ludzi? Wie Ciebie – uhuu, uhuu!” albo „Tam na niebie, patrz! To ptak, to samolot, to Superman!”). Jeśli była nam pisana – przeznaczona, dana, itd. – jakaś szczególna przyszłość, wielka czy marna, nie czuliśmy tego. Promienieliśmy i wybiegaliśmy z ławek na boisko, otwarci i pełni nadziei, jak morze.

W końcu mogliśmy zostać kim zechcemy. Jeżeli będziemy się starać. Jeżeli będziemy

wkuwać. Nasz akcent, stan majątkowy, pochodzenie – to wszystko się nie liczyło. Czyż prawnicy nie rodzą się z łędźwi górników, a lekarze z kubłów śmieciarzy? Sposobem było wykształcenie. Bóg jeden wie, jak do nas przyszło. Na początku chyba niewidzialnie – jako mistyczny, podczerwony żar wygniecionych tabliczek mnożenia, upiornych wierszydeł opiewających uroki jasnoblękitnej październikowej pogody i świata historii, która mniej więcej zaczynała się i kończyła na bostońskim buncie herbacianym – Ojcowie Pielgrzymi i Indianie zaliczali się, jak stegozaur, do prehistorii.

Później miała nas ogarnąć obsesja college'u, perfidny, przerażający wirus. Każdy musiał iść do jakiegoś college'u. Do college'u zarządzania przemysłem, college'u stanowego, college'u dla sekretarek, college'u z Ligi Bluszczowej, college'u dla hodowców świń. Najpierw książki, potem praca. Gdy już wszyscy (łącznie z przyszłym gliną i elektronicznym geniuszem) poszliśmy do naszej dostatniej, powojennej szkoły średniej, pełnoetatowi pedagodzy szkolni z coraz większą częstotliwością wzywali nas do siebie, żeby omówić nasze motywacje, nadzieje, przedmioty szkolne, prace zarobkowe – i college'e. Znakomici nauczyciele posypali się jak meteory: nauczyciele biologii z ludzkim mózgiem w dłoni; nauczyciele angielskiego, którzy swym osobistym ideologicznym zapalem chcieli tchnąć w nas umiłowanie Tołstoja i Platona; nauczyciele wychowania plastycznego, którzy prowadzili nas przez slumsy Bostonu i z powrotem do sztalug, żebyśmy paćkali plakatówką szkoły publicznej ze świadomością społeczną i furią. Dziwactwa, przejawy *zbyt dużej* wyjątkowości, usiłowano nam wyperswadować, traktowano jak skałeczony palec.

Pani pedagog dla dziewcząt z miejsca postawiła diagnozę, co mi dolega. Jestem po prostu zbyt móżgowcem. Sznur nieskalanych żadnym minusem piątek może mnie sprowadzić na manowce. Potrzebne są odpowiednie zajęcia pozalekcyjne. College'e w coraz większym stopniu chcą wszechstronnie rozwiniętej osobowości. Przerobiłam już Machiavellego na lekcjach ze wstępu do politologii. Wiedziałam, co robić.

Pani pedagog, o czym nie wiedziałam, miała siwowłosą bliźniaczkę jednojajową, którą ciągle spotykałam w supermarketach i u dentysty. Też bliźniaczce zwierzałam się z coraz szerszego kręgu moich zajęć. Opowiadałam, jak jem pomarańcze w ćwierćfinałach dziewczęcych rozgrywek w koszykówkę (załapałam się do drużyny), maluję gigantyczne dekoracje na szkolne tańce, wyklejam o północy makietę szkolnej gazety, podczas gdy moja wyczerpana już współredaktorka czyta na głos dowcipy u spodu szpalt „New Yorkera” Nie zniechęcała mnie pozbawiona wyrazu, dziwnie obojętna mina bliźniaczki mojej pani pedagog ani też widoczna amnezja jej profesjonalnego sobowtóra w szkolnym gabinecie. Zostałam wściekłym nastoletnim pragmatykiem.

„Uzus jest prawdą, prawda uzusem”, mogłabym mruknąć do siebie, podwijając podkolanówki, żeby się kończyły na tej samej wysokości, co u koleżanek. Nie było mundurka szkolnego, a jednak był – fryzura na pazia, spódniczka i sweter, wszystko obowiązkowo czyste jak łąka, „meszty”, te zdarte kopie indiańskich mokasynów. W naszym demokratycznym gmachu pielęgnowaliśmy nawet dwa starożytne zabytki snobizmu – dwa kółka żeńskie: Subdeb i Sugar 'n' Spice. Na początku każdego roku szkolnego szły zaproszenia od starych członkiń do nowych dziewczyn – ładnych, lubianych, stanowiących jakąś konkurencję. Zanim zostały przez nas protekcjonalnie uznane za dostające do naszej hołubionej Normy, musiały przejść tygodniową inicjację. Nauczyciele pontyfikowali przeciwko Tygodniowi Inicjacji, chłopcy szydzili, ale nic nie pomagali.

Jak każdej nowicjuszce, przypisano mi Wielką Siostrę, która zaczęła systematycznie niszczyć moje ja. Przez cały tydzień nie mogłam używać makijażu, myć się, czesać włosów, przebierać się w inne ubranie i rozmawiać z chłopcami. O świcie szłam do domu mojej Wielkiej Siostry, żeby pościelić jej łóżko i zrobić śniadanie. Potem, prócz mych własnych taszcząc również jej potwornie ciężkie książki, szłam za nią do szkoły, w odległości psa na smyczy. Po drodze mogła mi kazać wejść na drzewo i zawisnąć z gałęzi, póki nie spadnę,

zadać przechodniowi jakieś chamskie pytanie albo pokręcić się koło zaplecza sklepu i wyżebrać zgniłe winogrona albo zapleśniały ryż. Jeśli się uśmiechnęłam – czyli okazałam, że traktuję me niewolnictwo choć odrobinę ironicznie – musiałam publicznie ukłęknąć na chodniku i przybrać odpowiednio cierpiętniczy wyraz twarzy. Od chwili, gdy dzwonił dzwonek na koniec lekcji, znów należałam do Wielkiej Siostry. O zmroku byłam obolała i cuchnąca; zadanie domowe brzęczało w otępiałym, otumanionym mózgu. Byłam przykrawana do OKAY IMAGE.

Jakoś się nie powiodła – ta inicjacja do zniżczenia we wspólnocie. Może byłam zbyt zdziwaczała. Co te wyselekcjonowane kwiatuszki amerykańskiej kobiecości robiły na zebraniach kółka żeńskiego? Jadły ciasto; jadły ciasto i pytowały o sobotniej randce. Przywilej bycia kim się zechce pokazywał swe drugie oblicze – presję bycia każdym; ergo, nikim.

Zajrzałam ostatnio przez szklaną ścianę do wnętrza amerykańskiej szkoły podstawowej: dziecięcej wielkości ławki i krzesła z czystego, jasnego drewna, zabawkowe piecyki i maleńkie kraniki z wodą do picia. Wszędzie słońce. Cały anarchizm, niewygodna i zażartość, które tak hołubiłam w pamięci, zostały przez ćwierć stulecia wyplewione. Jedna klasa spędziła całe rano w autobusie, ucząc się, jak płacić za bilet i prosić o zatrzymanie się na właściwym przystanku. Czytanie (myśmy się tego nauczyli w wieku czterech lat z pudełek po mydle) stało się taką traumatyczną i narowistą sztuką, że dzieci czuły się szczęśliwe, jeśli ją posiadały do dziesiątego roku życia. Lecz dzieci się uśmiechały w swym małym gronie. Czy błysk, który dostrzegłam w gablocie z pierwszą pomocą – to buteleczki z uśmierzczaczami i zrównywaczami dla zarodkowego buntownika, artysty, odmienca?

Dzień, w którym umarł pan Prescott

Dzień, w którym umarł stary pan Prescott, był słoneczny i gorący. Zajmowałyśmy razem z mamą boczne siedzenia w trzęsącym nami bez wytchnienia, rozklekotanym zielonym autobusie, jadącym do stacji metra do Devonshire Terrace. Czułam, jak pot spływa mi po plecach, a czarna bielizna mocno przykleja się do siedzenia. Za każdym moim poruszeniem odrywała się, trzeszcząc, jakby była rozdzierana, a ja rzucałam na mamę gniewne spojrzenia „a widzisz”, tak jakby to była jej wina, co było nieprawdą. Mama siedziała z rękoma złożonymi na podołku, podskakując i nic nie mówiąc. Wyglądała na pogodzoną z losem, to wszystko.

– Mamo – powiedziałam jej tego ranka po telefonie pani Mayfair – rozumiem, że idzie się na pogrzeb, chociaż ja nie lubię pogrzebów, tylko co to znaczy, że mamy siedzieć i czuwać wraz z nimi?

– Tak się robi, gdy umiera ktoś bliski – odpowiedziała rzeczowo mama. – Odwiedza się krewnych i czuwa wraz z nimi. To ciężkie chwile.

– Tak, to ciężkie chwile – rezonowałam. – Lecz cóż mogę zrobić, skoro nie widywałam Lizy i Bena Prescottów od czasów dzieciństwa. Było to chyba raz do roku w okresie Świąt Bożego Narodzenia, gdy rozdawano prezenty u pani Mayfair. Czy mam siedzieć z chusteczką do nosa?

Po wygłoszeniu przeze mnie tej uwagi mama wstała i trzepnęła mnie w twarz, czego nie robiła od czasu, gdy byłam małym, bardzo zuchwałym dzieckiem.

– Jedziesz ze mną – oświadczyła pełnym godności tonem oznaczającym stanowczo, że dość już głupstw.

W taki oto sposób znalazłam się w autobusie w najgorętszy dzień roku. Nie byłam pewna, jak należy się ubrać na czuwanie przy zmarłych, lecz doszłam do wniosku, że wypada być przyodzianą na czarno. Włożyłam więc bardzo elegancki komplet z czarnego lnu i mały kapelusz z woalką, strój, który noszę do biura, kiedy wybieram się na wieczorne przyjęcie, i byłam gotowa na wszystko.

Autobus pędził, a my mijałyśmy bardzo brzydkie dzielnice Wschodniego Bostonu, których nie widziałam od wczesnego dzieciństwa. Odkąd przeprowadziłyśmy się na wieś do ciotki Myry, nie wracałam już do swego rodzinnego miasta. Jediną rzeczą, której brak naprawdę odczuwałam, gdy się przeprowadziłam, był ocean. Nawet tamtego dnia, jadąc autobusem, złapałam się na tym, że wypatruję owego pierwszego skrawka błękitu.

– Spójrz, mamo, tam widać dawne wybrzeże – powiedziałam, wskazując je ręką.

Mama spojrzała i uśmiechnęła się.

– Tak jest. – Po czym zwróciła ku mnie nagle spoważniałą twarz. – Chcę być dzisiaj dumna z ciebie. Jeśli już musisz coś powiedzieć, to mów, ale rób to grzecznie. Żadnych głupstw o paleniu ludzi jak pieczonych świń. To nie wypada.

– Och, mamo – odpowiedziałam z wielkim znużeniem. Zawsze starałam się tłumaczyć. – Czyż nie wiesz, że mam na to za dużo rozsądku. Po prostu, ponieważ stary pan Prescott wiedział, że to nastąpi, i ponieważ nikt nie jest zmartwiony, nie myśl sobie, że nie będę uprzejma i nie zachowam się właściwie.

Wiedziałam, że to dotknie mamę.

– Co masz na myśli mówiąc, że nikt nie jest zmartwiony? – wyszczała do mnie, wpierw upewniwszy się, czy ludzie nie są zbyt blisko, by to usłyszeć. – Co masz na myśli, mówiąc coś tak niestosownego?

– Mamo – odpowiedziałam – wiesz, że pan Prescott był o dwadzieścia lat starszy od pani

Prescott, a ona czekała na jego śmierć, by się choć trochę zabawić. Po prostu czekała. Odkąd tylko mogę sięgnąć pamięcią, był zręcznym starym człowiekiem. Dla każdego miał tylko opryskliwe słowa i chronicznie cierpiał na tę skórną chorobę na rękach.

– To była udręka, na którą ten biedny człowiek nic nie mógł poradzić – powiedziała mama nabożnie. – Miał prawo kapryścić z powodu ciągle swędzących rąk, które okropnie drapał.

– Czy pamiętasz, jak przyszedł na wieczerzę wigilijną w zeszłym roku? – kontynuowałam z uporem. – Siedział przy stole i tak głośno drapał swe ręce, że nic nie było słycać prócz opadającej drobnymi płatkami skóry, łuszczącej się niczym papier ścierny. Czy chciałabyś przebywać z czymś takim na co dzień?

To ją zaskoczyło. Śmierć pana Prescottta chyba nikogo nie zasmuciła. To była najlepsza rzecz, jaka się mogła wydarzyć.

– A zatem – westchnęła mama – możemy być chociaż zadowoleni, że odszedł tak szybko i bezboleśnie. Mam nadzieję, że ja też tak odejdę, kiedy przyjdzie mój czas.

Nagle ulice stały się ludniejsze, dotarliśmy do starej Devonshire Terrace i mama przycisnęła guzik dzwonka. Autobus podskakując, wjechał na przystanek, ja chwyciłam się za wyszczerbiony chromowy słupek za kierowcą i o mało nie wypadłam przez przednią szybę.

– Dziękuję panu – powiedziałam swym najbardziej lodowatym tonem, wychodząc z autobusu drobnymi kroczkami.

– Pamiętaj – rzekła mama, gdy szliśmy chodnikiem jedna za drugą, gdyż było wąsko w miejscu, gdzie znajdował się hydrant – pamiętaj, pozostaniemy dotąd, dopóki będą nas potrzebować. I bez narzekań. Po prostu, umyj naczynia, porozmawiaj z Liz lub zrób cokolwiek.

– Mamo – poskarżyłam się – jak ja mogę powiedzieć, że przykro mi z powodu śmierci pana Prescottta, jeśli ja wcale nie odczuwam żalu? A naprawdę myślę, że to całkiem pomyślne rozwiązanie?

Byłam zdenerwowana, kiedy skręciłyśmy na małą żwirową alejkę prowadzącą do starego, żółtego domu rodziny Prescottów przy Devonshire Terrace. Nie czułam nawet najmniejszego smutku. Pomarańczowo-zielona markiza była rozpięta nad werandą tak, jak to zapamiętałam, i po dziesięciu latach wyglądała tak samo, tylko wydawała się nieco mniejsza. A dwie topole, po obu stronach drzwi, skurczyły się, lecz to było wszystko.

Kiedy pomagałam mamie wejść po kamiennych stopniach werandy, usłyszałam jakieś skrzypienie. To Ben Prescott siedział w hamaku i huśtał się, jakby nigdy nic, jakby to nie był właśnie dzień, w którym umarł jego tatuś. Siedział sobie tam, chudy i wysoki. Najbardziej zdumiał mnie fakt, że jego ulubiona gitara leżała przy nim na hamaku. Jakby właśnie skończył grać *The Big Rock Candy Mountain* lub coś w tym rodzaju.

– Cześć, Ben – rzekła posępnie mama. – Tak mi przykro.

Ben wyglądał na zakłopotanego.

– Do diabła, wszystko w porządku – powiedział. – Rodzina jest w komplecie w saloniku.

Weszłam za mamą przez drzwi osłonięte siatką, uśmiechnąwszy się lekko do Bena. Nie wiedziałam, czy należało uśmiechać się do Bena, ponieważ był miłym facetem, czy też nie powinnam tego robić przez szacunek dla jego tatusia.

W środku było też tak, jak to zapamiętałam, bardzo ciemno, i z trudem można było cokolwiek dostrzec, a zielone zasłony okienne jeszcze pogłębiały ten mrok. Wszystkie były opuszczone. Nie wiem czy z powodu upału, czy pogrzebu. Mama po omacku znalazła drogę do saloniku i odsunęła portiery.

– Lydia? – zawołała.

– Agnieszka? – Nastąpiło jakieś lekkie poruszenie w ciemnym pokoju i pani Prescott podeszła, by nas powitać. Nigdy nie widziałam jej tak dobrze wyglądającej, choć puder na jej twarzy był rozmazany śladami łez.

Stałam z boku, kiedy obie ścisnęły się i całowały, wydając przy tym pełne współczucia

ciche pomruki. Potem pani Prescott zwróciła się ku mnie, nadstawiając mi policzek do pocałowania. Próbowałam znów zrobić smutną minę, lecz nic z tego nie wyszło, więc powiedziałam:

– Nie ma pani pojęcia, jak zaskoczyła nas ta wiadomość o panu Prescott.

Choć naprawdę nikt nie był tym zaskoczony, ponieważ staremu człowiekowi od dawna groziło, że kolejny atak serca go wykończy. Należało jednak tak powiedzieć.

– No, cóż! – westchnęła pani Prescott. – Miałam nadzieję, że ten dzień nie nastąpi jeszcze przez wiele lat. – I zaprowadziła nas do salonu.

Oswoiwszy się z przyćmionym światłem, zaczęłam rozróżniać osoby siedzące w krąg. Była tam pani Mayfair, szwagierka pani Prescott, najpotężniejszych rozmiarów kobieta, jaką kiedykolwiek w życiu widziałam. Siedziała w kącie obok fortepianu. Znajdowała się tam też Liz, która ledwie się ze mną przywitała. Była ubrana w szorty oraz starą koszulę i zaciągała się papierosem raz po raz. Jak na dziewczynę, która tego ranka była świadkiem śmierci własnego ojca, zachowywała się bardzo swobodnie; tylko trochę przybladła, to wszystko.

Kiedy siedliśmy razem, przez chwilę nikt się nie odzywał, jakby wszyscy czekali na jakiś znak przed rozpoczęciem przedstawienia. Tylko pani Mayfair, tonąca w pokładach własnego tłuszczu, ocierała oczy, a ja trafnie od dłuższego czasu podejrzewałam, że to pot po niej spływa, a nie łzy.

– Jaka szkoda – zaczęła wtedy mama bardzo cicho. – Jaka szkoda, Lydio, że tak się stało. Wyjechałam w takim pośpiechu, że nie dowiedziałam się nawet, kto go znalazł.

Mama wymówiła słowo „go”, jakby było napisane przez duże „G”, lecz ja wysnułam wniosek, że teraz było bezpiecznie, gdy pan Prescott nie będzie już nikogo nękać swym małostkowym usposobieniem i szorstkimi rękami. W każdym razie na taki właśnie ton mojej mamy czekała pani Prescott.

– Och, Agnieszko – rzekła i jakieś szczególne światło zaczęło promieniować z jej twarzy. – Nie było mnie tu nawet. To Liz go znalazła, biedne dziecko.

– Biedne dziecko. – Pani Mayfair pociągnęła nosem, przytykając do twarzy chusteczkę. Jej ogromna czerwona twarz zmarszczyła się jak pęknięty arbuz. – Padł martwy w jej ramiona, tak to było.

Liz nic się nie odezwała, tylko zgasiła na wpół wypalonego papierosa i zaraz zapaliła następnego. Jej ręce nawet nie zadrżały, a wierzcie mi, że obserwowałam uważnie.

– Byłam u rabina... – podjęła pani Prescott, entuzjastka coraz to nowych religii. Ciągłe jakiś nowy pastor lub kaznodzieja jadał u niej obiady. A teraz przyszła kolej na rabina. – Byłam u rabina, a Liz pozostała w domu i przygotowywała obiad, czekając na tatusia, który miał po pływaniu wrócić do domu. Wiesz, Agnieszko, że zawsze lubił pływać.

Mama przytaknęła, wiedziała, że pan Prescott lubił pływać.

– A więc – kontynuowała pani Prescott spokojnie, jak ten facet w programie Dragneta – było dopiero w pół do dwunastej. Tatuś zawsze lubił poranną kąpiel, nawet gdy woda była lodowata; wyszedł więc z wody i wycierał się ręcznikiem na dziedzińcu, rozmawiając z naszym najbliższym sąsiadem ponad żywopłotem z malw.

– Zasadził ten żywopłot dopiero przed rokiem – przerwała pani Mayfair, jakby to była jakaś ważna informacja.

– Pan Gove, ten miły pan mieszkający obok, pomyślał, jak nam to później relacjonował, że tatuś wygląda dziwnie sino, a tatuś mu nie odpowiedział, tylko stał tam gapiąc się z bezmyślnym uśmiechem na twarzy.

Liz przez cały czas wyglądała frontowym oknem, skąd dobiegało skrzywienie hamaka na werandzie. Wydmuchiwała kółka dymu. Nie odezwała się ani słowem, tylko wciąż wydmuchiwała kółka dymu.

– Więc pan Gove woła Liz, a ona wybiega i tatuś wali się jak kłoda na ziemię, a pan Gove pędzi, by przynieść trochę brandy z domu, gdy tymczasem Liz trzyma w objęciach tatusia...

– A co wtedy się stało? – Nie mogłam wprost powstrzymać się od pytania, tak jak wówczas, gdy byłam małym dzieckiem a mama mi opowiadała o włamywaczach.

– Wtedy – powiedziała pani Prescott – tatuś po prostu... skonał w ramionach Liz, zanim nawet skończył pić brandy.

– Och, Lydio! – zawołała mama. – Ileż wycierpiałaś!

Pani Prescott nie wyglądała na osobę, która wiele przeszła. Pani Mayfair łkała, przyciskając chusteczkę do twarzy i wzywając imienia Pańskiego. Musiała mieć na pieńku ze starym facetem, gdyż nie przestawała się modlić: „Och, odpuść nam nasze winy”, jakby to ona sama oskarżyła go i zabiła.

– Życie biegnie dalej – oznajmiła pani Prescott, uśmiechając się dzielnie. – Tatuś życzyłby sobie, żebyśmy dalej żyli.

– To jedyne, co możemy zrobić – westchnęła mama.

– Mam tylko nadzieję, że odejdę równie spokojnie – powiedziała pani Prescott.

– Odpuść nam nasze winy – załkała pani Mayfair, nie kierując tych słów do nikogo.

W tej chwili trzeszczenie hamaka na zewnątrz ustało i Ben Prescott pojawił się w drzwiach, mrugając oczyma zza grubych szkielek i próbując wypatrzeć nas w ciemności.

– Jestem głodny – oznajmił.

– Chyba wszyscy powinniśmy teraz coś zjeść – rzekła pani Prescott i uśmiechnęła się do nas. – Sąsiedzi przynieśli tyle jedzenia, że wystarczy na cały tydzień.

– Indyka, szynkę, zupę i sałatkę – dodała Liz znudzonym tonem, jakby była kelnerką odczytującą menu. – Nie wiedziałam, gdzie to wszystko ulokować.

– Och, Lydio! – wykrzyknęła mama. – Przyszycujemy to wszystko. Pozwól nam sobie pomóc. Mam nadzieję, że nie sprawi to zbyt wiele kłopotu...

– Kłopotu, skądże – uśmiechnęła się pani Prescott swym świeżo przybranym promiennym uśmiechem. – Pozwólmy młodzieży przygotować...

Mama kiwnęła na mnie znacząco głową, a ja poderwałam się jak pod działaniem elektrycznego wstrząsu.

– Pokaż mi, Liz, gdzie jest to wszystko – rzekłam – a przygotujemy to szybko.

Ben poszedł za nami do kuchni, gdzie czarny, stary piec gazowy i zlew pełne były brudnych naczyń. Najpierw wzięłam do ręki wielką, ciężką szklankę odmakającą w zlewie i nalałam sobie do niej dużo wody.

– Nie do wiary, jaka jestem spragniona – rzekłam, pijąc wodę.

Liz i Ben gapili się na mnie jak zahipnotyzowani. Po chwili poczułam, że woda ma dziwny smak, jakbym dobrze nie wymyła szklanki i parę kropel jakiegoś alkoholu zostało na dnie, mieszając się z wodą.

– To jest – oznajmiła Liz, zaciągając się papierosem – ostatnia szklanka, z której pił tatuś. Lecz mniejsza z tym.

– Och, mój Boże, tak mi przykro – powiedziałam, odstawiając szybko szklankę. Nagle zrobiło mi się niedobrze, gdyż wyobraziłam sobie starego pana Prescottta, jak pije po raz ostatni z tej szklanki i cały sinieje. – Naprawdę mi przykro.

Ben wykrzywił twarz w uśmiechu i rzekł:

– Ktoś musiał wypić z niej pewnego dnia.

Lubiłam Bena. Był zawsze realnie myślącym facetem, gdy tylko miał na to ochotę.

Liz poszła na górę przebrać się, pokazał mi najpierw, co mam przygotować na kolację.

– Czy mogę przynieść gitarę? – zapytał Ben, kiedy zabrałam się do przygotowywania sałatki ziemniaczanej.

– Oczywiście, jeśli o mnie chodzi, jak najbardziej – rzekłam. – Tylko czy ludzie nie zaczną gadać? Na gitarach grywa się przeważnie na zabawach i tym podobnych uroczystościach.

– A więc niech gadają. Po prostu rwę się, by pobrzdakać na gitarze.

Krzętałam się po kuchni, a Ben, nic nie mówiąc, siedział sobie i brzdąkał cichutko ballady

w stylu *country*, których słowa pobudzały do śmiechu, a niekiedy do płaczu.

– Wiesz, Ben – rzekłam, kładąc porcję indyka na zimno i kładąc je na półmisek. – Zastanawiałam się, czy jest ci naprawdę smutno.

Ben wykrzywił twarz uśmiechem, jak to miał w zwyczaju.

– Nie, nie jest mi naprawdę smutno – odparł – lecz mógłbym być lepszy, mógłbym być lepszy, to wszystko.

Pomyślałam o mamie i nagle cały smutek, którego nie mogłam odnaleźć w ciągu dnia, zaczął mnie dławić w gardle.

– Będziemy żyć lepiej niż dotąd – powiedziałam. I wówczas zacytowałam słowa mamy, choć nigdy nie przypuszczałam, że to kiedyś uczynię. – „To najlepsze, co możemy zrobić” – I poszłam zdjąć gorącą grochówkę z kuchenki.

– Czyż to nie dziwne uczucie? – rzekł Ben. – Coś umarło i jesteś wolna, a potem odkrywasz, że to coś uciska ci żołądek, śmiejąc się z siebie. Podobnie nie czuję, że tatuś naprawdę umarł. Jest tam gdzieś, wewnątrz mnie, obserwując, co się dzieje i śmiejąc się.

– To może być tą lepszą częścią – odpowiedziałam, nagle zdając sobie sprawę, że tak jest rzeczywiście. – To częśćka, od której nie powinieneś uciekać. Wiesz, że zabierasz ją ze sobą i gdziekolwiek pójdziesz, to już cię nie opuści. Na tym polega dorastanie.

Ben uśmiechnął się do mnie, a ja poszłam zawołać rodzinę. Kolację złożoną z mnóstwa szynki i indyka zjedliśmy w spokoju. Rozmawialiśmy o mojej posadzie w biurze ubezpieczeń i nawet udało mi się rozśmieszyć panią Mayfair opowieścią o moim szefie panu Murray i jego cygarach atrapach. Liza była prawie zaręczona i według słów pani Prescott nie była całkiem sobą, kiedy Barry nie znajdował się w pobliżu. Nawet nie wspomniano o starym panu Prescott.

Pani Mayfair pożarła trzy porcje deseru, stale powtarzając:

– Tylko kawałeczek, nie więcej! Tylko kawałeczek! – kiedy częstowano ją czekoladowym tortem.

– Biedna Henrietta – powiedziała pani Prescott, obserwując potężnych rozmiarów szwagierkę zajadającą łyżeczką lody.

– To ten psychosomatyczny głód, o którym teraz bez przerwy się mówi. To on zmusza ją do ciągłego jedzenia.

Po kawie, którą Liz zmeła w młynku, tak że wokół rozszedł się zapach świadczący o wybornej jakości, zapanowało chwilowo kłopotliwe milczenie. Mama raz po raz podnosiła filiżankę do ust, jakby popijając z niej, choć przekonana byłam, że już ją dawno opróżniła. Liz natomiast znów zapaliła papierosa i otoczyła się obłoczkami dymu. Ben robił szybowce z papierowej serwetki.

– No, cóż – wykrztusiła z siebie pani Prescott – chyba przejdę teraz z Henriettą do salonu. Nie jestem staroświecka, Agnieszko. Powiedziałam definitywnie, że nie życzę sobie żadnych kwiatów i nikt nie musi przychodzić. To tylko kilku kolegów tatusia, którzy na mnie czekają.

– Pójdę z tobą – zaoferowała się lojalnie mama.

– Dzieci tam nie pójda – orzekła pani Prescott. – Dość już przeszły.

– Barry przyjdzie później – powiedziała Liz. – Muszę teraz zmyć naczynia.

– Ja pozmywam – zgłosiłam się na ochotnika, nie patrząc na mamę. – Ben mi pomoże.

– Dobrze, w takim razie każdy będzie miał jakieś zajęcie.

– Pani Prescott pomogła wstać pani Mayfair, a mama wzięła ją pod drugie ramię.

Zobaczyłam, jak podtrzymywały panią Mayfair, która umęczona i zdyszana schodziła tyłem po frontowych schodach. Twierdziła, że jedynie w ten sposób potrafi bezpiecznie zejść, nie upadając.

Czarodziejska szkatułka

Agnieszka Higgins doskonale wiedziała, co wywołało wyraz uszczęśliwienia i roztargnienia na twarzy jej męża, Harolda, kiedy jadł śniadanie złożone z jajecznicy i soku pomarańczowego.

– A więc co ci się śniło zeszłej nocy? – zapytała i parsknęła pogardliwie, rozsmarowując na grzance zdecydowanymi ruchami noża śliwkową galaretkę.

– Właśnie w tej chwili sobie przypomniałem – odpowiedział Harold, przesywając zamglonym, łagodnym spojrzeniem niezwykle atrakcyjną i wyrazistą postać swej żony (o różowych policzkach i puszystych blond włosach, ubranej w ten wczesny wrześnieowy poranek we wzorzysty peniuar w róże). – Śniły mi się rękopisy, o których rozmawiałem z Williamem Blake'em.

– Ale skąd wiedziałeś, że to jest William Blake? – zawołała Agnieszka, z nutką protestu w głosie, starając się z trudem ukryć rozdrażnienie.

Harold zrobił zdziwioną minę.

– Od razu go poznałem, gdyż wyglądał tak jak na portretach.

I cóż Agnieszka mogła na to odpowiedzieć? Taiła w sobie gniew, siedząc nad kawą i walcząc z osobliwą zazdrością narastającą w niej – niczym jakiś tajemny złośliwy nowotwór – od trzech miesięcy, od czasu ich nocy poślubnej, gdy dowiedziała się o snach Harolda. W tę pierwszą noc podczas ich podróży poślubnej, wcześniej nad ranem, Harold wyrwał Agnieszkę ze zdrowego, pozbawionego marzeń snu gwałtownym, konwulsyjnym drżeniem prawego ramienia. Prerażona Agnieszka obudziła Harolda, by tklwym i macierzyńskim głosem spytać go, co się stało. Przypuszczała, że szamoce się w udręce koszmaru. Lecz nic podobnego.

– Właśnie zaczynałem grać *Koncert Cesarski* – wyjaśniał sennie. – Miałem unieść ramię do pierwszego akordu, kiedy mnie obudziłaś.

Odkąd się pobrali, obrazowe sny Harolda bawiły Agnieszkę. Każdego ranka pytała Harolda, co mu się śniło ubiegłej nocy, a on opowiadał jej swoje sny ze wszystkimi szczegółami, jakby opisywał jakieś ważne, realne wydarzenie.

– Przedstawiono mnie gronu amerykańskich poetów w Bibliotece Kongresowej – zwykł relacjonować z upodobaniem. – Był tam William Carlos Williams w obszernym płaszczu z szorstkiej wełny i ten autor piszący o Nantucket oraz Robinson Jeffers, wyglądający na Indianina z Ameryki, tak jak na fotografii w antologii, a potem przyjechał limuzyną Robert Frost i powiedział coś dowcipnego, co mnie rozśmieszyło. – Albo mówił: – Widziałem cudowną pustynię, tonącą w czerwieni i fiolecie, każde ziarno piasku miotało ognie, niczym rubiny lub szafiry. Biały, złotocętkowany lampart stał nad modrym strumieniem, jego tylne nogi opierały się na jednym brzegu, przednie na drugim; a mały korowód czerwonych mrówek przebiegał niczym strumień po ciele lamparta, wspinał się po jego ogonie i grzbiecie, wędrował między oczyma i schodził po drugiej stronie ciała.

Sny Harolda były misternie wyczelowanymi dziełami sztuki.

Niewątpliwie, jak na wykwalifikowanego księgowego o wybitnych zamiłowaniach literackich (który zamiast gazet w pociągu podmiejskim czytał E.T.A. Hoffmanna, Kafkę i astrologiczne miesięczniki) Harold obdarzony był zadziwiająco żywą i barwną wyobraźnią. Stopniowo jednak jego dziwny zwyczaj, by traktować swoje sny jako istotną i integralną część doświadczeń na jawie, począł irytować Agnieszkę. Czuła się opuszczona, jakby Harold jedną trzecią życia spędzał wśród sławnych, owianych legendą ludzi, w podniecającym świecie, do którego Agnieszka nie miała dostępu i który znała tylko ze słyszenia.

W miarę upływu czasu Agnieszka coraz częściej pogrążała się w ponurych rozmyślaniach. Chód nie chciała przyznać się do tego przed Haroldem, jej własne sny, jeśli je miała (co, niestety, zdarzało się rzadko), przerażały ją. Były to mroczne, ponure krajobrazy, zaludnione złowrogimi, niewyraźnymi postaciami. Nigdy nie mogła przypomnieć sobie szczegółów tych koszmarów i zatracala ich kształty w momencie, gdy próbowała się przebudzić; zachowywała jedynie w pamięci duszną i naładowaną atmosferę, której przytłaczające oddziaływanie dręczyło ją przez cały dzień. Agnieszka wstydziła się mówić Haroldowi o tych fragmentarycznych, pełnych grozy scenach, z obawy, by nie świadczyły niekorzystnie o braku jej wyobraźni. Jej sporadyczne sny wydawały się bardzo prozaiczne i monotonne w porównaniu z królewsko-barokowym splendorem snów Harolda. Czyż mogła mu po prostu oświadczyć: „spadałam” lub „matka umarła, a ja byłam bardzo smutna” albo też: „coś mnie ściagało i nie mogłam uciekać”. Agnieszka uświadomiła sobie, odczuwając przy tym bolesne ukłucie zazdrości, że przysłuchując się relacjom z jej snów, nawet najbardziej zapalony psychoanalityk z trudem stłumiłby ziewanie.

Gdzież się podziały te bujne dni dzieciństwa, gdy wierzyła we wróżki? – smutno dumiała Agnieszka. Wówczas jej sen nigdy nie był pozbawiony marzeń i nigdy nie były one nudne ani brzydkie. Wspominała z żalem, jak mając siedem lat, śniła o krainie czarodziejskich szkatulek zawieszonych nad obłokami, gdzie szkatułki, podobne do młynków do mielenia kawy, rosły na drzewach, wystarczyło wziąć do rąk taką szkatułkę, obrócić dziewięciokrotnie rączką i wypowiedzieć swoje życzenie do małego otworu z jej boku, a życzenie spełniało się. Kiedy indziej znów śniła, że znalazła trzy magiczne źdźbła trawy rosnące obok skrzynki na listy, przy końcu ulicy; źdźbła trawy błyszcząły jak świecidełka na gwiazdkę: czerwone, niebieskie i srebrne. W jeszcze innym śnie ona i jej młodszy brat, Michał, stali w zimowych ubrankach przed pokrytym białymi gontami domem Dodiego Nelsona, a sękaty korzenie klonu wiły się po zamrożonej brunatnej ziemi. Miała na sobie wełniane rękawice w czarno-białe pasy i nagle, gdy wyciągnęła dłonie, zaczął padać turkusowobłękitny śnieg. I to właśnie był cały zasób snów, jakie Agnieszka potrafiła sobie przypomnieć z okresu swego bardziej twórczego dzieciństwa. A ile miała lat, gdy wypędzono ją z tego przytulnego, barwnego świata marzeń sennych? I dlaczego?

Tymczasem Harold przy śniadaniu nadal opowiadał o swych snach. Kiedyś w depresyjnym i złowróżbnym stadium swego życia, zanim poznał Agnieszkę, śnił, że rudy lis, ciężko poparzony, o sierści spalonej na węgiel, przebiegł przez jego kuchnię, krwawiąc z licznych ran. Potem, w szczęśliwym okresie swego życia, niedługo po ślubie z nią, jak Harold zwierzył się Agnieszcze, rudy lis, o bujnej sierści i cudownie uleczony, znów pojawił się, aby ofiarować Haroldowi flaszeczkę czarnej farbki. Harold był bardzo przywiązany do swych snów o lisie, które się często powtarzały. Tak samo jak sen o olbrzymim szczupaku.

– Był taki staw – objaśniał Harold Agnieszcze pewnego pochmurnego sierpniowego ranka – gdzie mój kuzyn Albert i ja łowiliśmy ryby; roiło się tam od szczupaków. Poprzedniej nocy schwytałem tam największego szczupaka, jakiego tylko można sobie wyobrazić. Musiał to być zapewne praprzodek całej reszty. Ciągnąłem, ciągnąłem i ciągnąłem, a on wciąż tylko wynurzał się ze stawu.

– Kiedyś, gdy byłam mała – odparowała Agnieszka w ponurym zamyśleniu, mieszając cukier w czarnej kawie – śnił mi się Superman w technicolorze: czarnowłosy, w niebieskim ubraniu i czerwonej pelerynie. Był tak piękny jak książkę z bajki, unosiłam się razem z nim w powietrzu – czułam świst wiatru i lzy ciekące z mych oczu. Lecieliśmy nad stanem Alabama, wiedziałam, że to Alabama, ponieważ kraj ten przypominał mapę z nazwą „Alabama” wypisaną kursywą w poprzek wysokich, zielonych gór.

Ta relacja wywarła silne wrażenie na Haroldzie.

– O czym – zapytał wtedy Agnieszkę – śniłaś ostatniej nocy? – Głos Harolda naprawdę pełen był skruchy; zdał sobie sprawę, że jego własne sny tak zaprzętały jego uwagę, że nigdy

nie pomyślał, aby wysłuchać relacji o snach swej żony. Harold popatrzył teraz świeżym okiem na jej ładną, zaniepokojoną twarzyczkę i po raz pierwszy od czasu ich małżeństwa zauważył, że Agnieszka, siedząc przy śniadaniu, wygląda niezwykle pociągająco.

Z początku Agnieszka czuła się zażenowana, słysząc życzliwe pytanie Harolda. Był taki czas w jej życiu, że rozważała na serio, czy schować książkę Freuda o snach w szafie i pokrzepiać się zastępczą relacją snów, by w ten sposób co dzień podsycać zainteresowanie Harolda. Teraz, odrzucając skrytość, desperacko postanowiła wszystko wyznać.

– Nic mi się nie śni – obwieściła Agnieszka cichym, tragicznym głosem. – Teraz już nie.

Harold bardzo się tym przejął.

– Może – pocieszał ją – nie wykorzystujesz należycie siły swej wyobraźni. Powinnaś ćwiczyć. Spróbuj zamknąć oczy.

Agnieszka zamknęła oczy.

– Co widzisz? – zapytał Harold pełen ufności.

Agnieszka wpadła w panikę. Nic nie widziała.

– Nic – odpowiedziała drżącym głosem. – Nic poza czymś w rodzaju mgły.

– Dobrze, w takim razie – rzekł z otuchą Harold, przemawiając łagodnie jak lekarz, który ma przed sobą pacjenta niekoniecznie śmiertelnie chorego, lecz cierpiącego na niepokojącą chorobę – wyobraź sobie puchar.

– Jakiego rodzaju puchar? – nalegała łagodnie Agnieszka.

– To zależy od ciebie – odrzekł Harold. – Opisz go.

Zamknawszy oczy, Agnieszka gwałtownie penetrowała otchłań swego umysłu. Z wielkim wysiłkiem udało jej się wywołać nieokreślony, lśniący, srebrny puchar, unoszący się gdzieś w mglistych zakamarkach jej mózgu, migocący słabym blaskiem, jakby lada moment miał zgasnąć jak świeczka.

– Jest srebrny – rzuciła prawie wyzywająco – i ma dwoje uszu.

– Wspaniale. Teraz wyobraź sobie wygrawerowany na nim obraz.

Agnieszka siłą woli wywołała obraz renifera pośród liści winnej latorośli, wyrzytego w prostych zarysach na srebrze.

– To renifer z głową zwieńczoną liśćmi winnej latorośli.

– Jakiego jest koloru?

Agnieszka pomyślała, że Harold nie ma litości.

– Zielony – skłamała, szybko pokrywając emalią liście wina. – Liście winnej latorośli są zielone, a niebo czarne – dorzuciła i odczuła niemal dumę z powodu tak oryginalnego przebłysku inteligencji. – Ren zaś jest rdzawy i biało nakrapiany.

– Dobrze. Teraz wypoleruj puchar na najwyższy połysk.

Agnieszka polerowała wymyślony puchar, czując się jak oszustka.

– Lecz to jest w głębi mojej głowy – rzekła z powątpiewaniem, otwierając oczy. – Widzę wszystko w głębi mojej głowy. Czy to tam widzisz swoje sny?

– Skądże, wcale nie – powiedział zakłopotany Harold. – Oglądam sny przed powiekami, jak na ekranie filmowym. Po prostu zjawiają się same, bez mego udziału. Tak jak teraz na przykład – zamknął oczy – widzę błyszczące korony, zawieszane na wysokiej wierzbie, które zbliżają się i oddalają.

Agnieszka zapadła w ponure milczenie.

– Wszystko się dobrze ułoży. – Harold próbował ją żartobliwie pocieszyć. – Co dzień po prostu ćwicz, wyobrażając sobie różne przedmioty, tak jak cię tego nauczyłem.

Agnieszka nie podjęła więcej tego tematu. Gdy Harold był w pracy, starała się dużo czytać; czytanie wypełniło jej umysł mnóstwem obrazów. Opanowana rodzajem żarłocznej histerii pośpiesznie pochłaniała powieści, magazyny kobiece, gazety, a nawet anegdoty w „Radości gotowania” Czytała prospekty biur podróży, ulotki dotyczące używania urządzeń domowych, *Sears Roebuck Catalogue*, instrukcje na pudełkach płatków mydlanych, notatki

wydawnicze na obwolutach książek, cokolwiek, byle tylko nie kontemplować pustki własnej głowy, którą tak boleśnie uświadomił jej Harold. Kiedy jednak odrywała oczy od tekstu, który właśnie miała pod ręką, wydawało się, że opiekuńczy świat znika.

Całkowicie samowystarczalna i niezmienna realność otaczających ją przedmiotów zaczęła przygnębiać Agnieszkę. Swoim wystraszonym, niemal sparaliżowanym wzrokiem, w którym ciał się zawistny lęk, obejmowała orientalny dywan, błękitną tapetę, złożone smoki na chińskiej wazie stojącej na gzymsie kominka oraz wzór w niebiesko-złote medaliony na sofie, na której siedziała. Czuła, jak przedmioty te duszą ją i dławią, jak ich masywne pragmatyczne istnienie zagraża najgłębszym i najbardziej intymnym podstawom jej własnej krótkotrwałej egzystencji. Zdawała sobie aż nazbyt jasno sprawę, że Harold nie zniósłby tego butnego absurdu stołów i krzeseł; jeśli jakieś otoczenie przestałoby mu się podobać lub nie odpowiadałoby mu, zmieniłby je stosownie do swego kaprysu. Agnieszka rozmyślała ze smutkiem, że gdyby nagle w jej miłej halucynacji pojawiła się ośmiornica pokryta pomarańczowo-fioletowymi plamami i podpełzła ku niej po podłodze, Agnieszka byłaby jej niesłychanie rada. Ucieszyłoby ją cokolwiek, co by mogło potwierdzić, że oko jej nie jest jedynie otwartym obiektem fotograficznym, rejestrującym otaczające zjawiska bez żadnych zmian. – Róża – zaczęła głucho powtarzać jak pieśń pogrzebową – jest różą, jest różą...

Pewnego ranka, czytając powieść, Agnieszka nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, że oczy jej przebiegły pięć stron, z których nie zrozumiała ani jednego słowa. Znów spróbowała, lecz litery dzieliły się i wiły na stronicy jak złośliwe czarne wężyki, tworząc coś w rodzaju syczącego, nieprzetłumaczalnego żargonu. W tym czasie Agnieszka zaczęła regularnie, dzień w dzień, uczęszczać do kina na rogu ulicy. Nie miało znaczenia, czy jakiś film widziała już parę razy przedtem. Kalejdoskop kształtów poruszających się przed jej wzrokiem wprowadzał ją w pewien rytmiczny trans; głosy, przemawiające uspokajającym, niezrozumiałym szyfrem, egzorcyzmowały martwe milczenie w jej głowie. W końcu, dzięki pochlebstwom, Agnieszka wymogła na Haroldzie kupno telewizora na raty. To było o wiele lepsze od kina. Podczas długich popołudni mogła popijać sherry i równocześnie oglądać telewizję. W ciągu ostatnich dni, witając powracającego do domu Harolda, Agnieszka odkryła z pewną dozą złośliwej satysfakcji, że jego twarz zamazuje się przed jej wzrokiem tak, iż może dowolnie zmieniać jego rysy. Czasem nadawała mu cerę o odcieniu zielonego groszku, czasem zaś lawendowym, to znów formowała grecki nos lub orli dziób.

– Ależ ja tak lubię sherry – powtarzała uparcie Haroldowi, gdy nawet jego pobłażliwe oczy dostrzegły, że popołudnia spędza na samotnym popijaniu wina i prosił ją, by tego więcej nie robiła. – To mnie bardzo odpręży – mówiła.

Sherry jednak nie odprężyło jej na tyle, by mogła zasnąć. Przerażająco przytomna, gdy tylko rozpraszająca się wizyjna mgła, leżała sztywno w pościeli, wykręcając palce jak unerwione szpony, gdy tymczasem Harold już od dawna spokojnie i równo oddychał, pogrążony w środku jakiejś niezwykłej i wspaniałej przygody. Noc w noc, ogarnięta lodowatą, narastającą paniką, Agnieszka leżała całkowicie rozbudzona. W końcu pojęła, co się z nią dzieje, zasłony dobroczynnego snu i przynoszącej zapomnienie ciemności, oddzielającej dzień od poprzedniego i od następnego dnia, na zawsze i nieodwołalnie uniosły się do góry. Ujrzała rozpostartą przed sobą perspektywę bezsennych, pozbawionych wizji dni i nocy. Umysł jej, skazany na absolutną pustkę, nie mógł przeciwstawić jej ani jednego obrazu, by powstrzymać miazdzący najazd gładkich autonomicznych stołów i krzeseł. Agnieszka myślała z odrazą, że może dożyć setki, gdyż kobiety w jej rodzinie są długowieczne.

Doktor Marcus, domowy lekarz Kigginsów, próbował na swój jowialny sposób pomóc Agnieszcze narzekającej na bezsenność.

– Trochę napięcia nerwowego, to wszystko. Proszę przez pewien czas zażywać jedną tabletkę wieczorem, przekonamy się, czy będzie pani spała!

Agnieszka nie zapytała doktora Marcusa, czy leki zwrócą jej marzenia senne; włożyła pudełko z pięćdziesięcioma pigułkami do torebki i wróciła autobusem do domu.

W dwa dni później, w ostatni piątek września, gdy Harold wrócił z pracy (podczas godzinnej jazdy pociągiem przymykał oczy udając, że śpi, w rzeczywistości jednak płynął jednomasztowym arabskim statkiem o wiśniowych żaglach w górę lśniącej rzeki, a białe słonie gromadziły się i przechadzały po kryształowym lustrze wody w cieniu mauretańskich wieżyczek wzniesionych w całości z wielobarwnego szkła) zastał Agnieszkę leżącą z zamkniętymi oczami na sofie w saloniku, bladą i piękną jak rozkwitła lilia, w jej ulubionej princesce ze szmaragdowozielonej tafty. Puste pudełko po pigułkach i przewrócony kubek na wodę leżały obok niej na dywanie. Jej spokojne rysy zastygły w lekkim, tajemniczym i triumfalnym uśmiechu, jakby w jakimś dalekim kraju, niedostępnym dla zwykłych śmiertelników, tańczyła w końcu z czarnowłosym księciem w czerwonej pelerynie ze swych pierwszych snów.

Porównanie

Ależ zazdroścę powieściopisarzowi! Wyobrażam sobie go – lepiej powiedzmy ją, gdyż u kobiet szukam paralel – a zatem wyobrażam sobie ją, jak przycina krzew różany dużym sekatorem, poprawia okulary, krząta się pośród filiżanek, nuci, przestawia popielniczki lub niemowlęta, chłonie ukośny snop światła, tchnienie trochę odmienionej pogody, i przenika, umiarkowanym, pięknym, rentgenowskim wzrokiem, do psychicznego wnętrza swych bliźnich – bliźnich w pociągach, w poczekalni u dentysty, w herbaciarni za rogiem. O szczęśna, czy istnieje coś, co się dla niej nie liczy? Może wykorzystać stare buty, klamki, listy lotnicze, barchanowe koszule nocne, katedry, lakier do paznokci, odrzutowce, tuje i papużki faliste; drobne manieryzmy – dłubanie językiem w zębie, obciąganie spódnicy – każdą fikuśną, kostropatą, piękną lub paskudną rzecz. Nie wspominając o emocjach, motywacjach – tych dudniących, grzmistych kształtach. Jej zajęcie to Czas, jego skoki do przodu, odskoki do tyłu, rozkwity, gnicia i zachodzenie klatek na siebie. Jej zajęcie to ludzie w Czasie. Zaś ona, jak mi się wydaje, ma czasu, ile zechce. Może wziąć jedno stulecie, jedno pokolenie, całe lato.

Ja mogę wziąć około minuty.

Nie mówię o poematach epickich. Wszyscy wiemy, ile one potrafią zająć. Mówię o tej maławej, nieoficjalnej, ogrodowej odmianie wiersza. Jak go opisać? – drzwi się otwierają, drzwi się zamykają. Tymczasem miga w nich: ogród, osoba, burza z piorunami, końska mucha, serce, miasto. Myślę o tych wiktoriańskich przyciskach do papieru z toczonego szkła, które pamiętam, ale nie mogę nigdzie znaleźć – gdzie do nich plastikowej produkcji masowej, która pstrzy się na półkach z zabawkami u Woolwortha? Ten rodzaj przycisku do papieru to przejrzysta kula, samoistna, bardzo czysta, z lasem, wioską albo gronem rodzinnym w środku. Przekręcasz ją o połowę, a po chwili z powrotem. Pada śnieg. W ciągu minuty wszystko się zmieniło. Tam w środku nic już nie będzie takie samo – ani jodły, ani izby na facjatce, ani twarze.

A więc odbywa się wiersz.

I naprawdę jest tak mało miejsca! Tak mało czasu! Poeta staje się ekspertem od pakowania walizek:

*Zjawa tych twarzy w tłumie;
Płatki na mokrej, czarnej gałęzi.*

Udało się: jednym tchem początek i koniec. Jak by to zrobił powieściopisarz? W jednym akapicie? Na jednej stronie? Może by rozrobił, jak farbę, z odrobiną wody, rozrzedzając, rozwlekając.

Robię się zarozumiała, doszukuję się przewag.

O ile wiersz jest koncentratem, zaciśniętą pięścią, powieść jest rozluźniona i rozległa, otwarta dłoń: ma drogi, objazdy, punkty docelowe; linię serca, linię rozumu; wchodzi w nią moralność i pieniądze. Pięść wyklucza i oszałamia, zaś otwarta dłoń może w swych podróżach wiele dotknąć i zawrzeć w sobie.

Nigdy nie umieściłam w wierszu szczoteczki do zębów.

Nie lubię myśleć o wszystkich rzeczach, znajomych, pożytecznych i wartościowych, których nigdy nie umieściłam w wierszu. Kiedyś włożyłam do wiersza cis. I ten cis zaczął, ze zdumiewającym egotyzmem, panoszyć się i rozstawiać wszystko inne po kątach. Nie był to cis koło kościoła przy drodze, co mija dom w mieście, gdzie mieszkała pewna kobieta... i tak

dalej, jak w powieści. O, nie. Stał w samym środku mojego wiersza, manipulował jego mrocznymi cieniami, głosami z przykościelnego cmentarza, obłokami, ptakami, czułą melancholią, z jaką o nim rozmyślałam – wszystkim! Nie mogłam go poskromić. Koniec końców mój wiersz stał się wierszem o cisie. Ten cis był po prostu zbyt dumny, żeby dać się zredukować do roli przelotnej czarnej plamy w powieści.

Być może rozgniewam niektórych poetów płynącym z tego wnioskiem, że to *wiersz* jest dumny. Bo wiersz też może zawrzeć wszystko, powiedzą mi. I to ze znacznie większą precyzją i mocą niż te workowate, rozchekstane i niewybredne stworzenia, które nazywamy powieściami. Niech będzie, przyznaję tym poetom prawo do mechanicznych koparek i starych spodni. Naprawdę nie uważam, że wiersze muszą być aż takie cnotliwe. Przyznałabym im nawet prawo do szczoteczki do zębów, gdyby wiersz był prawdziwy. Ale te zjawy, te poetyckie szczoteczki do zębów, są rzadkie. A kiedy się już pojawiają, z reguły czują się wyróżnione i wyjątkowe, jak mój nadęty cis.

Inaczej w powieściach.

Tam szczoteczka do zębów bez szemrania wraca na półkę i popada w zapomnienie. Czas płynie, wzbiera, wije się meandrami, a ludzie mają go wystarczająco dużo, żeby zmienić się i dojrzeć na naszych oczach. Nieprzebrane rupiecie życia podrygują wokół nas: biurka, naparstki, koty, cały ulubiony, zaczytany katalog różności, którym powieściopisarz chce się z nami podzielić. Nie twierdzę, że nie ma tam jakiegoś schematu, doboru, rygorystycznego porządku.

Sugeruję tylko, że schemat aż tak bardzo się nie narzuca.

Drzwi powieści, tak samo jak drzwi wiersza, też się zatrzaskują.

Ale nie tak szybko, nie z taką maniacką, bezwzględną nieuchronnością.

Orzeł za piętnaście dolarów

Są inne zakłady tatuażu przy Madigan Square, ale żaden się nie umywa do zakładu Carmeya. To prawdziwy poeta igły i barwnika, obdarzony artystyczną duszą. Dzieci, portowi włóczędzy, prowincjonalne pary, które przyjechały na piwo, hamują przed zakładem Carmeya i przytykają nos do szyby, wszyscy bez wyjątku. Masz marzenie, mówi Carmey, nie mówiąc ani słowa, masz różę na sercu, orła w mięśniu, masz samego słodkiego Jezusa, więc przyjdź do mnie. Noś w tym życiu serce na skórze, ja ci to mogę załatwić. Psy, wilki, konie i lwy dla miłośnika zwierząt. Dla pań motyle, rajskie ptaki, twarzyczki dzieci, uśmiechnięte lub zażawione, wedle życzenia. Róże, do wyboru, do koloru, duże, małe, w pąkach i rozkwitłe, róże ze wstęgą na imię, róże z kolcami, róże z wystającą w samym środku główką lalki, różowy płatek, zielony liść, ładnie obtoczone ołowiowoczną kreską. Węże i smoki dla Frankensteina. Nie mówiąc o kowbojkach, hawajskich tancerkach, syrenach i gwiazdach filmowych, z sutkami tak rumianymi i gołymi, jak kto lubi. Jeśli masz wolne plecy, jest Chrystus na krzyżu, z łotrem przy każdym boku, a dwa aniołki nad głową trzymają z obu końców wstęgę z napisem „Golgota”, wykonanym staroangielskimi literami, w kolorze złotym, który nieźle udaje złoty.

Z zewnątrz ludzie pokazują sobie palcami wielobarwne obrazki, którymi wyklejone są od sufitu do podłogi trzy ściany zakładu. Mruczą jak w scenie filmowej z gawiedzią, słysząc ich przez szybę:

- Słonko, popatrz na te pawie!
- To wariactwo, płacić za tatuaze. Ja zapłaciłem tylko za jeden, za panterę na ramieniu.
- Zrobimy ci serce, pokażę mu gdzie.

Po raz pierwszy widzę Carmeya w działaniu, dzięki mojemu kochasiowi, Nedowi Beanowi. Oparty leniwie o kwietno-sercową ścianę, Carmey czeka na klientów i wymienia informacje o pogodzie z panem Tomolillo, osobą nieprzeciętnie niską, w wełnianej marynarce, która zwisa z ramion nawet nie próbując się dopasować. Marynarka jest w deseń składający się z brązowych kwadratów wielkości paczki papierosów, śmiało obwiedzionych na czarno. Można by na niej grać w warcaby. Brązowa fedora ściska mu głowę tuż nad brwiami, jak kapelusz grzyba. Ma chudą, porywczą, trójkątną twarz modliszki. Gdy Ned mnie przedstawia, pan Tomolillo łamie się w talii w ukłonie tak starannym, jak wąsik przecinający jego górną wargę. Ukłon ten budzi mój podziw, bo zakład jest taki mały, że ledwo starcza miejsca dla nas czworga i przy najmniejszym poruszeniu niemal objamy się o siebie łokciami i kolanami.

W zakładzie czuć prochem strzelniczym i jakimś gryzącym środkiem odkażającym. Przy tylnej ścianie stoją w szeregu od lewej do prawej: stół roboczy Carmeya, elektryczne nakłuwarki na półce koło słoiczków z barwnikami, obrotowy fotel Carmeya przodem do witryny, krzesło klienta naprzeciwko fotela Carmeya, kosz na śmieci i pomarańczowa skrzynka zasypana skrawkami papieru i ogryzkami ołówków. W przedniej części pomieszczenia, obok szklanych drzwi, jest kolejne krzesło z oparciem, na którym wymalowana jest Golgota, a na zdartym drewnianym stole stoi tekturowy segregator. Pośród dzieci i stokrotek nad fotelem Carmeya wiszą dwa wyblakłe dagerotypy w tonacji sepii, ukazujące chłopca od pasa w górę, jeden przodem, drugi bokiem. Z pewnej odległości chłopiec sprawia wrażenie, jakby miał na sobie obcisłą bluzkę z czarnej koronki z długimi rękawami. Z bliska widać, że jest zupełnie goły, tylko porośnięty pnącym bluszczem tatuażu.

Na poźółkłych wycinkach z jakiejś zamierzchłej rotograwiury Azjaci obojga płci siedzą po turecku na obszytych frędzlami pufach, wystawiając do obiektywu plecy ozdobione

siedmiogłowymi smokami, łańcuchami górskimi, wiśniami i wodospadami. Podpis informuje: „Ci ludzie nie noszą żadnego ubrania. Należą do stowarzyszenia, w którym tatuaż jest warunkiem członkostwa. Całość kosztuje niekiedy aż 300 \$” Obok wisi zdjęcie łysej głowy mężczyzny, z mackami ośmiornicy wypływającymi od tyłu głowy trochę za czubek.

– Te skóry są pewnie warte tyle co niejeden obraz – mówi pan Tomolillo. – Gdyby pan je dał do rozpięcia na sztalugach.

Jednak wytatuowany chłopiec i koteryjni Azjaci nie umywają się do samego Carmeya, który jest żywą reklamą swej sztuki – szkuner pod pełnymi żaglami płynie po oceanie z liści róży i ostrokrzewu na prawym bicepsie, cyganka Rosę Lee napina mięśnie brzucha na lewym, jedno i drugie przedramię upchane sercami, gwiazdkami i kotwicami, szczęśliwymi liczbami i wstęgami z imionami; brzegi w kolorze indygo są rozmyte, więc czyta się to jak komiks zostawiony na pastwę niedzielnej burzy. Chodzą słuchy, że Carmey, zagorzały miłośnik Dzikiego Zachodu, ma z przodu półdzikiego konia, który staje dęba od pępka do obojczyka, ze szczeciniastym kowbojem przyklejonym do grzbietu. Ale może to zwykła fantazja, która tłumaczy się tym, że Carmey nosi skórzane kowbojskie buty na zgrabnych obcasach i pas à la Bill Hickock, wysadzany czerwonymi kamieniami, do czarnych skórzanych spodni. Oczy Carmeya są niebieskie. Niczym nie ustępują tak często opiewanemu niebu nad Teksasem.

– Szesnaście lat, jak to robię – mówi Carmey, opierając się o swą muzealną ścianę – a można powiedzieć, że dalej się uczę. Pierwszą robotę załapałem w Maine, podczas wojny. Słyszeli, że tatuuję i wezwali mnie do jednostki Kobięcych Służb Pomocniczych...

– Żeby je *wytatuować*? – pytam.

– Tylko numery, nic więcej.

– Nie bały się?

– Pewnie, że się bały. Ale niektóre wróciły. Raz mi przyszły dwie panienki z KSP po tatuaż. I nic tylko się drapią w głowę. Co jest, mówię do nich, już tu byliście i wiedziałyście, który chcecie, to o co chodzi? „Wiemy, który chcemy, ale nie wiemy gdzie”, mówi jedna z nich. Jeśli tylko o to chodzi, możecie mi zaufać, mówię. Jestem jak lekarz, rozumiecie? Przechodzi mi przez ręce tyle kobiet, że nie ma strachu. „No to ja chcę trzy róże”, mówi jedna, jedną na brzuchu i po jednej na każdym pośladku”. Wtedy druga wzięła się na odwagę, wie pani jak to jest, i prosi o jedną różę...

– Duże czy małe? – Pan Tomolillo nie przepuści żadnego szczegółu.

– Mniej więcej takie jak tamte. – Carmey pokazuje na kartkę z różami na ścianie, każdy pąk wielkości brukselki. – Największe jakie mam na stanie. Zrobiłem im te róże i mówię: Spuszczę wam dziesięć dolarów, jeśli wróciacie mi pokazać jak zniknie blizna.

– Wróciły? – dowiadyuje się Ned.

– Pewnie że tak. – Carmey wydmuchuje kółko dymu, które zawisa w powietrzu trzydzieści centymetrów od jego nosa: siny, mglisty obrys róży stulistnej. – Powiedzieć wam, jakie prawo jest głupie? Mógłbym panią wytatuować wszędzie – starannie lustruje mnie wzrokiem – gdzie pani zechce. Na plecach. Na pupie. – Spuszcza powieki, można by pomyśleć, że się modli. – Na piersiach. Absolutnie wszędzie, tylko nie na twarzy, rękach i stopach.

– To prawo federalne? – pyta pan Tomolillo.

– Federalne – kiwa głową Carmey. – Mam żaluzję – celuje kciukiem w żaluzję z zakurzonych deszczulek, podciągniętą nad witrynę. – Spuszczam tę żaluzję i mogę prywatnie zrobić każdą część ciała. Z wyjątkiem twarzy, rąk i stóp.

– Na pewno dlatego, że je *widać* – mówię.

– Jasne. Weźmy w wojsku, przy musztrze. Nie wyglądałoby jak należy. Twarze i ręce by były po oczach, nie dałoby się zasłonić.

– Tak czy inaczej uważam – mówi pan Tomolillo – że to szokujące prawo, totalitarne prawo. W każdej demokracji powinna być wolność przyozdabiania swojego własnego ciała. No przecież jeśli jakaś pani chce mieć różę na wierzchu dłoni, no to chyba...

– Powinna ją mieć – kończy Carmey z mocą. – Ludzie powinni mieć to, czego chcą, niezależnie od wszystkiego. Miałem tu raz taką niedużą panią. – Carmey kładzie dłoń na płask niecałe pięć stóp nad podłogą. – Chciała Golgotę, z całym kramem, na plecach, i zrobiłem jej. Osiemnaście godzin zeszło.

Zerkam na łotrów i aniołów na plakacie Golgoty z pewnym powątpiewaniem. – Nie musiał pan tego trochę pomniejszyć?

– Nic a nic.

– Albo opuścić z jednego aniołka? – pyta Ned. – Albo kawałek tła?

– Ani trochę. Robota za trzydzieści pięć dolarów w pełnym kolorze, łotry, aniołkowie, staroangielski napis – cały kram. Wyszła z zakładu dumna jak paw. Nie każda nieduża pani ma na plecach całą Golgotę w pełnym kolorze. Kopiuje zdjęcia, które mi ludzie przynoszą, kopiuje gwiazdy filmowe. Co tylko zechcą, zrobi się. Mam trochę wzorów, których nie wiem na ścianie, żeby nie urazić niektórych klientów. Pokażę wam. – Carmey otwiera tekturowy segregator na stoliku z przodu pomieszczenia. – Żona musi posprzątać – mówi. – Straszny tu bajzel.

– Żona panu pomaga? – pytam z zainteresowaniem.

– Och, Laura siedzi tu ze mną przez większość dnia. – Z jakiegoś powodu Carmey nagle brzmi uroczyście jak mnich w niedzielę. Zastanawiam się, czy używa ją na wabia: Laura, wytatuowana dama, żywe arcydzieło, szesnaście lat pracy. Panie i panowie, nie znajdziecie na niej ani skrawka bieli, patrzcie, ile chcecie. – Powinniście czasem zaglądnąć i posiedzieć z nią, lubi pogadać. – Grzebie w segregatorze, nic nie wyjmuje, wtem przerywa i cały martwieje.

W drzwiach stoi zwałisty facet.

– Czym mogę służyć? – Carmey podchodzi do niego, maestro w każdym calu.

– Chcę tego orła, którego mi pan pokazywał.

Ned, pan Tomolillo i ja przywieramy do bocznych ścian, żeby przepuścić człowieka na środek pomieszczenia. Chyba marynarz po cywilnemu, sądząc po kurtce i wełnianej bluzie. Rombiasta głowa, najszersza między uszami, wyżej zbiega się w małe poletko krótkich czarnych włosów.

– Za dziewięć czy za piętnaście dolarów?

– Za piętnaście.

Pan Tomolillo wydaje z siebie dyskretne westchnienie podziwu.

Marynarz siada na krześle naprzeciw obrotowego fotela Carmeya, zdejmuje kurtkę, rozpiną lewy mankiet koszuli i zaczyna powoli podwijać rękaw.

– Pani sobie tu stanie – mówi do mnie Carmey niskim, zachęcającym głosem – to się pani dobrze przyjrzy. Jeszcze pani nie widziała, jak się tatuuje. – Odpadam od ściany, przechodzę do rogu na lewo od fotela Carmeya i siadam na skrzynce z papierami, ostrożnie jak kwoka na jajach.

Carmey znów przegląda segregator i tym razem wygrzebuje kwadratowy kawałek plastiku. – Czy to był ten?

Marynarz patrzy na orła wykłutego w plastiku. – To ten – mówi i oddaje plastik Carmeyowi.

– Mmmm – mruczy pan Tomolillo, składając hołd dobremu gustowi marynarza.

– Piękny orzeł – mówi Ned.

Marynarz prostuje się na krześle z niejaką dumą. Carmey tańczy teraz dokoła niego, kładzie mu na kolanach poplamioną na czarno konopną szmatę, układa na stole roboczym gąbkę, brzytwę, różne słoiki ze startymi etykietkami i miseczkę ze środkiem odkażającym – pedantycznie jak kapłan, który ostrzy maczetę na podtuczone cielę. Wszystko musi być tip-top. Wreszcie siada. Marynarz wyciąga do przodu prawe ramię, a Ned i pan Tomolillo osaczają go od tyłu. – Ned pochyla się znad prawego ramienia marynarza, pan Tomolillo znad

lewego. Ja siedzę obok Carmeya i mam najlepszy widok.

Szybkim, gładkim pociągnięciem brzytwy Carmey usuwa z przedramienia marynarza czarne, kudłate włosy i strzepuje je na podłogę palcem. Potem namaszcza oczyszczoną powierzchnię wazeliną ze słoiczka, który stoi na blacie stołu. – Miał pan już kiedyś robiony tatuaż?

– No. – Marynarz nie jest gadułą. – Raz. – Wzrok już ma utkwiony w jakiejś wizji za plecami Carmeya, za ścianą pomieszczenia, w którym się w piątkę znajdujemy.

Carmey posypuje plastikowy kwadrat jakimś czarnym proszkiem, który wciera w wykłute dziurki. Zarys orła ciemnieje. Szybkim obrotem Carmey przyciska plastik posypaną stroną do nasmarowanego ramienia marynarza. Kiedy oddziera plastik, który schodzi jak łupina cebuli, z ramienia żeglarza patrzy srogo orzeł, skrzydła rozpostarte, szpony gotowe do ataku.

– Ach! – Pan Tomolillo odchyła się do tyłu na swych korkowych obcasach i rzuca Nedowi znaczące spojrzenie. Ned z aprobatą unosi brwi. Marynarz nieznacznie rusza wargą. U niego to starczy za uśmiech.

– A teraz – Carmey zdejmuje jedną z elektrycznych nakłuwarek takim gestem, jakby wyciągał królika z kapelusza – pokażę wam, jak z orła za dziewięć dolarów zrobić orła za piętnaście dolarów.

Naciska guzik nakłuwarki. Bez efektu.

– Nie działa – wzdycha.

– Znowu? – jęczy pan Tomolillo.

Carmey doznaje olśnienia, śmieje się i dociska wtyczkę w kontakcie z tyłu. Tym razem, gdy naciska guzik nakłuwarki, maszynka bzyczy i iskrzy na niebiesko. – Wszystko gra, tylko źle podłączyłem.

– Dzięki Bogu – mówi pan Tomolillo.

Carmey napełnia zbiornik nakłuwarki czarnym barwnikiem ze słoiczka na półce. – Ten sam orzeł – Carmey opuszcza nakłuwarkę ku prawemu końcowi skrzydła orła – za dziewięć dolarów jest tylko czerwony i czarny. Za piętnaście dolarów zobaczycie melanż czterech kolorów. – Igła podąża za liniami wyznaczonymi przez proszek. – Czarnego, zielonego, brązowego i czerwonego. Chwilowo skończył się niebieski, bo byłoby pięć kolorów. – Igła odskakuje jak wiertarka pneumatyczna, ale Carmey ma dłoń pewną jak chirurg. – Ależ ja kocham orły!

– Sądzę, że pan żyje z państwowych orłów – mówi pan Tomolillo.

Czarny orzeł ścieka po krzywiźnie ramienia marynarza i kapie na sztywne, poplamione rzeźnicze płótno na kolanach, lecz igła biegnie dalej, wypiekając jedno po drugim pióra skrzydeł. Spod tuszu pęcznią jaskrawe paciorki czerwieni, banieczki serdecznej krwi zanieczyszczające czarną strugę.

– Ludzie narzekają – odzywa się śpiewnie Carmey. – Tydzień w tydzień dostają te same zażalenia: Nie ma pan nic nowego? Nie chcemy jednego typu orła, czerwonego z czarnym. Więc wymyśliłem ten melanż. Pan zobaczy. Orzeł cały w kolorze.

Orzeł zaczyna ginać w szerzącej się chmurze burzowej czarnego tuszu. Carmey przerywa, wkłada igłę do miski ze środkiem odkażającym. Z dna miski wykwita na powierzchnię gejzer bieli. Potem Carmey moczy w misce dużą, okrągłą gąbkę w kolorze cynamonowym i ściera tusz z ramienia marynarza. Spod warstwy skrwawionego tuszu wyłania się orzeł, kontur na gołej skórze.

– A teraz coś zobaczycie. – Carmey przekręca obrotową półeczkę, żeby mieć pod ręką słoiczek z zielonym barwnikiem i zdejmuje kolejną nakłuwarkę.

Marynarz uleciał gdzieś myślami, do Tybetu, Ugandy lub na Barbados, całe oceany i kontynenty dzielą go od kropel krwi wyskakujących w trop za szerokimi zielonymi smugami, które Carmey prowadzi w cieniu skrzydeł orła.

Mniej więcej wtedy zauważam dziwne zjawisko. Od ramienia marynarza bije jakiś mocny,

słodki zapach. Zataczam wzrokiem od zieleni zlewającej się z czerwienią ku koszowi na śmieci po mojej lewej ręce. Gdy patrzę na niewzruszony stos kolorowych opakowań po słodyczach, niedopałków papierosów i zlepionych chusteczek higienicznych w błotnistym kolorze, Carmey dorzuca na wierzch ligninę przesiąkniętą świeżą czerwienią. Za zarysem głów Neda i pana Tomolillo mrugają okiem i podrygują pantery, róże i panie o czerwonych sutkach. Jeśli upadnę, do przodu lub na prawo, trąc Carmeya w łokieć, a on zrani marynarza i zepsuje takiego świetnego orła za piętnaście dolarów, zaś ja skompromituję moją płęć. Jedyną alternatywą jest dać nura do kosza z zakrwawionymi papierami.

– Teraz robię brązowy – zawodzi Carmey gdzieś w oddali i znów wbijam wzrok w szklistoczerwone ramię marynarza. – Kiedy orzeł się wygoi, kolory zleją się ze sobą, zupełnie jak na obrazie.

Twarz Neda wygląda jak siedmiobarwny patchwork pobazgrany czarnym chińskim tuszem.

– Uwaga, bo zaraz... – poruszam ustami, ale nie wychodzi z nich żaden dźwięk.

Ned rusza ku mnie, ale jest dopiero w połowie drogi, gdy pomieszczenie gaśnie jak lampa.

Potem wiem tylko, że siedzę na chmurze, zaglądam do zakładu Carmeya rentgenowskim wzrokiem anioła i słyszę cichutkie brzęczenie pszczoły plującej błękitnym ogniem.

– Krew ją rąbnęła? – To głos Carmeya, daleki i ledwie słyszalny.

– Jest cała biała – mówi pan Tomolillo. – I ma coś dziwnego w oczach.

Carmey podaje coś panu Tomolillo. – Niech pan jej to da do powąchania. – Pan Tomolillo podaje coś Nedowi. – Ale nie za długo.

Ned przytyka mi coś do nosa.

Wdycham, i siedzę na krześle z przodu zakładu, z Golgotą w roli oparcia. Znów wdycham. Nie widzę, żeby ktoś się gniewał, więc nie wpadłam na nakłuwarkę. Ned zakręca buteleczkę z żółtym płynem. Sole trzeźwiące Yardleya.

– Gotowa do powrotu na miejsce? – Pan Tomolillo uprzejmie wskazuje na porzuconą pomarańczową skrzynkę.

– Prawie. – Instynkt każe mi grać na zwłokę. Szepczę panu Tomolillo do ucha, tylko trochę wyciągając szyję, taki jest niski: – Czy pan ma jakieś tatuaże?

Pod grzybnym rondem fedory pan Tomolillo wywraca oczy ku niebu. – Święci pańscy, nie! Przyszedłem w sprawie sprężyn. Sprężyny w maszynie pana Carmichaela mają zwyczaj psuć się w połowie roboty.

– Strasznie denerwujące.

– Właśnie dlatego tu jestem. Testujemy nową sprężynę, znacznie cięższą. Wie pani, jakie to nieprzyjemne, gdy siedzi pani w fotelu dentystycznym, mając w ustach Bóg wie co...

– Waciki i metalowe rurki...?

– Dokładnie. I w trakcie tego wszystkiego dentysta odwraca się – dla ilustracji pan Tomolillo skręca tułów o ćwierć obrotu i przybiera złowrogi, tajemniczy wyraz twarzy – i przez dziesięć minut dłubie w maszynierii, a pani nie wie po co. – Twarz pana Tomolillo wygląda się jak prześcieradło pod żelazkiem parowym. – W tej sprawie przyszedłem, w sprawie mocniejszej sprężyny. Sprężyny, która nie zawiedzie zaufania klienta.

Gdy kończy swoją przemowę, jestem już gotowa do powrotu na honorowe miejsce pod tylną ścianą. Carmey już zrobił brązowy kolor i pod moją nieobecność tusze zlały się ze sobą. Na tle wygolonej skóry pokaleczony orzeł wzbiera trójbarwną furiją, szpony ostro zakrzywione jak rzeźnicze haki.

– Chyba trochę podczerwienimy oko?

Marynarz kiwa potakująco głową, więc Carmey odkręca wieczko słoika w kolorze przecieru pomidorowego. Gdy tylko odejmuje igłę od ramienia, skóra marynarza wypryska czerwonymi paciorkami, teraz już nie tylko z czarnego obrysu ptaka, lecz z całego pokierszowanego, tęczowego ciała.

– Czerwień – mówi – pięknie wszystko uwypukła.
– Zachowuje pan krew? – pyta nagle pan Tomolillo.
– Na mój gust – mówi Ned – powinien pan wejść w jakiś układ z Czerwonym Krzyżem.
– Z bankiem krwi! – Po solach trzeźwiących mam w głowie przejrzysto jak w pogodny dzień na górze Monadnock. – Wystarczy położyć na podłodze miedniczkę, żeby łąpała krople.

Carmey robi orłowi czerwone oko. – My wampiry nie dzielimy się krwią. – Oko orła czerwienieje, ale teraz nie da się odróżnić krwi od tuszu. – Słyszeliście kiedyś, żeby wampir dzielił się krwią?

– Nnnie... – przyznaje pan Tomolillo.

Carmey oblewa skórę nad orłem czerwienią, toteż ukończony orzeł pręży się na tle czerwonego nieba, zrodzony i ochrzczony w krwi swego właściciela.

Marynarz powraca z nieznanymi krainami.

– Ładny? – Swą gąbką Carmey ściera z orła krwawy śluz, tak jak uliczny portrecista zdmuchuje pył pastelami z Białego Domu, Liz Taylor lub pieska Lassie.

– Zawsze mówię – odzywa się marynarz do wszystkich i do nikogo – że jak zrobić sobie tatuaż to tylko najlepszy. Albo najlepszy albo wcale. – Spuszcza wzrok na orła, który mimo przetarcia przez Carmeya zaczął znowu krwawić. Na chwilę zapada cisza. Carmey na coś czeka, nie na pieniądze. – Ile za napis Japonia pod spodem?

Na twarzy Carmeya wykwita zadowolony uśmiech. – Dolar.

– To niech pan napisze Japonia.

Carmey zaznacza litery na przedramieniu marynarza, dodatkowo ozdabiając ogonek J, brzusek P i ostatnie N: list miłosny do podbitego przez orła Orientu. Napęnia nakłuwarkę i zaczyna od J.

– Z tego, co wiem – mówi pan Tomolillo swym wyraźnym głosem wykładowcy – Japonia jest centrum tatuażu.

– Jak ja tam byłem – odzywa się marynarz – tatuaż był zakazany.

– Zakazany! – dziwi się Ned. – Dlaczego?

– Och, oni teraz uważają, że to *barbarzyństwo*. – Carmey nie podnosi oczu od drugiego A; igła reaguje pod jego władczy palcem jak ujeżdżony mustang. – Oczywiście są tacy, co to robią. Nielegalnie. Zawsze się tacy znajdują. – Wykańcza N i ściera gąbką wezbraną krew, która jakby specjalnie chciała rozmazać jego mistrzowską kreskę. – O coś takiego panu chodziło?

– Tak jest.

Carmey zwija kawałek ligniny w rodzaj opatrunku i przykładą do orła i Japonii. Zręcznie, jak ekspedientka pakująca towar, mocuje ligninę plastrem.

Marynarz wstaje i wbija się w kurtkę. Kilku nastolatków, wychudzonych, białych i przyszczytanych, tłoczy się w drzwiach, żeby popatrzeć. Marynarz bez słowa wyjmując portfel i odlicza szesnaście banknotów dolarowych z zielonego zwitka. Carmey dokonuje przelewu gotówki do swojego portfela. Nastolatki odstępają od drzwi, żeby wypuścić marynarza na ulicę.

– Mam nadzieję, że pan się nie gniewa, że zaśląbłam.

Carmey uśmiecha się szeroko. – A jak pani myśli, po co trzymam pod ręką te sole? Duże chłopcy czasem mi tu mdleją. Kumple ich podpuszczają, żeby do mnie przyszli, a oni nie wiedzą, jak się wykręcić. Czasem mi cały kubeł zarzycją.

– Jeszcze się jej nigdy nie zdarzyło coś takiego – mówi Ned. – Widziała przeróżną krew. Porody. Walki byków. Tego typu sprawy.

– Podekscytowała się pani. – Carmey częstuje mnie papierosem, sam też wyjmując jednego, Ned też, a pan Tomolillo mówi dziękuję. – Była pani cała spięta i dlatego to się stało.

– Ile kosztuje serce?

Głos pochodzi od chłopaka w czarnej kurtce skórzanej z przodu zakładu. Jego koledzy trącają się łokciami i zanoszą chrapliwymi, szczenięcymi piskami śmiechu. Chłopiec jednocześnie uśmiecha się i rumieni pod purpurową grawiurą trądziku. – Serce ze wstęgą pod spodem i imieniem na wstędze.

Carmey opiera się na fotelu obrotowym i wkłada kciuki za pasek. Papieros chybcze na jego dolnej wardze. – Cztery dolary – mówi bez zmruczenia oka.

– Cztery dolary? – Głos chłopca idzie do góry i łamie się niedowierzająco. Cała trójka mruczy coś w drzwiach i przebiera nogami.

– W asortymencie serc nie ma nic poniżej trzech dolarów.

– Carmey nie idzie na ustępstwa sknerom. Chcesz mieć różę, chcesz mieć w życiu serce, to płać. Choćbyś nie miał z czego.

Chłopiec ociąga się przed plakatami serc na ścianie, różowych, bujnych serc, serc przebitych strzałą, serc ujętych w wieniec jaskrów. – Ile za samo imię? – pyta cichutkim, błagalnym głosem.

– Jeden dolar. – Ton Carmeya jest bardzo rzeczowy.

Chłopiec wyciąga przed siebie lewą rękę. – Chcę Ruth.

– Przeciąga wyimaginowaną linię przez lewy nadgarstek. – Tutaj... żebym mógł zakryć zegarkiem jakby co.

Jego dwaj koledzy w drzwiach parszczą śmiechem.

Carmey wskazuje na krzesło z oparciem i kładzie wypalonego do połowy papierosa na szafeczce obrotowej, pomiędzy dwoma słoiczkami z barwnikiem. Chłopiec siada, trzymając na kolanach podręczniki szkolne.

– Co będzie – pan Tomolillo zwraca się ogólnie do świata – jeśli zechcesz zmienić imię? Wykreślisz i napiszesz wyżej nowe?

– Mógłbyś – radzi Ned – nosić zegarek na starym imieniu, żeby było widać tylko nowe.

– A potem drugi zegarek – mówię – nad pierwszym, kiedy będzie potrzebne trzecie imię.

– Dopóki – kiwa głową pan Tomolillo – nie będziesz miał zegarków aż po pachę.

Carmey goli rzadki meszek włosów z nadgarstka chłopca.

– Ktoś cię nieźle wystawił do wiatru.

Chłopiec gapi się w swój nadgarstek ze speszonym i niepewnym uśmiechem, uśmiechem, który być może jest tylko publicznym substytutem płaczu. Prawą dłonią ścisną podręczniki, żeby mu nie zjechały z kolana.

Carmey kończy zaznaczać R-U-T-H na nadgarstku chłopca i włącza nakłuwarękę. – Wywali cię na zbity pysk, jak to zobaczy. – Ale chłopiec kiwa na niego głową, żeby zaczynał.

– Dlaczego? – pyta Ned. – Dlaczego miałyby go wywalić na zbity pysk?

– Wziął i poszedł się wytatuować! – Carmey odgrywa afektowane obrzydzenie. – I to samo imię! Tylko tyle do mnie czujesz? Będzie chciała róż, ptaków, motyli... – Przez chwilę igła nie chce wyjść i chłopiec otrząsa się jak żrebak. – A jeśli sobie zażyczysz te wszystkie michałki, żeby ją zadowolić – różę...

– Ptaki i motyle – wtrąca pan Tomolillo.

– ...to masz pewne jak w banku, że ci powie: Jak można wyrzucać tyle pieniędzy na takie byle co? – Igła wędruje z sykiem do miski ze środkiem odkażającym. – Z kobietą nie wygrasz. – Kilka wątych kropelek krwi błyszczą wzdłuż liter, liter tak czarnych i zwykłych, że można by je wziąć za wypisane po prostu piórem. Carmey przylepia do imienia wąski opatrunek z ligniny. Cała operacja trwa mniej niż dziesięć minut.

Chłopiec wygrzebuje z tylnej kieszeni wymięty banknot dolarowy. Koledzy klepią go przyjaźnie w ramię, po czym we trójkę przeciskają się przez drzwi, wszyscy naraz, trącają się łokciami, popychają, podkładają nogi. Kilka przyciśniętych do szyby twarzy, białych jak mięso rybne, rozmywa się, nie wytrzymując przeciągłego spojrzenia Carmeya.

– Nic dziwnego, że szczeniak nie chce serca, nie wiedziałby, co z nim zrobić. Za tydzień

wróci i każe sobie zrobić Betty albo Dolly albo jakąś inną, tylko czekajcie. – Wzdycha, podchodzi do tekturowego segregatora, wyjmując plik zdjęć, których nie chciał wieszać na ścianie i puszcza je w koło. – Jedno zdjęcie to bym chciał mieć. – Carmey opiera się w fotelu obrotowym i kładzie swe kowbojskie buty na niedużej skrzynce. – Motyla. Mam zdjęcia polowania na króliczki. Mam zdjęcia pań z wężami, które wiją im się po nogach i do środka, ale zarobiłbym mnóstwo pieniążków, gdybym miał zdjęcie motyla na kobiecie.

– Jakiś dziwny gatunek motyla, którego trudno złapać? – Ned patrzy w stronę mojego brzucha, jak na jakiś wysokiej jakości pergamin na sprzedaż.

– Nie chodzi o to, jaki motyl, tylko gdzie. Jedno skrzydło na każdym udzie. Wiecie, jak motyle na kwiatku trzepoczą skrzydłami, tak bardzo delikatnie? Wystarczy, że kobieta się trochę poruszy, a motyl wygląda, jakby w nią wchodził i wychodził. Tak bardzo bym chciał zdjęcie czegoś takiego, że motyla bym robił praktycznie za darmo.

Przez chwilę się zastanawiam nad złotym motylem z Nowej Gwinei, skrzydła od biodra do kolana, dziesięć razy naturalnej wielkości, ale szybko wybijam to sobie z głowy. Byłoby dość głupio, gdyby moja skóra szybciej mi się znudziła, niż zeszłoroczne ciuchy.

– Mnóstwo kobiet każe sobie zrobić motyla w tym konkretnym miejscu – ciągnie Carmey – ale żadna nie pozwoli sobie zrobić zdjęcia po robocie. Nawet od pasa w dół. Nie sądzicie, że nie prosiłem. Z tego, jak się zachowują, gdy tylko o tym wspomnę, można by pomyśleć, że w całych Stanach Zjednoczonych wszyscy by je rozpoznali.

– Czy żona by się nie zgodziła? – sugeruje nieśmiało pan Tomolillo. – Wie pan, zostałyby w rodzinie.

Carmey krzywi się, jakby dotknięty bólem. – Nie da rady – potrząsa głową, a w głosie czuć zadumę i żal. – Nie da rady, Laura nie chce słyszeć o igle. Myślałam, że z czasem to polubi, ale nic z tego. Wciąż czuję się tak, jakby mi mówiła, co ja w tym wszystkim widzę. Laura jest bielutka jak nowo narodzona. Przecież ona *nienawidzi* tatuażu.

Do tej pory jak kretynka snułam wizje intymnych wizyt, jakie składam Laurze. Wyobrażałam sobie gibką, jędrną Laurę, motyl zrywający się do lotu na każdej piersi, kwitnące róże na pośladkach, strzegący złota smok na plecach i Sindbad Żeglarz w sześciu kolorach na brzuchu; każdy skrawek skóry mówi, że to kobieta z doświadczeniem, kobieta, od której można się nauczyć życia. Co za naiwność.

Siedzimy we czwórce w smogu dymu papierosowego, bez słowa, gdy nagle wchodzi krągła, muskularna kobieta, a zaraz za nią tłustowłosa mężczyzna o mrocznym, prowokacyjnym wyrazie twarzy. Kobieta jest zakutana po brodę we wściekle szafirowy wełniany płaszcz; chustka w kolorze fuksji zakrywa całe połyskliwe blond włosy z wyjątkiem pompadouru nad czołem. Siada na krześle przy oknie, nie zważając na Golgotę, i wlepia natarczywy wzrok w Carmeya. Mężczyzna zajmuje pozycję bojową obok niej i też ma oko na Carmeya, jakby się spodziewał, że bryknie bez ostrzeżenia.

Następuje chwila brzemiennej ciszy.

– No, proszę – mówi Carmey miłym głosem, ale bez entuzjazmu – jest małżonka.

Patrzę na kobietę po raz drugi i wstaję z wygodnego miejsca na skrzynce u boku Carmeya. Z wartowniczej postawy dziwnego mężczyzny wnioskuję, że to brat Laury albo jej goryl, albo zatrudniony przez nią prywatny detektyw dla klas niższych. Pan Tomolillo i Ned kierują się zgodnym ruchem ku drzwiom.

– Musimy się zbierać – mruczę, gdyż najwyraźniej nikt inny nie ma zamiaru zabrać głosu.

– Przywitaj się z państwem, Laura – błaga Carmey, oparty plecami o ścianę.

Ogarnia mnie współczucie, a nawet litość. Zniknęła szarmanckość Carmeya i wesoła gadka.

Laura nie odzywa się ani słowem. Czeką z niewzruszonym spokojem krowy, aż wyniesiemy się wszyscy troje. Wyobrażam sobie jej ciało, białe jak nagrobna chryzantema i zupełnie nagie – ciało kobiety jak zakonnica odpornej na gniew orła, pożądanie róży. Ze

ściany Carmeya menażeria świata wyje i gapi się tylko na nią.

Ci z ulicy Kwietnej

Okazuje się, nie potrzebne mi są komunikaty o nadciągającym huraganie, ogłaszane w dzienniku radiowym o siódmej rano, by wiedzieć, że dzisiejszy dzień będzie niedobry. Już z samego rana, gdy przechodziłam przez hol kliniki na trzecim piętrze, by otworzyć biuro znalazłam pod drzwiami plik kart rejestracyjnych pacjentów, który już czekał tu na mnie, punktualny jak gazeta poranna. Lecz w związku z tym, że był to tylko cienki plik – ponieważ czwartek jest u nas zwykle dniem bardzo pracowitym – już z góry wiem, że będę musiała przez dobre pół godziny wydzwaniać do poszczególnych działów archiwum, by zdobyć brakujące dane. Poza tym, już tak wcześnie rano moja biała azurowa bluzka utraciła sztywność i czuję, jak mała wilgotna plama powiększa się pod moimi pachami. Za oknami niebo wisiało nisko, chmury były gęste i żółte jak sos holenderski. Otwieram okno w biurze, by przewietrzyć pokój, ale nic to nie daje. Powietrze wisi nieruchomo, cięższe od mokrej bielizny w suterenie. Przecinam sznurek opasujący teczki z aktami personalnymi i z okładki leżącej na wierzchu karty spogląda na mnie czerwona pieczęć ze słowem: UMARŁA, UMARŁA, UMARŁA.

Próbuję odczytać litery jako MARTA, lecz to się nie udaje. Nie żebym było przesądna, choć rozmazany tusz na okładce teczki zawierającej historię choroby jest rdzawy jak krew, ale oznacza to po prostu, że Lilian Ulmer UMARŁA, a numer dziewięć-jeden-siedem-zero-sześć został skreślony w archiwum z rejestru żywych. Ponury Billy z Dziewiątego Oddziału, bez złych intencji, znów pomieszał numery. Niezależnie od wszystkiego przy tak zasnutym niebie i nadciągającym z grzmotami na wybrzeże huraganie, czuję, że Lilian Ulmer (niech spoczywa w spokoju) rozpoczęła dla mnie ten dzień niepomyślnie.

Gdy wchodzi moja szefowa, panna Taylor, pytam ją, dlaczego dla zaoszczędzenia miejsca w kartotece, nie pali się akt personalnych osób, które przewieziono na ulicę Kwietną. Lecz ona mówi, że nieraz trochę dłużej przechowuje się akta tych pacjentów, których choroba stanowi ciekawy przypadek i że mogłaby zająć potrzeba sporządzenia wykazu osób, które chorowały na taką chorobę lub zmarły.

To moja przyjaciółka, Doty Berrigan z Kliniki Antyalkoholowej powiedziała mi o ulicy Kwietnej. Doty podjęła się oprowadzić mnie po szpitalu, gdy zaczęłam pracować jako sekretarka na Oddziale Psychiatrycznym dla Dorosłych. Pracowała obok mnie, na tym samym oddziale i wspólnie zajmowałyśmy się wieloma przypadkami.

– Zdaje się, że masz tutaj każdego dnia wielu nieboszczyków – powiedziałam.

– Jeszcze ilu – odparła. – Wszelkie możliwe wypadki i pobicia napływają z Południowej Dzielnicy regularnie jak podatki.

– A gdzie trzymają umarłych? – zapytałam. Nie chciałam bowiem przez pomyłkę wejść nagle do pokoju pełnego ludzi ubranych do trumny lub pokrajanych, a zdawało mi się, że bardzo łatwo mogłam zabłądzić pośród niezliczonych kondygnacji i korytarzy w tym największym szpitalu świata.

– W jednym z pomieszczeń na ulicy Kwietnej. Pokażę ci, gdzie. Lekarze nigdy nie mówią wyraźnie, że ktoś umarł, by nie przygnębiać pacjentów. Mówią: „Ilu z waszych pacjentów udało się w tym tygodniu na ulicę Kwietną?” A na to facet odpowiada: „dwoje” lub „pięciu”. Albo iluś tam. To z ulicy Kwietnej wysyła się ciała do zakładów pogrzebowych, by je przygotować do spalenia.

Doty jest niezrównana. Jest prawdziwą kopalnią wiadomości, kursuje między Oddziałem Nagłych Wypadków, gdzie rejestruje alkoholików, a Oddziałem Psychiatrycznym, w którym porównuje dane z dyżurnymi lekarzami, nie mówiąc już o jej randkach z różnymi

przedstawicielami personelu szpitalnego, raz nawet z chirurgiem, a kiedyś znów ze stażystą Persem. Dotty jest Irlandką – dość niską i pulchną, lecz ubiera się tak, by wyglądać jak najlepiej; zawsze ma coś niebieskiego – lazur harmonizuje z barwą jej oczu – nosi obcisłe czarne swetry, które sama kopiuje według modeli z „Vogue’u” i wysokie czółenka na cienkich stalowych obcasach.

Córa, pracująca na Oddziale Socjalnym Kliniki Psychiatrycznej, nie opodal nas, w niczym nie przypomina Dotty – zbliża się do czterdziestki, co można odgadnąć po zmarszczkach wokół oczu, choć utrzymuje rudość włosów dzięki koloryzującym płukankom. Córa mieszka razem z matką, a słuchając jej opowieści można by ją wziąć na naiwną nastolatkę. Pewnego wieczoru zaprosiła do siebie na kolację i brydza trzy dziewczyny z Kliniki Neurologicznej. Wstawiła do piecyka zmrożone ciastka malinowe w żaroodpornym naczyniu, no i dziwiła się, że po godzinie nie były gorące, a przecież ani przez chwilę nie pomyślała o tym, by włączyć piekarnik. Podczas wakacji zwykła też brać udział w autobusowych wycieczkach nad Jezioro Louise i w rejsach do Nassau, by znaleźć odpowiedniego dla siebie męża, lecz spotykała na nich jedynie dziewczyny z Kliniki Onkologicznej lub Chirurgicznej podróżujące w tym samym celu.

W każdy trzeci czwartek miesiąca mamy zebranie sekretarek w Izbie Pamięci Hunnewella na drugim piętrze. Córa wywołuje wtedy Dotty i obie wstępują po mnie; idziemy, stukając obcasami, w dół po kamiennych schodach do tej rzeczywiście pięknej sali poświęconej w 1892 roku – jak głosi tabliczka z brązu umieszczona nad drzwiami – doktorowi Augustowi Hunnewellowi. Pokój pełen jest szklanych gablotek ze starymi instrumentami medycznymi, a ściany pokrywają wyblakłe, czerwonobrazowe dagerotypy z okresu wojny secesyjnej, przedstawiające lekarzy o długich i bujnych brodach, jak brody braci Smith na opakowaniach pastylek od kaszlu. Pośrodku pokoju stoi duży, ciemny, owalny stół z orzecha włoskiego, którego rzeźbione nogi imitują łapy lwa, z tym, że nie są pokryte futrem a jedynie łuskami. Stół zajmuje prawie całą przestrzeń od ściany do ściany, a jego blat jest tak wypolerowany, że można przejrzeć się w nim jak w lustrze. Zasiadamy wokół tego stołu, paląc papierosy i rozmawiając, czekając, aż przyjdzie pani Rafferty i otworzy zebranie.

Minnie Dapkins, drobna siwowłosa recepcjonistka z Oddziału Chorób Skórnych, rozdaje różowe i żółte karteczki. – Czy jest doktor Crawford na Neurologii? – pyta, trzymając w ręku różowy blankiet.

– Doktor Crawford! – wybucha śmiechem Mary Ellen z Oddziału Neurologicznego, a jej ciemne opływowe ciało wtłoczone w suknię w kwiatki trzęsie się jak galareta. – Umarł sześć lub siedem lat temu, kto go szuka?

Minnie ściąga usta, układając je w zwarty różany pączek.

– Pewna pacjentka powiedziała, że leczyła się u doktora Crawforda – odpowiada chłodno.

Minnie nie może znieść braku szacunku dla zmarłych. Pracuje w tym szpitalu, odkąd wyszła za męża, od lat kryzysu, i niedawno podczas specjalnej uroczystości dla sekretarek z okazji świąt Bożego Narodzenia, otrzymała srebrną odznakę na swoje dwudziestopięciolecie. Wieść głosi, że w ciągu tego czasu ani razu nie zażartowała z żadnego pacjenta ani nieboszczyka, w przeciwieństwie do Mary Ellen, Dotty lub nawet Córy, które w każdej sytuacji potrafią dostrzec coś zabawnego.

– Dziewczyny, co zrobicie w razie huraganu? – szepcze Córa do mnie i do Dotty, pochylając się nad stołem, by strącić popiół z papierosa do szklanej popielniczki, na której dnie widać od spodu pieczętkę szpitala. – Strasznie martwię się o swoje auto. Motor wilgotnieje od wiatru morskiego i nie zapala.

– Och, nie naciągaj, póki nie skończymy pracy – mówi Dotty jak zwykle zdawkowo. – Zdążycie dotrzeć do domu.

– Nadal nie podoba mi się wygląd nieba – mówi Córa i marszczy piegowaty nos, jakby poczuła nieprzyjemny zapach.

Mnie też nie podoba się wygląd nieba. Odkąd weszliśmy, pokój powoli ciemniał, a teraz siedzimy niemal w półmroku; dym snuje się z naszych papierosów i zawisa jak całun w gęstym powietrzu. Przez chwilę nikt nic nie mówi. Wydaje się, że Córa wyraziła skryty niepokój nas wszystkich.

– Dziewczyny, co nas napadło! Jesteśmy ponure jak na pogrzebie! I oto nagle, jak za dotknięciem magicznej różdżki, zapalają się żarówki elektryczne w czterech miedzianych kloszach i pokój rozjaśnia się, odsuwając od nas sztormowe niebo, niegroźne teraz jak namalowana dekoracja teatralna. Pani Rafferty podchodzi do szczytu stołu, jej srebrne bransolety u obu rąk wydzwaniają wdzięczną melodię, a zwisające kolczyki, dokładne miniaturowe kopie stetoskopów, radośnie dyndają w pulchnych małżowinach usznych. Z pełnym uroku podnieceniem rozkłada na stole notatki i papiery; jej utleniony kok lśni w świetle lampy jak metalowy kołpak. Nawet Córa porzuca kwaśną minę wobec tak profesjonalnej promienności.

– Wyjaśnimy szybko nasze sprawy, a potem nieco się pokrzepimy; poleciłam jednej z dziewczyn, by przyniosła nam ekspres do parzenia kawy. – Patii Rafferty rozgląda się wokół stołu, przyjmując z uśmiechem zadowolenia okrzyki radości.

– Trzeba to w niej docenić – szepce mi Dotty do ucha. – Staruszka powinna to opatentować.

Pani Rafferty rozpoczyna od dobrodusznych napomnień. Jest prawdziwym buforem między nami a hierarchią administracji oraz między nami a lekarzami, którzy podlegają rozlicznym szaleństwom, słabostkom, którzy mają nieczytelny charakter pisma (kiedyś pani Rafferty, jak głosi wieść, miała powiedzieć: „Widziałam lepsze w przedszkolu”), i nie chcą czy nie potrafią wypisać recept i diagnoz po właściwej stronie kart ewidencyjnych pacjentów, itd.

– No a poza tym – mówi, podnosząc żartobliwie palec do góry – dochodzą do mnie liczne skargi na dzienne raporty statystyczne. Niektóre napływają bez pieczętki szpitala i daty... – w tym miejscu przerywa, by dziewczęta uświadomiły sobie w pełni rozmiar tego przewinienia. – Niektóre są źle podsumowane. Niektóre... – znów przerywa – w ogóle nie napływają.

Spuszczam oczy i próbuję opanować rumieniec, który oblewa moje policzki. Rumienie się nie z powodu mojego przewinienia, lecz mojej przełożonej, panny Taylor, która zwierzyła mi się wkrótce po mym przybyciu, że serdecznie nienawidzi statystyki. Spotkania naszych pacjentów z psychiatrami przeciągają się nieraz poza czas urzędowania i oczywiście panna Taylor nie może dostarczyć każdego wieczoru danych statystycznych, chyba że stanie się jeszcze większą męczennicą biura, niż jest nią do tej pory.

– Dość tego, dziewczyny.

Pani Rafferty spogląda na notatki, pochyła się, by czerwonym ołówkiem odfajkować punkt i znów prostuje się jak trzcina.

– Kolejna sprawa. Archiwiści twierdzą, że żąda się od nich kart, które wy macie pod ręką w waszych segregatorach i są po prostu wściekli z tego powodu.

– Są wściekli, to prawda – mruczy pogodnie Mary Ellen, przewracając oczyma tak, że przez chwilę widać jedynie białka jej oczu. – Ten facet, jak mu tam, na Oddziale Dziewiątym zachowuje się tak, jakbyśmy nie miały prawa w ogóle czegokolwiek żądać.

– Och, to Billy – mówi Minni Dapkins.

Ida Kline i kilka dziewczyn, zatrudnionych w sali maszynistek w pierwszej suterenie, szczebiocą między sobą, a potem milkną.

– Chyba już wszystkie wiecie – pani Rafferty uśmiecha się znacząco do zgromadzonych przy stole – że Billy ma własne kłopoty. Nie bądźcie więc dla niego zbyt surowe.

– Czy on odwiedza kogoś w twojej klinice? – pyta mnie szeptem Dotty, a ja mam zaledwie czas skinąć głową, bo przenikliwe zielone oczy pani Rafferty uciszają nas i działają na nas jak strumień zimnej wody.

– Chcę się poskarżyć, pani Rafferty – wtrąca się Córa, korzystając z chwili przerwy. – Co się dzieje w Izbie Przyjęć? Każę swoim pacjentom przychodzić o godzinę wcześniej na spotkanie z dziewczynami z Działu Socjalnego, by zdołali przebrnąć przez formalności, zapłacić w kasie i załatwić resztę spraw, a jednak nie jest to dość wcześnie. Dzwonią zdenerwowani z dołu, już spóźnieni od dziesięciu minut, donosząc mi, że ogonek nie posunął się od pół godziny, a dziewczyny z Działu Socjalnego, pracujące u mnie, też czekają. Cóż mam więc robić w takim przypadku?

Pani Rafferty opuszcza szybko wzrok na swe notatki, jakby miała tam zapisaną odpowiedź na pytanie Córy. Sprawia wrażenie trochę zakłopotanej.

– Niektóre z dziewczyn uskarżają się na to samo, Coro – mówi w końcu i podnosi oczy. – Brakuje nam jednej dziewczyny w Izbie Przyjęć. Tak, to ogromna praca przejść całą tę procedurę...

– Czy nie można by zaangażować gula? – pyta śmiało Mary Ellen. – To znaczy, chciałabym zapytać, co ich od tego powstrzymuje?

Pani Rafferty wymienia szybkie spojrzenie z Minnie Dapkins. Minnie swoim zwyczajem pociera blade jak papier ręce i oblizuje usta jak królik. Na zewnątrz, za otwartymi oknami, zerwał się lekki wiaterek i chyba zbiera się na deszcz, choć może to tylko szelest i szuranie papierów rozwiewanych po ulicy.

– Sądzę, że mogę być szczerą i powiadomić was o tym – mówi pani Rafferty. – Niektóre już o tym wiedzą, Minnie wie. Powodem, dla którego wstrzymujemy się z zaangażowaniem kogoś na to stanowisko, jest... Emilia Russo. Powiedz im, Minnie.

– Emilia Russo – obwieszcza Minnie grobowym tonem – ma raka. Obecnie przebywa w tym szpitalu. Chcę powiadomić wszystkich, którzy ją znają, że ona tęskni za towarzystwem. Można ją odwiedzać, ponieważ nie ma nikogo bliskiego, kto byłby przy niej...

– Ojej, nie wiedziałam o tym – mówi wolno Mary Ellen. – To okropne!

– Potwierdziły to ostatnie badania kontrolne – oświadcza pani Rafferty. – Jej życie wisi na włosku. Oczywiście, te nowe lekarstwa uśmierzają ból. I jeszcze jedno, choć Emilia jest taka chora, liczy na to, że powróci na swe stanowisko. Ona kocha swoją pracę, żyła nią przez czterdzieści lat, a doktor Gilman nie chce jej powiedzieć brutalnej prawdy, że na pewno nigdy już nie wróci do pracy, z obawy by nie wywołać u niej szoku. Emilia pyta każdego, kto ją odwiedza: „Czy obsadzono już moje miejsce? Czy zaangażowano już kogoś w Izbie Przyjęć?” Z chwilą, gdy to miejsce zostanie obsadzone, Emilia domyśli się, że wydano na nią nieodwołalnie wyrok śmierci.

– A co z zastępstwem? – usiłuje dowiedzieć się Córa.

– Można by powiedzieć, że ten ktoś jest chwilowo w wielkiej potrzebie.

Pani Rafferty potrząsa gładko ufryzowaną, złocistą głową.

– Nie, Emilia jest w takim stanie, że nie uwierzyłaby nam, pomyślałaby, że chcemy podtrzymać ją na duchu. Ludzie w jej położeniu są niezwykle czujni. Nie możemy podjąć tego ryzyka. Sama zachodzę do Izby Przyjęć, kiedy tylko mam czas i pomagam, jak mogę. To już... – jej głos obniża się, rzeczowy jak głos przedsiębiorcy pogrzebowego – niedługo, jak twierdzi doktor Gilman.

Minnie zbiera się na płacz. Całe zgromadzenie czuje się gorzej niż w chwili, gdy weszła pani Rafferty; wszystkie pochylają głowy nad papierosem lub zdrapują lakier z paznokci.

– No, no, dziewczyny, nie przejmujcie się tak bardzo – mówi pani Rafferty, rzucając im pogodne, ironiczne spojrzenie.

– Emilia nie miałaby nigdzie lepszej opieki. Jestem pewna, że wszystkie przyznacie, iż doktor Gilman jest dla niej jak bliski krewny, ona zna go od dziesięciu lat. Możecie ją odwiedzać, sprawiłoby to jej przyjemność...

– A co z kwiatami? – wtrąca Mary Ellen. Wokół rozchodzi się powszechny szmer aprobaty. Za każdym razem, gdy któraś z nas zachoruje, zaręczy się, wyjdzie za mąż lub

urodzi dziecko (choć to ostatnie jest znacznie rzadsze od całej reszty) albo też otrzyma oficjalną nagrodę, robimy składkę i posyłamy kwiaty lub jakiś stosowny prezent wraz z kartkami. To pierwszy przypadek śmiertelnej choroby, z jakim się dotąd zetknęłam; muszę też przyznać, że dziewczyny są wyjątkowo miłe.

– Może coś różowego, wesołego? – podsuwa Ida Kline.

– A może wieniec? – mówi cicho świeżo przyjęta mała stenotypistka. – Wielki różowy wieniec, na przykład z goździków.

– Tylko nie wieniec, dziewczyny! – jęknęła pani Rafferty. – Przez wzgląd na wrażliwość Emilii w żadnym razie nie wieniec, na Boga.

– A więc flakon – podsuwa Dotty. – Pielęgniarki zawsze skarżą się na brak flakonów. Jakiś naprawdę ładny flakon, może ze szpitalnego sklepu z upominkami; mają tam importowane flakony, a we flaconie bukiet z rozmaitych kwiatów ze szpitalnej kwiaciarni.

– To dobry pomysł, Doroto. – Pani Rafferty sprawia wrażenie uspokojonej. – To bardziej stosowne. Ile z was wyraża zgodę na flakon i bukiet z mieszanych kwiatów? – Wszystkie, łącznie z małą stenotypistką, podnoszą ręce w górę. – Wyznaczam cię, Doroto, odpowiedzialną za to – kontynuuje pani Rafferty. – Zanim się rozejdziecie, złożcie składki na ręce Doroty, a po południu puścimy w obieg kartkę, by każda z was podpisała się na niej.

Zebranie zakończone. Wszystkie dziewczyny rozmawiają z sobą, niektóre już wyciągają dolary z torebek i przez stół podają je Dotty.

– Spokój! – woła pani Rafferty. – Proszę o chwilę spokoju, dziewczyny! – W ciszy, która teraz zalega, słychać sygnał nadjeżdżającej karetki pogotowia, natęża się on i cichnie, jest jak zawołanie zwiastujące śmierć, mija nasze okna, słabnie na zakręcie, by w końcu ustać całkiem przy wejściu na Oddział Nagłych Wypadków. – Muszę poinstruować was, jak macie się zachować podczas huraganu, bo może zastanawiałyście się, jak trzeba wtedy postępować. Ostatni komunikat głównego instytutu donosi, że huragan może zerwać się około południa, ale nie bójcie się. Zachowajcie spokój. Pracujcie jak zawsze (wesoły śmiech maszynistek), a przede wszystkim nie okazujcie pacjentom lęku. Będą i bez tego dość zdenerwowani. Te z was, które mieszkają daleko, mogą przenocować w szpitalu, jeśli będzie niebezpiecznie. Łóżka połowę są rozłożone w salach kliniki i całe trzecie piętro jest dla was zarezerwowane, chyba żeby się zdarzył jakiś nagły wypadek.

W tym momencie drzwi wahadłowe otworzyły się gwałtownie i weszła pielęgniarka, wtaczając na metalowym wózku ekspres do kawy. Jej buty na gumowych podszewkach piszczały, jakby stąpała po żywych myszach.

– Zebranie zakończone – oznajmiła pani Rafferty. – Zapraszam wszystkie na kawę.

Dotty odciąga mnie od tłumu zgromadzonego przy dzbanku z kawą.

– Córa na pewno zechce się napić, ale dla mnie kawa jest za gorzka, nie dam rady jej przełknąć. I do tego w papierowych kubkach. – Dotty wykrzywia się z lekkim niesmakiem. – Może złożymy od razu te pieniądze na flakon i kwiaty dla panny Emilii.

– Dobrze. – Wychodząc z Dotty z pokoju, dostrzegam, że idzie z pewnym ociąganiem. – Co z tobą? Czy nie chcesz, żebyśmy kupiły ten flakon?

– Nie chodzi mi o flakon, prześladuje mnie myśl o tej starszej pani tam na górze, którą faszeruje się słodkimi słówkami. Ona umiera i powinna mieć wystarczająco dużo czasu, by przywyknąć do tej myśli i do tego, że trzeba wezwać księdza, a nie słuchać słów o tym, że wszystko jest cacy.

Dotty powiedziała mi kiedyś, że swojego czasu odbywała nowicjat, zanim jeszcze wiedziała cokolwiek o świecie. Jednak spuszczenie oczu, staranne ukrywanie rąk w rękawach oraz długotrwałe milczenie było dla niej tak trudne, jak stanie na głowie i recytowanie greckiego alfabetu od końca. Mimo wszystko od czasu do czasu dostrzegam, że klasztorne wychowanie przebija jak blask jasnej cery spod warstwy różowobrzoskwiniowego pudru.

– Powinnaś była zostać misjonarką – mówię, kiedy wchodzimy do sklepu z upominkami,

ciasnego jak pudło modniarki, gdzie aż pod sufit piętrzą się wyroby galanteryjne – żłobkowane flakony, filiżanki malowane w serca i kwiaty, lalki w sukniach ślubnych, porcelanowe niebieskie ptaszki, talie kart o złożonych brzegach, hodowlane perły, wszystko czego dusza zapagnie, a każda z tych rzeczy tak droga, że stać na nią jedynie kochającego krewnego, który nie myśli o zawartości swego portfela. – Dla niej lepiej, że nic o tym nie wie – dodaje, skoro Dotty nie odzywa się.

– Zastanawiam się, czy jej tego nie powiedzieć. – Dotty bierze do rąk duży fioletowy flakon z dmuchanego szkła, o szerokim zgrubieniu na obrzeżu, i przygląda mu się. – To nastawienie tutaj, że my-wiemy-lepiej-od-ciebie, przejmuję mnie za każdym razem dreszczem niepokoju. Nieraz myślę, że gdyby nie było profilaktycznych badań na raka ani ustanowionych przez państwo tygodni do walki z cukrzycą, kiedy to ustawia się kabiny w korytarzach, by każdy mógł zbadać sobie zawartość cukru, to nie byłoby tyle zachorowań na raka i cukrzycę – jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Mówisz jak te typy z Christian Science – stwierdzam.

– *À propos*, uważam, że ten flakon jest zbyt jaskrawy dla starszej pani w wieku Emilii.

Dotty uśmiecha się do mnie dziwnie, podchodzi z flakonem do sprzedawczynie i, ciach, rzuca na stół sześć dolarów za niego. A potem, zamiast trzymać się w granicach puli pieniężnej, jaka jej pozostała po wydaniu niemal całej kwoty na flakon, Dotty dorzuca kilka dolarów od siebie, a ja czynię to samo, choć muszę przyznać, że bez większej zachęty z jej strony. Kiedy w znajdującej się obok kwiaciarni sprzedawca podchodzi do nas, zacierając ręce – gotów zarówno składać nam gratulacje jak kondolencje – i pyta, czy życzymy sobie tuzin róż na długich łądogach, czy też kwiaty ze srebrną wstążeczką do butonierki, Dotty wyciąga fioletowy flakon z dmuchanego szkła i mówi:

– Wszystkiego po trochu, przystojniaku. Zapełnij go kwiatami, proszę.

Sprzedawca spogląda na Dotty, unosząc w uśmiechu tylko jeden kącik ust, drugi nieruchomieje w oczekiwaniu, póki nie nabierze pewności, że Dotty z niego nie kpi.

– No, pośpiesz się. – Dotty uderza flakonem o szklany kontuar, budząc niepokój sprzedawcy, który najchętniej zabrałby jej ten flakon. – Tak jak mówiłam – mogą być róże herbaciane, goździki i kilka tych jak-tam-się-nazywają...

Oczy sprzedawcy śledzą palec Dotty. – Gladiolusy – uzupełnia zboliałym głosem.

– Gladiolusy. Po kilka w różnych kolorach: czerwonym, pomarańczowym, żółtym, i do tego parę fioletowych irysów...

– Aha, będą pasować do flakonu – mówi kwiaciarz, starając się wpaść we właściwy ton. – I dobrane odpowiednio anemony?

– No dobrze – mówi Dotty. – Tylko że nie brzmi to najlepiej.

Wychodzimy szybko z kwiaciarni i przechodzimy przez kryty pasaż między gmachem kliniki a właściwym szpitalem. Potem jedziemy windą na piętro panny Emilii. Dotty niesie fioletowy flakon z bukietem.

– Panna Emilia? – szepce Dotty, gdy wchodzimy na palcach do sali o czterech łózkach. Pielęgniarka wymyka się spoza zasłon zaciągniętych wokół łóżka znajdującego się w najdalszym kącie sali tuż przy oknie.

– Sza! – Przykłada palce do ust, wskazując w tył za zasłony. – To tam. Nie bądźcie zbyt długo.

Parnia Emilia leży zagłębiona w poduszkach, jej oczy są otwarte i wypełniają niemal całą twarz, włosy układają się wokół jej głowy na poduszce jak szary wachlarz. Wszędzie dokoła różnego rodzaju flaszeczki; stoją na stoliku z lekarstwami, na podłodze pod łóżkiem lub są zawieszane wokół łóżka. Z kilku buteleczek wychodzą cienkie gumowe rurki, jedna znika pod kołdrą, druga prowadzi do lewej dziurki w nosie panny Emilii. W pokoju nie słychać najlżejszego odgłosu, jedynie sucho szeleszczący oddech panny Emilii, nie widać też najmniejszego poruszenia, poza nikłym unoszeniem się prześcieradła na jej piersi i bąbelkami

powietrza; srebrne pęcherzyki biegną miarowo do jednej z flaszeczek wypełnionej jakimś płynem. W nienaturalnym, burzowym świetle, padającym od okna, panna Emilia wygląda jak woskowa kukła. Wyjątek stanowią utkwione w nas oczy. Są tak przenikliwe, że niemal czuję, jak przepalają mi skórę.

– Przyniosłyśmy kwiaty, panno Emilio – mówię, wskazując na olbrzymi, wielobarwny bukiet cieplarnianych kwiatów wypełniający flakon, który Dotty stawia na stoliku z lekarstwami. Stolik jest tak mały, że musi najpierw przełożyć wszystkie słoiki i szklanki, dzbanki i łyżki na dolną półkę, by zrobić miejsce na flakon.

Oczy panny Emilii spoglądają na tę obfitość kwiatów i coś w nich rozbłyskuje. Mam teraz wrażenie, że obserwuję dwie świece przy końcu długiego korytarza, dwa płomienne punkciki, gasnące i rozbłyskujące w porywach mrocznego wiatru. Za oknem niebo jest czarniejsze od żeliwnego kociołka.

– Dziewczęta je przysyłają – mówi Dotty i ujmuje bezwładną, woskową rękę panny Emilii, spoczywającą na kocu. – Kartka nadejdzie później, gdy wszystkie ją podpiszą. Nie chciałyśmy czekać z kwiatami.

Panna Emilia próbuje coś powiedzieć. Z jej warg dobywa się cichy świst i charczenie, w którym nie można odróżnić słów.

Wydaje się jednak, że Dotty rozumie, co ona ma na myśli.

– Etat czeka na panią, panno Emilio – mówi, wymawiając słowa wyraźnie i powoli, tak jak wyjaśnia się coś bardzo małemu dziecku. – Rezerwują go dla pani.

Pomyślałam, pełna podziwu, że tych samych słów użyłaby pani Rafferty. Tylko że pani Rafferty dodałaby coś, co by wszystko zepsuło: „Pani wkrótce wstanie, panno Emilio, niech się pani nie martwi” lub „Dostanie pani złotą bransoletkę na pięćdziesięciolecie pracy, panno Emilio, zobaczy pani” Dziwne w tym wszystkim jest to, że Dotty nie nagina faktów. Mówi świętą prawdę, gdy stwierdza, że wszyscy w Izbie Przyjęć biegają jak kurczęta bez kwoki i pragną, by panna Emilia wiedziała, że jest niezastąpiona. W każdym razie nie tak szybko i wiele czasu musiałoby upłynąć.

Panna Emilia opuszcza powieki. Jej ręka staje się bezwładna w dłoni Dotty. Potem panna Emilia wydaje westchnienie, które przeszywa dreszczem całe jej ciało.

– Ona wie – mówi do mnie Dotty, gdy odchodzimy od łóżka panny Emilii. – Teraz już wie.

– Lecz ty jej tego nie powiedziałaś. Nie tak dosłownie.

– Za kogo mnie masz? – Dotty jest oburzona. – Myślisz, że jestem bez serca? Powiedz mi... – urywa nagle, gdy wychodzimy na korytarz – kto to jest?

Szczupła, drobna postać stoi oparta o ścianę w pustym korytarzu, niedaleko od drzwi, za którymi leży panna Emilia. Gdy zbliżamy się, postać ta przywiera do ściany, jakby usiłowała cudem stać się częścią bladego, pomalowanego na zielono tynku i zniknąć sprzed oczu. W mrocznym korytarzu światło elektryczne wywołuje wrażenie wczesnego zmierzchu.

– Billy Monihan! – wykrzykuje Dotty. – Co tutaj robisz, na Boga?

– Cz...cz...czekam – wykrztusza z trudem, piskliwym głosem; twarz mu płonie niezdrowym odcieniem czerwieni pod szkarłatną warstwą pryszczu i czyraków. Jest niskim chłopcem, prawie tak niskim jak Dotty i niezwykle chudym, a przecież osiągnął już swój wzrost; nie może oczekiwać niczego więcej.

Jego długie, czarne włosy są przyлизane jakąś silnie pachnącą brylantyną, a ślady po świeżo przeciągniętym grzebieniu odcisnęły się na ich lśniącej lakierowanej powierzchni.

– Co ty właściwie tutaj robisz, na co czekasz? – pyta Dotty, prostując się na całą wysokość i na obcasach ma teraz przewagę nad Billym.

– Po prostu cz...cz...czekam. – Billy opuszcza głowę, by uniknąć świdrującego wzroku Dotty. Wydaje się, że usiłuje połknąć własny język, by uniknąć jakiegokolwiek konwersacji.

– Powinieneś teraz roznosić karty ewidencyjne z archiwum, i to pędem, po całym gmachu

kliniki – mówi Dotty. – Czy nie wiesz, kim jest panna Emilia? Chyba nie chcesz jej zawieść, co?

Dziwny, niezrozumiały bełkot dobywa się z gardła Billy’ego.

– Ona... ona powiedziała, że mogę prz...przyjść – wykrztusza wreszcie.

Dotty parska głośno. W oczach Billy’ego ujrzała jednak coś, co nakazuje jej odwrócić się i pozwolić mu kierować się własnym rozumem. Gdy nadjeżdża dla nas winda, Billy, ten przyszczaty chłopiec z ulizanymi włosami, jękający się i w ogóle cały biedny, wchodzi do pokoju panny Emilii.

– Nie lubię tego chłopca, ten chłopiec to prawdziwy... – Dotty urywa, by dobrać odpowiednie słowo – prawdziwy sęp. Powinam ci powiedzieć, że od kilku dni dzieje się z nim coś dziwnego. Wyczekuje przy wejściu do Oddziału Nagłych Wypadków, jakby sam Pan Bóg miał nimi wejść i obwieścić dzień Sądu Ostatecznego.

– Billy odwiedza u nas doktora Resnika – mówię – lecz jeszcze nie otrzymałam do przepisania jego audiograficznych danych, więc nic nie wiem. Czy to sępie zamiłowanie Billy’ego ujawniło się u niego nagle?

Dotty wzrusza ramionami.

– Wiem tylko tyle, że w zeszłym tygodniu wystraszył Idę Kline z hali maszynistek opowieścią o pewnej kobiecie z Kliniki Dermatologicznej, która przybyła tam na wózku inwalidzkim cała fioletowa i opuchnięta jak słoń, chora na jakąś chorobę tropikalną. Ida na myśl o tym nie mogła zjeść lunchu. Jest specjalna nazwa dla tych ludzi, co kręcą się przy martwych ciałach. Nekro... nekro... Coś niedobrego dzieje się z tymi ludźmi, zaczynają wykopywać trupy na cmentarzu.

– Wczoraj przygotowywałam informację o przyjęciu pewnej kobiety – powiedziałam. – Chyba cierpi na coś podobnego. Nie mogła uwierzyć, że jej mała córeczka umarła, wciąż jej szukała podczas nabożeństw kościelnych, w sklepie spożywczym. Dzień po dniu odwiedzała cmentarz. Pewnego dnia oznajmiła, że jej mała córeczka przysłała do niej w białej koronkowej sukience, mówiąc jej, żeby się nie martwiła, gdyż jest w niebie, pod dobrą opieką i czuje się doskonale.

– Ciekawam – mówi Dotty. – Ciekawam, jak oni to leczą?

Ze szpitalnej stołówki, gdzie siedzimy przy jednym z dużych stołów, jedząc deser i podpisując kartkę z życzeniami szybkiego-powrotu-do-zdrowia dla panny Emilii, widzę, jak długie strużki deszczu biją o okna wychodzące na ogrodowy dziedziniec. Dziedziniec ten zbudowała pewna bogata kobieta i kazała założyć trawniki i posadzić drzewa i kwiaty, by lekarze i pielęgniarki podczas posiłków mogli spoglądać na coś ładniejszego niż ceglany mur i żwir. Teraz okna są tak zalane deszczem, że poprzez jego zasłony nie widać nawet zieleni.

– Dziewczęta, czy wy zostanieie tu na noc? – Głos Córy drży jak galaretką, którą nabiera na łyżeczkę. – Chodzi mi o to, że nie wiem, co zrobić z mamą pozostającą samotnie w domu. Jeśli światła zgasną, może złamać nogę w biodrze, szukając po ciemku świeczek w piwnicy. Poza tym gontowy dach jest w naszym domku słaby i przecieka przez strych nawet podczas przelotnego deszczu.

– Zostaniesz, Coro – oświadcza stanowczo Dotty. – Spróbuj brnąć w tej brei, a utopisz się jak głupia. Jutro rano zatelefonujesz do domu i zobaczysz, że matka będzie wesoła jak szczygiełek, a sztorm będzie szalał o sto mil stąd, gdzieś nad Maine.

– Spójrzcie! – wołam, by odwrócić uwagę Córy. – Pani Rafferty wchodzi z tacą. Niech też podpisze.

Zanim któraś z nas zdołała się ruszyć, pani Rafferty już nas dostrzegła i sunie ku nam jak biała szalupa pod pełnymi żaglami; jej kolczyki w kształcie stetoskopów dyndają po obu stronach twarzy zapowiadającej jedynie złe wieści.

– Dziewczęta – oznajmia, widząc kartkę leżącą przed nami na stole – słuchajcie, nie lubię być zwiastunką złych wieści, lecz muszę wam oznajmić, że ta kartka nie będzie już potrzebna.

Twarz Córy przybiera ziemistą barwę pod piegami, łyżeczka z truskawkową galaretką zatrzymuje się w pół drogi do ust.

– Emilia Russo umarła niecałą godzinę temu. – Pani Rafferty pochyła na moment głowę, po czym unosi ją, przejawiając jakby hart ducha. – To było najlepsze, co się mogło wydarzyć, zdajecie sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja. Odeszła stosunkowo spokojnie, więc nie poddawajcie się teraz przygnębieniu. Mamy tu – kiwa energicznie głową ku zamazanym oczekającym szybom – sporo innych ludzi, o których trzeba zadbać.

– Czy panna Emilia... – pyta Dotty z dziwnym zainteresowaniem, mieszając śmietankę w kawie – była sama w ostatnich chwilach?

Pani Rafferty mówi z niejakim ociąganiem:

– Nie, Doroto. Nie. Nie była samotna. Billy Monihan był przy niej, gdy umierała. Dyżurująca pielęgniarka powiedziała mi, że wydawał się bardzo przejęty, bardzo wzruszony tą starszą panią. Powiedział – dodaje pani Rafferty – powiedział pielęgniарce, że panna Emilia była jego ciotką.

– Ależ panna Emilia nie miała brata ani siostry – oponuje Córa. – Tak powiedziała Minnie. Nie miała nikogo na świecie.

– Jakkolwiek się sprawy przedstawiają, chłopiec był bardzo przejęty. Bardzo wzruszony tym zajściem – mówi pani Rafferty i wydaje się, że chce tym zakończyć dyskusję.

Leje jak z cebra, a wiatr wieje tak mocno, że mógłby rozpląszczyć całe miasto. Z tego też powodu pacjenci nie przychodzą po południu do biura, z wyjątkiem starej pani Tomolillo. Panna Taylor wyszła właśnie po dwie filiżanki kawy do automatu na korytarzu, gdy pani Tomolillo wpadła do mnie wściekła, przemoczona, wyglądająca jak wiedźma w swej czarnej wełnianej sukni, którą nosi przez okrągły rok, i wymachując rozmokłym plikiem papierów.

– Gdzie jest doktor Chrisman, chcę wiedzieć, gdzie jest doktor Chrisman – wołała.

Rozmokły plik papierów okazuje się kartą ewidencyjną pani Tomolillo, której pacjenci pod żadnym warunkiem nie powinni dostać do rąk. Całkiem niezły zestaw, te czerwone, niebieskie i zielone zapiski atramentem, robione przez wielu lekarzy w rozlicznych klinikach, które odwiedza pani Tomolillo, zapiski zlewające się w jaskrawą tęczę barw, z której kapią kolorowe krople wody i atramentu nawet wtedy, gdy biorę te papiery z jej rąk.

– Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa! – syczy do mnie pani Tomolillo tak szybko, że nie mogę wtrącić ani słowa. – Kłamstwa!

– Jakie kłamstwa, pani Tomolillo? – pytam wyraźnie i głośno, gdyż pani Tomolillo ma znacznie przytępiony słuch, a mimo to odmawia posługiwania się aparatem. – Jestem przekonana, że doktor Chrisman...

– To kłamstwa, kłamstwa, które wypisał na tej karcie ewidencyjnej. Jestem porządną kobietą, mój mąż umarł. Niech no tylko dostanę tego człowieka w swoje ręce, to oduczę go kłamstw.

Szybko wyglądam na korytarz. Pani Tomolillo groźnie zgina swe silne palce. Jakiś mężczyzna o kulach, z pustą nogawką spodni równo podwiniętą aż do biodra, przechodzi chwiejnie obok drzwi. Za nim idzie pomocnik z Kliniki Chirurgicznej, niosąc różową sztuczną nogę i połowę sztucznego tułowia. Na widok tej małej procesji pani Tomolillo uspokaja się. Ręce jej opadają po bokach, niknąc w fałdach obszernej czarnej spódnicy.

– Powiem doktorowi Chrismanowi, pani Tomolillo. Jestem pewna, że nastąpiła jakaś pomyłka, niech się pani nie denerwuje. – Za moimi plecami okno trzeszczy i jęczy we framudze, jakby jakiś wystawiony tam na przeciągi olbrzym próbował przedrzeć się do wnętrza. Deszcz uderza teraz o szybę gwałtownie jak strzał z rewolweru.

– Kłamstwa... – syczy pani Tomolillo, lecz jej syczenie jest cichsze niż syczenie imbryka, w którym przestała gotować się woda. – Niech mu pani powie.

– Powiem mu. Och, pani Tomolillo...

– Tak? – Zatrzymuje się w drzwiach czarna i złowieszcza jak jedna z bogiń przeznaczenia

zaskoczona przez burzę, którą sama wywołała.

– Czy mam powiedzieć doktorowi Chrismanowi, skąd pani otrzymała tę kartę?

– Z tamtego pokoju na dole – oświadcza po prostu. – Z pokoju, gdzie znajdują się wszystkie karty. Poprosiłam o nią i dano mi ją.

– Wiem. – Numer karty ewidencyjnej pani Tomolillo, wypełnionej atramentem nie do zamazania, wynosi dziewięć-trzy-sześć-dwa-pięć. – Wiem. Dziękuję, pani Tomolillo.

Gmach kliniki, choć tak potężny i solidnie osadzony na cemencie oraz skonstruowany z cegieł i kamienia, zdaje się drżeć w posadach, gdy razem z Dotty idziemy korytarzem pierwszego piętra i schodzimy pasażem do stołówki na gorącą kolację. Stołówka mieści się w głównym budynku szpitala. Dochodzą do nas głośnie i po chwili zanikające sygnały z miasta oraz z jego peryferii: wozów strażackich, karetok pogotowia i samochodów policyjnych. Parking Oddziału Nagłych Wypadków jest zatłoczony karetkami pogotowia i prywatnymi autami masowo napływającymi z oddalonych miast, przywożąc ludzi z atakiem serca, ludzi z zawałem płuc, ludzi w napadzie hysterii. Na dodatek nastąpiła awaria elektryczności, tak że musimy w półmroku po omacku szukać drogi wzdłuż ścian. Zewsząd lekarze i stażyści odbierają polecenia, pielęgniarki w białych fartuchach migają jak duchy, a nosze z rozciągniętymi na nich ludźmi – jęczącymi, płaczącymi lub nieruchomymi – wędrują w tę i w tamtą stronę. Wśród tego wszystkiego jakaś znajoma postać mija nas i zbiega po kondygnacji nie oświetlonych kamiennych schodów, wiodących do bliższych i dalszych pomieszczeń w podziemiu.

– Czy to nie on?

– Jaki on? – chce wiedzieć Dotty. – Nic nie widzę w tych ciemnościach. Powinłam sprawić sobie okulary.

– Billy. Ten z archiwum.

– Muszą go chyba strasznie popędzać, gdyż jest tyle nagłych wypadków – mówi Dotty. – Kiedy panuje taki natłok, potrzebują dodatkowych rąk do pracy.

Nie wiem, dlaczego nie mogę się zmusić, by powiedzieć Dotty o pani Tomolillo. Zamiast tego mówię: – Billy nie jest złym chłopcem. – Przyłapuję się na tym, że wypowiadam te słowa, na przekór temu, co wiem o pani Tomolillo, Emilii Russo, Idzie Kline i chorej na *elephantiasis* kobiecie.

– Nie jest zły – mówi ironicznie Dotty. – Jeśli lubisz wampiry.

Mary Ellen i Dotty, założywszy nogę na nogę, siedzą na łózkach w pawilonie na trzecim piętrze i próbują układać pasjansa w świetle kieszonkowej latarki, którą ktoś znalazł. Córa biegnie korytarzem w naszą stronę, a my siedzimy rzędem na łózkach, oparte o poduszki.

Dotty kładzie czerwoną dziewiątkę na czarnej dziesiątce.

– Czy porozumiałaś się z matką? Czy na waszym domu jest jeszcze dach?

W bladym kręgu światła, rzucanym przez latarkę, widać szeroko otwarte oczy Córy. Brzegi powiek są wilgotne.

– Powiedz – Mary Ellen nachyla się ku niej – czy masz jakieś złe wieści? Coro, jesteś biała jak płótno.

– To nie... nie chodzi o moją matkę – wyrzuca z siebie Córa. – Druty zostały zerwane. Nawet nie mogłam uzyskać połączenia. To ten chłopiec, Billy...

Nagle wszystkie dziewczyny milkną.

– Biegał po tych schodach w górę i w dół – mówi Córa tak płaczącym głosem, iż można by pomyśleć, że mówi o swym małym bracie lub o kimś podobnym. – W górę i w dół, w górę i w dół z tymi kartami ewidencyjnymi, bez światła, a tak się śpieszył, że przeskakiwał po dwa i trzy stopnie naraz. I spadł. Spadł z całej kondygnacji schodów...

– Gdzie on jest? – pyta Dotty powoli, odkładając karty, które trzymała w ręku. – Gdzie on teraz jest?

– Gdzie on jest? – Głos Córy podnosi się oktawę. – Gdzie jest? On umarł.

Dziwna rzecz. Skoro tylko Córa wymówiła te słowa, wszystkie zapominają, jak mały był Billy i jak śmieszne robił wrażenie z tym jękaniem się, no i z tą okropną cerą. Na skutek całej tej aury wywołanej huraganem oraz odcięciem od swoich bliskich, wokół niego wytworzyła się jakaś szczególna atmosfera. Można by pomyśleć, że położył się i umarł za całą naszą gromadkę siedzącą tu na łózkach.

– Nie umarłby – stwierdziła Mary Ellen – gdyby nie pomagał innym ludziom.

– W obliczu obecnej sytuacji – wtrąca Ida Kline – chciałabym cofnąć to, co kilka dni temu powiedziałam o nim i o tej kobiecie chorej na *elephantiasis*. Billy nie wiedział, że mam tak słaby żołądek.

Jedynie Dotty zachowuje milczenie.

Mary Ellen gasi latarkę; wszystkie zdejmujemy suknie w ciemności i kładziemy się. Dotty zajmuje łóżko w końcowym rzędzie obok mnie. O szyby w korytarzu bije monotonnie deszcz, teraz już mniej gwałtowny. Po chwili, z większości łóżek dochodzi regularny oddech.

– Dotty – szepcę – Dotty, czy śpisz?

– Pewnie że nie – odpowiada szeptem Dotty. – Cierpię na bezsenność.

– I co myślisz, Dotty?

– Chcesz wiedzieć, co myślę? – Głos Dotty wydaje się dobiegać do mych uszu z jakiegoś małego, niewidzialnego punkciku w najgłębszej ciemności. – Myślę, że ten chłopiec ma szczęście. Raz w życiu był rozsądny. Choć raz w życiu ten chłopiec stanie się bohaterem.

Biorąc pod uwagę relacje w dziennikach, ceremonie kościelne i złoty medal za zasługi przyznany pośmiertnie rodzicom Billy'ego po ustaniu sztormu, muszę przyznać słuszość Dotty. Ma rację. Ma absolutną rację.

Kontekst

Kwestie bieżące, które mnie obecnie zaprzężają, to nieobliczalne skutki genetyczne opadu radioaktywnego oraz reportażowy artykuł poświęcony przerażającym, obłąkanym, wszechpotężnym koligacjom wielkiego biznesu i wojskowości w Ameryce – *Niepowstrzymany taran zbrojeniokracji* – autorstwa Freda J. Cooka w ostatnim numerze „Nation”. Czy ma to wpływ na poezję, którą piszę? Tak, lecz w sposób pośredni. Nie jestem obdarzona językiem Jeremiasza, chociaż wizja apokalipsy spędza mi sen z powiek. Nie wychodzą mi wiersze o Hiroszimie, lecz o dziecku, które formuje się w ciemnościach, palec po palcu. Moje wiersze nie mówią o koszarze wymarcia gatunku, lecz o ponurym blasku księżyca nad cisem na okolicznym cmentarzu. Nie o świadectwach torturowanych Algierczyków, lecz o nocnych rozmyślaniach zmęczonego chirurga.

W pewnym sensie te wiersze są zboczeniem z tematu. Nie sądzę, aby były ucieczką. Dla mnie prawdziwe kwestie naszych czasów to kwestie każdego czasu – ból i cud miłości; kreowanie we wszystkich postaciach: dzieci, bochenków chleba, obrazów, budynków; i ochrona życia wszystkich ludzi na całym świecie – żadne abstrakcyjne, obłudne gadanie o „pokoju” i jego „nieprzejednanych wrogach” nie może usprawiedliwić zagrożenia życia.

Nie sądzę, aby „poezja nagłówków” zainteresowała większą liczbę ludzi w sposób bardziej dogłębny niż same nagłówki. A jeśli „aktualny” wiersz nie wyrasta z czegoś bliższego sednu życia niż ogólna filantropia o zmiennym przedmiocie, jeśli nie jest owym jednorozcem, czyli prawdziwym wierszem, grozi mu, że zostanie zmięty w kulę równie szybko jak gazeta.

Nad poetami, których uwielbiam, ich wiersze mają taką samą władzę jak rytm ich własnego oddechu. Ich najlepsze wiersze zdają się zrodzone w jednym kawałku, a nie ręcznie poskładane; na przykład pewne wiersze w *Life Studies* Roberta Lowella; wiersze „szklarniowe” Theodore’a Roethke; niektóre wiersze Elisabeth Bishop i cała masa wierszy Stevie Smitha („Sztuka jest dzika jak kot i nie ma nic wspólnego z cywilizacją”).

Wielki pożytek z poezji z pewnością polega na przyjemności, którą daje – nie na wpływie, który wywiera jako propaganda religijna albo polityczna. Pewne wiersze i wersety poezji wydają mi się w takim samym stopniu rzeczywiste i cudowne, w jakim kościelne ołtarze i koronacje monarchów muszą się takie wydawać ludziom, którzy czczą zupełnie inne obrazy. Nie martwi mnie, że wiersze docierają do stosunkowo niewielu ludzi. I tak wędrują zaskakująco daleko – pomiędzy obcych, czasem nawet dookoła świata. Dalej niż słowa nauczyciela w klasie i zalecenia lekarza; jeśli mają dużo szczęścia, wędrują dalej niż sięga jedno życie.

Pięćdziesiąty dziewiąty niedźwiedź

Zanim przybyli do celu, sprawdzając drogę na mapie Grand Loop w przewodniku turystycznym, gęsta mgła zasłoniła tęczowe źródła; parkingi i nabrzeża opustoszały. Oprócz zachodzącego słońca, położonego nisko nad fioletowymi wzgórzami, i jego odbicia na tafli wody, czerwonego jak maleńki pomidor, nie było tu nic do oglądania. Wciąż zachowując się tak, jakby wypełniali nakazany przez kapłana rytuał pokuty i wybaczenia, przeszli przez most nad wzburzoną rzeką w kanionie. Mijali teraz parujące kolumny gejzerów, które wyrastały jak grzyby po deszczu. Białe welony mgły zasnuły promenadę, odsłaniając tu i ówdzie skrawek nieba lub wierzchołek dalekiego wzgórza. Mimo że szli powoli, znaleźli się od razu pośrodku mgły i gęsty niezdolny opar przesycony zapachem siarki osiadał na ich twarzach, rękach i obnażonych ramionach.

Norton marudził, pozwalając żonie wysforować się nieco. Jej smukła, delikatna sylwetka nabrała miękkości i rozmasowała się, gdy mgła zgęstniała pomiędzy nimi. Wycofała się w zawieję śnieżną, w spieniony wodospad – zniknęła w bieli. Czego nie widzieli już? Dzieci kucających na brzegu malowanych donic, gotujących jajka na śniadanie na zardzewiałych sitkach, miedziaków migoczących w szafirowej toni, sypiących się do sadzawek jak z rogu obfitości, grzmiących gejzerów wytryskujących to tu, to tam w nagim księżycowym pejzażu barwy ochry i ostryg. Zona Nortona upierała się mimo swej wrodzonej delikatności, by dojść do ogromnego musztardowożółtego kanionu, nad którym wysoko w powietrzu krążyły jastrzębie, a na skałach nad samą rzeką zataczały kręgi ich cienie – gdzie ptaki wisiały w przestrzeni jak czarne korale nanizane na przejrzystym drucie. Obstawała przy tym, by doszli do Smoczey Paszczy i zobaczyli gwałtowny wylew grzmiącej wody, zatamowanej czarnym błotem, a nawet do samego Diabelskiego Kotła. Czekał na jej okrzyk przestrachu, by odciągnąć ją ramieniem od czarnej kaszowatej masy, która wytrysnęła tuż przed jej nosem, ale ona schyliła się nad przepaścią jak gorliwa kapłanka wśród tych ohydnych wyziewów. A Norton musiał jej towarzyszyć w eskapadzie w samo południe, z gołą głową w pełnym prażącym słońcu, mrużąc oczy przed białym słonym blaskiem, który bił od tryskającej wody, i wdychając wyziewy zgniłych jaj – jak skazaniec pokonany straszliwym bólem głowy. Poczł nagle, że ziemia drży mu pod stopami, krucha jak czaszka ptaka. Pomyślał, że tylko cienka skorupa oddziela go od szaleństwa i ciemnych wnętrzości ziemi, gdzie mają swoje źródła leniwe błota i wzburzone wody, którymi tak zachwyca się Sadie.

Na domiar wszystkiego ktoś ukradł im bukłak z wodą, przyczepiony po prostu do przedniego zderzaka samochodu, podczas gdy przepychali się przez tłum na promenadzie. Każdy mógł to zrobić – ten mężczyzna! z aparatem fotograficznym, to dziecko, ta Murzynka w różowej, wzorzystej sukni. W duchu obwiniał wszystkich, a jego gorycz obejmowała tłum turystów i rozprzestrzeniała się w nim jak kropla cynobrowej farby w kubku czystej wody, brudząc ręce każdego. Wszyscy byli Złodziejami. Twarze ludzi były puste, przebiegłe, zdradzieckie. Norton czuł niesmak w ustach. Raz, gdy jechali samochodem, gwałtownie osunął się na siedzenie, zamknął oczy i pozwolił prowadzić Sadie. Rzeński podmuch chłodził mu skronie. Jego ręce i nogi wydawały się unosić, wydłużając się jakby były z gumy, blade, nadmuchane drożdżami snu. Dryfował jak ogromna świetlista rozgwiazda, obmywany falami snu. Jego świadomość utrzymywała się w przestrzeni, ciemna i tajemnicza jak świadomość szaleńca.

– Pięćdziesiąty szósty! – powiedziała Sadie.

Norton otworzył oczy. Piekły i łzawiły, jak gdyby ktoś nasypał do nich piasku, kiedy drzemał. Ujrzał nagle przepięknego niedźwiedzia o gęstym, czarnym futrze, przebiegającego

skrajem lasu. Z obu stron drogi wystrzeliwały w niebo nakrapiane słońcem pnie sosen, rozprzestrzeniając ciemne, iglaste korony nad ich głowami. Chociaż słońce stało wysoko, niewiele światła przenikało przez chłodną, granatową gęstwinę niebotycznych drzew. Już pierwszego dnia, kiedy wjechali do parku, zaczęli grać w niedźwiedzie i kontynuowali tę zabawę pięć dni później. A zaczęło się to wszystko, gdy zatrzymali samochód na granicy stanów i zauważyli przy drogowskazie cztery, może pięć lub sześć misiów stojących w rzędzie i żebrzących o poczęstunek. Założyli się wówczas o to, kto zobaczy więcej niedźwiedzi, a właściwie Sadie założyła się o dziesięć dolarów, że zobaczy pięćdziesiąt dziewięć niedźwiedzi, zanim wyjadą z parku. Norton nierozważnie postawił na siedemdziesiąt jeden. W skrytości ducha miał nadzieję, że wygra Sadie. Jego żona podchodziła do każdej zabawy poważnie jak dziecko.

Dopóki nie zraniło się jej, była tak ufna. Jednak wierzyła ponad wszystko w swoje szczęście. Liczba pięćdziesiąt dziewięć stanowiła dla Sadie symbol pełni, obfitości. Ona nigdy nie powiedziała „setki komarów” lub „miliony”, czy nawet „masa”, ale zawsze mówiła – „pięćdziesiąt dziewięć”. Pięćdziesiąt dziewięć niedźwiedzi – prorokowała bez namysłu. Teraz, gdy zbliżali się do tej magicznej liczby – wliczając stare niedźwiedzie-dziadki i babcie niedźwiedzie, niedźwiedzie-matki i małe niedźwiadki, płowe i czarne, brunatne i cynamonowe, niedźwiedzie dobierające się do rozdartych pazurami konserw, niedźwiedzie żebrzące o jedzenie na poboczu drogi, niedźwiedzie przepływające rzekę, niedźwiedzie wałęsające się wokół namiotów i towarzyszące turystom idącym szlakiem w porze kolacji – mogli łatwo natknąć się na pięćdziesiątego dziewiętego niedźwiedzia. Mieli wyjechać z parku nazajutrz.

Norton odżył nieco z dala od zatłoczonych promenad, pogawędek strażników parkowych i powszechnie znanych cudów natury. Straszliwy ból głowy, który nękał go tak długo, zelżał i ledwie dawał o sobie znać, gdzieś na samej krawędzi świadomości, jak spłoszony ptak. Kiedy Norton był chłopcem, odkrył zupełnie sam metodę głębokiej, uduchowionej modlitwy, skierowanej nie do wizerunku Boga – ale do istoty, którą zwykle nazywał w myśli duchem określonego miejsca – dobrym duchem jesionowego lasu albo morskiego brzegu. Modlił się zazwyczaj pod jakimkolwiek pretekstem, by wywołać cud – i dzięki swej modlitwie mógł zobaczyć łąnię lub znaleźć bryłkę wypolerowanego przez wodę kwarcu. Właściwie nie był pewien, czy jego wola łączyła się z otoczeniem i wpływała na zachowanie przyrody, czy naprawdę władał nieznaną siłą. W pewien sposób dysponował jakąś siłą. Teraz ukołysłany szumem silnika, udając sen, starał się przywołać do siebie wszystkie zwierzęta leśne w okolicy – smukłą, delikatnie prążkowaną łąnię, niezdarnego kudłatego bizona, rude lisy i niedźwiedzie. Oczyma wyobraźni ujrzał, jak przystają nagle, spłoszone jak gdyby obecnością intruza – w gęstwinie i swych dziennych legowiskach. Zobaczył wyraźnie wszystkie zwierzęta – jedno po drugim – jak odwracają się w biegu i zrywają z ziemi, i dążą ponaglone nieznaną siłą do miejsca, skąd je przyzywał, władając udzielnie jak król lasu ruchami każdego kopyta i pazura.

– Łoś! – zawołała Sadie, a jemu wydało się, że jej głos ledwo dobiega go z głębi jego własnej czaszki.

Samochód zjechał z drogi i zatrzymał się na poboczu. Norton zerwał się z miejsca. Szosą mknęło mnóstwo samochodów. Sadie, chociaż była tak bojaźliwa, zupełnie nie bała się zwierząt. Czuli jakieś dziwne pokrewieństwo z nimi. Pewnego razu Norton zobaczył, jak Sadie karmi z ręki kłociami jagód dzikiego jelenia, którego kopyta mogły jednym uderzeniem wbić ją w ziemię. Jednak nigdy nie groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo.

Teraz pośpieszyła za gromadą mężczyzn w podkoszulkach i kobiet w bawełnianych wzorzystych sukniach, i dzieci w różnym wieku, którzy tłoczyli się na skraju drogi jak gapie wokół wstrząsającego wypadku. Ludzie przedzierali się gorączkowo do punktu widokowego przez gęstwinę, podnosząc w górę ramiona, by objąć obiektywem wielkie zwierzę stojące

wśród sosen. Każdy turysta miał aparat fotograficzny wyposażony w obrotowy czasomierz i światłomierz, każdy wołał do krewnych i przyjaciół o rolkę nowego filmu. Ludzie wspięli się na zbocze jak niepohamowana fala, ślizgając się i potykając, na wpeł przewracając w lawinie zrudziałego sosnowego igliwia i wydzieranej buciarą darni. Królewski, wielkooki łoś, majestatyczny pod brzemieniem rozłożystego, misternie wyżłobionego poroża, stał na grząskim, wilgotnym dnie małej dolinki. Kiedy ludzie rzucili się w dół, pokrzykując do króla bagiennych ostępów, łopaty wielkiego zwierzęcia uniosły się powoli, jakby w sennym zdumieniu, i łoś ruszył nieśpiesznie do dzikiego lasu otaczającego polankę. Norton stał spokojnie na stoku, zachowując godność dostojnego wypiarza pośród szalejącego oceanu krzykliwych turystów. Ignorował otaczających go ludzi, niezadowolonych z tego, że łoś zaszył się w gęstwinie, i myszkujących hałaśliwie w zaroślach. W myśli układał przeprosiny dla łośia. Miał dobre zamiary. Nie spodziewał się, że widok łośia zwabi tutaj tych wszystkich turystów.

– Nie zdążyłam nawet zrobić mu zdjęcia – trąkotała Sadie, poszturchując Nortona łokciem. – Tak czy owak w dolince było za ciemno...

Zacisnęła miękko dłoń na jego ramieniu, ale jemu zdawało się, że jej palce przysały się jak pijawki.

– Chodźmy zobaczyć ten gorący gejzer, który wytryskuje co piętnaście minut!

– Idź sama! – powiedział Norton. – Boli mnie głowa. Chyba dostałem udaru słonecznego. Zaczekam na ciebie w samochodzie.

Sadie nie odpowiedziała, lecz kiedy wrzuciła bieg z dość dużym impetem, Norton domyślił się, że jest rozczarowana jego odmową.

W przeczuciu nadchodzącej burzy, obserwował, jak Sadie opuszcza samochód, w słomianym kapeluszu z szerokim rondem, z czerwoną wstążką pod podbródkiem i tak kwaśną miną, jakby właśnie wypłała ocet. Potem ruszyła wraz z gromadą turystów w stronę białego, osłepiającego horyzontu.

Często w marzeniach Norton wyobrażał siebie w roli wdowca – wymizerowaną Hamletowską postać w ciemnym garniturze, stojącą pośród wichury na samotnym cyplu lub opartą o balustradę odpływającego statku. W tych rojeniach białe, zgrabne ciało Sadie spoczywało zabalsamowane, niby pewnego rodzaju płaskorzeźba, na głównej tablicy pamiątkowej w jego świadomości. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że jego żona mogła go przeżyć. Jej zmysłowość, jej niewyszukane pogańskie pasje i bezmyślny entuzjazm, niezdolność do rzeczowej dyskusji i gwałtowne wybuchy hysterii, którymi wygrywała każdy spór – nie stanowiły zbyt solidnych podstaw, by mogła przeżyć samodzielnie, nie osłonięta opiekuńczymi skrzydłami, które roztaczał nad jej bezradnością.

Jak się domyślał, Sadie nie była zadowolona ze swojej samotnej wycieczki. Gejzer wrzał, cudownie niebieski, ale wiatr zmienił nagle kierunek i gwałtowny podmuch sprawił, że gorąca para buchnęła jej w twarz, parząc boleśnie skórę. A na dodatek jakiś chłopak, czy banda chłopaków, zaczepił ją na promenadzie i zepsuł jej nastrój. Kobieta nigdy nie może mieć chwili spokoju. Samotna spacerująca kobieta to wyzwanie dla wszelkiej maści zuchwalców.

Wszystko to sprawił, jak wiedział, brak jego towarzystwa. Lecz od kradzieży bukłaka na wodę, odczuwał głęboką odrazę do tłumu turystów. Kiedy pomyślał, że musiałby iść znowu wśród tego hałaśliwego motłochu, aż splótł palce ze złości. Ujrzał nagle samego siebie jak gdyby z ogromnej wysokości, z samego Olimpu, spychającego wrzeszczące dziecko do parującego gorącego źródła, uderzającego pięścią jakiegoś tłuściocha prosto w żołądek. Ból głowy powrócił niespodziewanie, silny jak uderzenie dziobu sępa.

– Dlaczego nie przełożymy reszty na jutro? – powiedział z wyrzutem. – Jutro będę czuł się na siłach, by ci towarzyszyć.

– Dzisiaj jest nasz ostatni dzień!

Norton nie znalazł na to odpowiedzi.

Kiedy mijali pięćdziesiątego siódmego niedźwiedzia, uświadomił sobie, jak bardzo rozstrojona była Sadie. Niedźwiedź leżał rozciągnięty pośrodku drogi – zadumany brunatny sfinks w blasku słońca. Sadie nie mogła nie zauważyć go. Musiała objechać bezczelnego misia, ale zacisnęła usta i nie powiedziała nic. Przyśpieszyła potem i wjechała pędem w zakręt. Prowadziła teraz po wariacku. Kiedy dojeżdżali do skrzyżowania w pobliżu wielkich tęczowych źródeł, prowadziła samochód tak szybko, że grupka ludzi przechodzących akurat przez drogę rozpierzchnęła się w popłochu, a przewodnik, który oprowadzał turystów, wykrzyknął do nich: „Hej, wolniej tam!”

Kilkaset jardów za skrzyżowaniem Sadie zaczęła płakać. Jej twarz ściągnęła się i nos poczerwieniał, a łzy spływały strumieniem po twarzy.

– Zatrzymaj się! – nakazał w końcu Norton, biorąc wodze w swoje ręce.

Samochód uderzył w krawężnik, zarzucając raz czy dwa i zablokował się. Sadie opadła jak szmaciana lalka na kierownicę.

– Nie prosiłam o tak wiele! – łkała nieprzytomnie. – Chciałam jedynie, byśmy obejrzeni gejzery i gorące źródła.

– Posłuchaj – powiedział Norton. – Wiem, co się dzieje między nami. Dochodzi druga, a my jedziemy już prawie sześć godzin, nie mając nic w ustach.

Sadie przestała szlochać. Pozwoliła, by Norton rozwiązał czerwoną wstążeczkę jej kapelusza, zdjął go i pogładził ją po włosach.

– Pojedziemy wzdłuż Mamuciego Wąwozu – ciągnął Norton, jak gdyby opowiadał jej bajeczkę na dobranoc – i zjemy gorącą zupę z sandwiczami, wstąpimy na pocztę, a potem obejrzymy wszystkie gejzery i gorące źródła! Zgoda?

Sadie przytaknęła. Wyczuł, że zawahała się przez sekundę. Potem zapytała nagle:

– Czy widziałeś niedźwiedzia?

– Oczywiście, że widziałem – powiedział Norton, powstrzymując uśmiech.

– Ile ich już naliczyłeś?

– Pięćdziesiąt siedem.

Kiedy słońce przestało prażyć – obejmując tkliwie ramieniem uległą kibić Sadie, Norton poczuł, że budzi się w nim znowu życzliwość do ludzi. Pałaca złość nie rozsadzała mu już czaszki. Ruszył pewnie samochodem w błogim nastroju.

Teraz Sadie kroczyła pewnie kilka jardów przed nim, najedzona i uspokojona, niewidzialna, otulona oparem mgły, wiodąc go jak jagnię na postronku. Jej niewinność, jej ufność nadały mu nimb opiekuńczego boga. On rozumiał ją, otaczał swoją troską. Jednak nie widział, a może nawet nie starał się widzieć, że ta jej uległość i pokora wiodły go za sobą nie tylko przez parującą, duszącą kipieli w ciepłej mgłę. To ona prowadziła go, a on szedł posłusznie za nią, chociaż podwodne tęczowe źródła w gorących źródłach zniknęły.

Zanim przebyli objazd, słońce zaszło za wzgórzami i wysokie sosny zamurowały opustoszałą drogę granatowymi cieniami. W czasie jazdy spoglądał z niepokojem na wskaźnik paliwa. Biała wskazówka sygnalizowała, że benzyna się kończy. Sadie musiała również zorientować się w sytuacji, gdyż przyglądała mu się niepewnie w ciemnym, słabym świetle.

– Jak myślisz, czy dojedziemy? – zapytała drżącym głosem.

– Oczywiście – odparł Norton, choć wcale nie był tego taki pewien.

Musieli dojechać do jeziora, gdyż w okolicy nie było żadnej stacji benzynowej, a to zabierze im co najmniej godzinę. W baku była pewna rezerwa paliwa, ale nigdy nie sprawdził, ile benzyny pozostawało w zapasie, gdyż nigdy nie używał go poniżej ćwierci litra. Sprzeczka z Sadie musiała odwrócić jego uwagę od wskaźnika. Przecież mogli uzupełnić paliwo na Mamucim Rozdrożu. Włączył światła mijania, ale wąska smuga tak mało

znaczyła wobec napierających czarnych batalionów sosen, które z obu stron otaczały drogę wysokim murem ciemności. Pomyślał, że ucieszyłby go dla odmiany widok świateł drugiego samochodu za nimi, odbijających się w lusterku wstecznym. Ale lusterko obrzeżała wszechobecna ciemność. Przez krótką chwilę Norton uległ, zupełnie niemądrze, niezrozumialej trwodze, odczuwając nagle brzemień ciemności, która skupiła się u szczytu jego czaszki, napierając ze wszystkich stron, brutalnie i metodycznie, jakby zamierzała skruszyć delikatną, kościaną skorupkę, która oddzielała go od niej.

Próbując zwilżyć wyschnięte usta, Norton zaczął śpiewać, by rozproszyć lęk przed ciemnością, czego nie robił od czasów, gdy był dzieckiem.

*Posłuchajcie mej przestrogi,
Włóczykije z Liverpoolu,
Zanim wyruszyście na polowanie
Z psem, strzelbą lub siłkami.*

Narastająca kadencja starej piosenki pogłębiła jeszcze samotność nocy, która ich otaczała.

*Pewnej nocy, gdy leżałem na koi
Zupełnie sam, śniłem...*

Nagle, jak migotliwa świeca w przeciągu, zgasł płomyk pamięci i Norton zapomniał słów ballady. Jednak Sadie podjęła wątek pieśni:

*Śniłem, że jestem w Liverpoolu,
W słodkim Marylebone znów.*

Zakończyli unisono:

*Wraz z moją ukochaną
I kuflem tężego piwa w ręce.
A obudziłem się ze złamanym sercem,
Na niegościnniej ziemi Van Diemena.*

Norton przejął się niezmiernie tym, że zapomniał słów starej piosenki. Przecież znał je na pamięć równie dobrze jak własne nazwisko. Pomyślał, że rozmięka mu mózg.

Po półgodzinie jazdy nie zobaczyli żadnego drogowskiego, a wskaźnik paliwa opadł grubo poniżej zera. Norton uświadomił sobie, że nadśluchuje niespokojnie warkotu silnika, tak jakby wsłuchiwał się w oddech ukochanej chorej osoby. Wyteżał słuch, by wyłowić najcichszą zmianę w pracy silnika, najmniejszą przerwę, wyciszenie.

– Nawet jeśli dojedziemy – powiedziała Sadie z leciutkim śmiechem – spotkają nas co najmniej dwie nieprzyjemności: obca przyczepa kempingowa zaparkowana na naszym miejscu na parkingu i niedźwiedź oczekujący przy naszym namiocie.

Wreszcie ukazało się przed nimi jezioro – połyskujące, srebrzyste, otoczone ciemnymi stożkowatymi sosnami, odbijające w głębokiej toni gwiazdy i złoty sierp księżyca. Potem przebłysk bieli, kiedy w świetle reflektorów jeleni przegalopował przez drogę i zniknął w zaroślach. Widok otwartej wody i słaby, suchy odgłos jelenich kopyt podniosły ich na duchu. Zobaczyli na drugim brzegu wianuszek neonowych światełek nad sklepikami na kempingu. Dwadzieścia minut później podjeżdżali do jasno oświetlonej stacji benzynowej, śmiejąc się jak roztrzepana para nastolatków. Silnik zgasł pięć jardów od dystrybutora.

Norton od początku wycieczki nie widział, żeby Sadie była tak wesoła. Spanie w namiocie, nawet na ogrodzonych kempingach w parkach, pośród innych namiotów pełnych turystów,

odbierało jej odwagę. Pewnego wieczoru, kiedy wybrał się na krótki spacer wzdłuż brzegu jeziora, zostawiając ją, by dokończyła zmywać naczynia po kolacji, wpadła w histerię. Zbiegła na brzeg jeziora, wymachując ręcznikiem do wycierania naczyń i nawołując go przeraźliwie. Granatowe cienie gęstniały wokół niej jak woda, zanim usłyszał ją i zawrócił. Jednak teraz szczęśliwie przebyta bezludna droga, lęk przed ciemnością, który rozproszył się nagle, pusty bak, który uzupełnili, ożywiły ją jak nadmiar brandy. Jej podniecenie oszołomiło go, gdyż to on dźwigał brzemień jej starych obaw, jej zajęczy strach. Kiedy wjechali na teren kempingu i zatoczyli pętlę do miejsca, gdzie obozowali, nagle Nortonowi zamarło serce. Nie było ich namiotu. Potem, wstydząc się własnej głupoty, zobaczył, że namiot stoi tam, gdzie stał. Tyle tylko, że zasłania go podłużny, podobny do balonu kształt jakiejś obcej aluminiowej przyczepy kempingowej.

Skręcił, by zaparkować za przyczepą. Światła reflektorów skupiły się na ciemnym, kopcowatym kształcie kilka jardów od ich namiotu. Sadie parsknęła cichym, pełnym radości śmiechem:

– Pięćdziesiąty ósmy!

Wystraszony jasnymi światłami, czy też hałasem silnika, niedźwiedź odwrócił się od pojemnika na śmieci. Potem pobiegł niezgrabnymi susami, znikając w labiryncie ciemnych namiotów i przyczep kempingowych.

Zwykle Sadie nie lubiła przyrządzać kolacji po zmroku, gdyż zapach jedzenia przywabił zwierzęta. Jednak dzisiaj wyjęła ze skrzyni z lodem różowiotkie filety z pstrągów, które złowili wczoraj w jeziorze. Usmażyła rybę i gotowane ziemniaki z wczorajszego obiadu, podgrzała też na parze trochę kukurydzy. A nawet ochoczo przystąpiła do wieczornego rytuału, rozbełtując owaltną w żółtym świetle latarki. Równie ochoczo podgrzała wodę, by zmyć naczynia.

Chcąc zrekompensować stratę bukłaka na wodę i własną nierozwagę co do braku benzyny w baku, Norton zabrał się bardzo skrupulatnie do sprzątania po kolacji. Zawinął resztki smażonej ryby w pergamin i położył na tylnym siedzeniu samochodu wraz z torbą ciasteczek, fig i skrzynią z lodem.

Sprawdził okna samochodu i zamknął drzwi. W bagażniku było tyle puszek i suchego prowiantu, by wystarczyło im żywności na dwa miesiące. Upewnił się, że zamknął bagażnik. Potem wlał nieco płynu do mycia naczyń do wiadra z wodą i wyszorował drewniany stół i dwie ławki. Niedźwiedzie nachodzą tylko bałaganiarzy – mawiają strażnicy w parku – nękają tylko ludzi, którzy pozostawiają w pobliżu resztki jedzenia albo trzymają żywność w namiotach. Każdej nocy, oczywiście, niedźwiedzie wałęsają się po kempingu, plądrując pojemniki na śmieci. Nikt nie mógł im w tym przeszkodzić. Puszki miały metalowe wieczka i były zakopywane głęboko w ziemi, ale niedźwiedzie bywały wystarczająco przebiegłe, by zedrzeć pazurami pokrywkę i wydłubywać pozostałości, a także szperać w pergaminach i kartonach w poszukiwaniu spleśniałego Chleba, resztek hamburgerów i hot dogów, słoików z odrobiną miodu i dżemu na ściankach.

Wbrew podstawowej zasadzie ludzie dokarmiają niedźwiedzie, kusząc je słodyczami i krakersami, by pozowały im do fotografii, a nawet wpychają swoje dzieci wprost do paszczy niedźwiedzia, by zrobić bardziej zabawne zdjęcie.

W zimnym blasku zamglonego księżyca sosny zdawały się porastać pnącza cieni. Norton wyobraził sobie naraz ogromne zwierzęce kształty niedźwiedzi, włóczących się w samym sercu ciemności, węszących za jedzeniem. Znowu ból rozsadzał mu czaszkę. Wraz z bólem głowy coś jeszcze uobecniło się na samej krawędzi świadomości, uprzykrzone jak zapomniane słowa piosenki – jakieś przysłowie, od dawna zatopione w pamięci, którego nie mógł sobie przypomnieć.

– Norton! – zasyczała Sadie z namiotu.

Wszedł do środka, poruszając się wolno jak lunatyk, zapinając na zamek błyskawiczny

wejście i tropik chroniący przed komarami.

Jej ciało ogrzało już śpiwór, więc wczuł się do środka i położył obok niej jak w ciepłym, przytulnym gniazdku.

Obudził go potworny hałas. Najpierw śniło mu się, że słyszy zgrzyt rozdieranej blachy i brzęk tłuczonego szkła. Potem ocknął się nagle zupełnie trzeźwy, słysząc, że huk nie ustaje – ogłuszająca kaskada dzwonów i gongów, jak sądził.

Obok niego leżała wyprężona Sadie. Szeptła mu coś cicho do ucha, które muskał jej ciepły oddech.

– Mój niedźwiedź! – powiedziała, jak gdyby wywoływała go z ciemności.

Kiedy łoskot ustał, powietrze wydawało się nienaturalnie ciche. Potem Norton usłyszał szuranie w pobliżu samochodu. Słyszeli uderzenie i brzęk w środku, jak gdyby niedźwiedź próbował otworzyć wszystkie puszki i konserwy. Dobrał się do bagażnika! – pomyślał Norton. On zamierza otworzyć po kolei wszystkie nasze gulasze i zupy, i owoce w puszkach, a potem siedzieć tam przez całą noc, pochłaniając je bez umiaru.

Wizja niedźwiedzia, raczącego się ich żelaznym zapasem żywności, rozwścieczyła go. Nie dość, że niedźwiedź uszkodził ich samochód i dobrał się do środka, to jeszcze zje ich dwumiesięczne zapasy w jedną noc.

– Zrób coś! – błagała Sadie, kuląc się w przytulnym gniazdku z koców. – Wypłóż go stąd! – Jej głos był wyzwaniem dla niego, lecz nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą.

Potem Norton usłyszał, jak niedźwiedź myszkuje i wałęsa się obok namiotu. Płótno falowało jak żagiel podczas silnej bryzy. Norton wyczołgał się ze śpiwora, opuszczając wygodne, wygrzane legowisko. Wyjrzał przez siateczkę tropiku. W niebieskawym świetle księżyca zobaczył niedźwiedzia, który pochylił się przy tylnym oknie samochodu, przeciskając łapę przez puste okno, w którym wybił szybę. Usłyszał naraz, jak niedźwiedź z suchym chrzęstem, jak gdyby zgniatał papierową kulę, wydarł ze środka nieco słomy i wstążeczkę z kapelusza Sadie. Nortona ogarnął gniew. Ten przeklęty niedźwiedź nie miał prawa tak potraktować słomkowego kapelusza jego żony. Kapelusz należał do Sadie – tak nierozzerwalnie jak jej własne ciało – a ta bestia zniszczyła go, rozdierając na strzępy bez żadnych ceregieli.

– Zostań tutaj! – powiedział Norton. – Wyprowadzę stąd tego niedźwiedzia.

– Weź latarkę! Światło przestraszy go.

Norton wymacał ręką zimny, cylindryczny kształt latarki na podłodze namiotu, odpiął zamek błyskawiczny i wyszedł prosto w zamglone światło księżyca. Niedźwiedziowi udało się wydostać smażoną rybę ze środka samochodu. Stał tyłem, zajęty jedzeniem, grzebiąc w pergaminowym opakowaniu. Resztki kapelusza Sadie, groteskowy wiecheć ze słomy, leżały u jego stóp.

Norton zaświecił latarką prosto w oczy niedźwiedzia.

– Wynoś się stąd – powiedział.

Niedźwiedź nie poruszył się nawet.

Norton postąpił krok do przodu. Niedźwiedzi kształt górował nad samochodem. Norton zobaczył w blasku księżyca sterczące kawałki rozbitej przez niedźwiedzia szyby w pustym oknie samochodu.

– Wynoś się!

Trzymał latarkę nieruchomo, idąc wciąż naprzód, starając się zmusić siłą woli niedźwiedzia do odejścia. W każdej chwili niedźwiedź powinien przestraszyć się i uciec.

– Wynoś się!

Jednak tym razem zadziałała inna wola, silniejsza niż jego własna.

Ciemność zacisnęła pięść i zadała cios. Światło zgasło. Księżyc zaszedł za chmurę. Nudności paliły mu serce i trzewia. Walczył, smakując gęsty słodki miód, który wypełnił mu gardło i wyciekał z nozdrzy. Jak gdyby z dalekiej i gwałtownie uciekającej w przestrzeń

planety dobiegł go przesywający krzyk strachu, a może triumfu – nie mógł tego rozpoznać.
To był ostatni niedźwiedź, jej niedźwiedź, pięćdziesiąty dziewiąty niedźwiedź.

Matki

Esther była jeszcze na górze, gdy Rosę zaszła do niej tylnymi drzwiami. – Hop, hop, Esther, gotowa? – Rosę mieszkała ze swym emerytowanym mężem Cecilem w jednej z dwóch chałup przy drodze prowadzącej do domu Esther – dużego, krytego strzechą farmerskiego domu z brukowanym podwórzem. Bruk nie był z tłuczni, lecz z bitumenu, a wąskie, podłużne kostki tworzyły mozaikę startą do niepoznaki przez stulecia butów i kopyt. Kostki ciągnęły się za masywne, wybijane ćwiekami dębowe drzwi, aż do mrocznej sieni pomiędzy kuchnią a pomywalnią naczyń, a w czasach starej pani Bromehead stanowiły również ich podłogę. Jednak gdy stara pani Bromehead upadła i złamała sobie biodro w wieku dziewięćdziesięciu lat i została umieszczona w domu opieki, seria dzierżawców, których nie stać było na służbę, przekonała syna pani Bromehead, żeby położył w tych pomieszczeniach linoleum.

Z tylnych dębowych drzwi korzystali wszyscy prócz przypadkowych obcych. Pomalowane na żółto drzwi frontowe, obramowane dwoma wonnymi krzakami bukszpanu, wychodziły na połać parzących pokrzyw i otoczony kryzą nagrobków kościół, wycelowany w szare niebo. Brama frontowa otwierała się zaraz poniżej narożnika przykościelnego cmentarza.

Esther naciągnęła swój czerwony turban na uszy, po czym luźno udrapowała fałdy kaszmirowego płaszcza, aby na postronnych obserwatorach robić wrażenie kobiety wysokiej, majestatycznej i grubej, a nie w ósmym miesiącu ciąży. Rosę weszła, nie dzwoniąc do drzwi. Esther wyobraziła sobie Rosę, ciekawską, energiczną, oglądającą nagi parkiet holu wejściowego i sznur dziecięcych zabawek, który ciągnął się od pokoju frontowego do kuchni. Esther nie mogła się przyzwyczaić do ludzi, którzy otwierają drzwi i wchodzą do środka bez dzwonięcia. Robił tak listonosz i piekarz, i doręczyciel ze spożywczego, a teraz Rosę, która wychowała się w Londynie i powinna mieć lepsze maniery.

Pewnego razu, gdy Esther kłóciła się głośno i swobodnie z Tomem przy śniadaniu, tylne drzwi otworzyły się energicznie i o kamienne płytki sieni piasnął stos listów i gazet. Listonoszowe „Dzień dobry!” szybko ucichło. Esther poczuła się szpiegowana. Od tej pory przez jakiś czas zamykała tylne drzwi na zasuwę, ale harmider, który robili interesanci, znajdując drzwi zamknięte w biały dzień, dzwoniąc i czekając, aż ona przyjdzie i hałaśliwie otworzy zamek, wprowadził ją w jeszcze większe zakłopotanie niż poprzednie wtargnięcia. Zostawiła więc zasuwę w spokoju i starała się mniej kłócić, a przynajmniej nie tak głośno.

Kiedy Esther zeszła na dół, Rosę czekała zaraz za drzwiami, elegancko ubrana w aksamitny kapelusz w kolorze lawendy i tweedowy żakiet w kratkę. U jej boku stała blondwłosa kobieta o kościstej twarzy i sinych powiekach, bez brwi. Była to pani Nolan, żona właściciela oberży „White Hart” Pani Nolan, powiedziała Rosę, nie chodzi na zebrania Stowarzyszenia Macierzyństwa, ponieważ nie ma z kim, więc w tym miesiącu Rosę ją zabiera, razem z Esther.

– Mogłabyś poczekać jeszcze minutkę, Rosę? Tylko powiem Tomowi, że wychodzę. – Esther czuła, że Rosę bada wzrokiem jej kapelusz, jej rękawiczki, jej szpilki z patentowej skóry, gdy się odwróciła, aby zgrabnym krokiem pójść po kamiennych płytkach do ogrodu z tyłu domu. Tom szczepił agrest na świeżo przekopanym kwadracie ziemi za pustą stajnią. Dziecko siedziało na kopczyku ceglastej ziemi, którą nakładało sobie sfatygowaną łyżką na podolek.

Złość na Toma, że się nie ogolił i pozwala dziecku babrać się w ziemi, szybko jej przeszła, gdy ujrzała, jacy oboje są spokojni i zadowoleni. – Tom! – Bezmyślnie położyła dłoń w białej rękawiczce na oklejonej ziemią drewnianej furtce. – Wychodzę. Gdybym długo nie wracała,

ugotujesz dziecku jajko?

Tom wyprostował się i zawołał jakieś słowo potwierdzenia, które utknęło w gęstym listopadowym powietrzu. Dziecko odwróciło się w stronę głosu Esther, z czarnymi ustami, jakby jadło ziemię. Żeby dziecko nie zdążyło się podnieść i podreptać za nią, Esther przeszła szybko na podwórze, gdzie czekały na nią Rosę i pani Nolan.

Esther wypuściła je przez dwumetrową, palisadową bramkę i zamknęła ją na rygiel. Rosę wystawiła zgięte w łokciach ramiona, pani Nolan wzięła ją z jednej strony pod ramię, Esther z drugiej, po czym trzy kobiety przemaszerowały w swych najlepszych butach kamienistą dróżką obok domu Rosę, a następnie obok domu ślepego starca i jego gnijącej w staropanieństwie siostry, aż wyszły na szosę.

– Dziś zebranie jest w kościele. – Rosę wepchnęła sobie językiem miętusa w policzek i poczęstowała rolką w sreberku. Jednak Esther i pani Nolan odmówiły uprzejmie. – Ale nie zawsze spotykamy się w kościele. Tylko jak przyjmujemy nowe członkinie.

Pani Nolan wywróciła swymi bladymi oczyma ku niebu. Czy uczyniła tak z ogólnej konsternacji, czy po prostu na myśl o kościele, tego Esther nie wiedziała. – Pani też tu jest od niedawna? – spytała Esther panią Nolan, pochylając się trochę do przodu.

Pani Nolan parsknęła krótkim, pozbawionym wesołości śmiechem. – Mieszkam tu od *sześciu* lat!

– To chyba musi pani już wszystkich znać!

– Prawie nikogo – odparła pani Nolan, powodując, że do serca Esther przyfrunęły niczym stadko ptaków na zdrewniałych skrzydłach złe przecucia. Skoro pani Nolan, sądząc po wyglądzie i akcencie Angielka, a do tego żona oberżysty, po sześciu latach czuje się w Devon obco, czy Esther, Amerykanka, może mieć jakąkolwiek nadzieję, że zdomowi się kiedyś w tej z dawna zakorzenionej społeczności?

Trzy kobiety szły dalej, ramię w ramię, szosą obok żywopłotu z ostrokrzewu, który ograniczał działkę Esther, minęły jej frontową bramę i czerwony, gliniany mur kościelnego cmentarza. Na wysokości ich głów odchyłały się od pionu płaskie płyty czołowe, w które wgryzły się porosty. Droga, która wrosła mocno w ziemię na długo przed nastaniem chodników, wiła się jak jakieś prehistoryczne koryto rzeki między ukośnymi brzegami.

Gdy minęły witrynę rzeźnika, który w środku tygodnia wystawiał karkówkę wieprzową i tekturowe pojemniki ze skrawkami, a następnie weszły w uliczkę przy posterunku policji i toaletach publicznych, Esther ujrzała inne kobiety, zmierzające pojedynczo lub w grupach ku furcie kościelnej. Obciążone niewygodnymi wełnianymi płaszczami i szkaradnymi kapeluszami, wydawały się, wszystkie bez wyjątku, zniszczone i stare.

Gdy Esther i pani Nolan przystanęły przed bramą, popychając Rose, by weszła pierwsza, Esther rozpoznała w nieprzeciętnie brzydkiej osobie, która przybyła zaraz za nimi cała w uśmiechach, kobietę, która podczas Święta Plonów sprzedała jej za półtora, szylinga olbrzymiego karpia. Karpień pęczniał jak jakieś cudowne warzywo z bajki ponad krawędzią koszyka Esthery, całkowicie go wypełniając. Lecz kiedy go pokrajała, okazał się porowaty i twardy jak korek. Po dwóch minutach w szybkowarze zamienił się w nędną pomarańczową papkę, która oblepiła boki garnka kłajstrowatą, cuchnącą cieczą. Powinnam go była ugotować w całości, pomyślała teraz Esther, podążając za Rose i panią Nolan między ogłowionymi lipami ku drzwiom kościoła.

Wnętrze kościoła wydawało się dziwnie jasne. Esther zdała sobie jednak sprawę, że do tej pory zachodziła tam tylko po zmroku, na nabożeństwo wieczorne. Czarne ławki już wypełniały się kobietami, które szeleściły sukniemi, opuszczały głowy, klękały i promieniały dobrodusznie na wszystkie strony. Rosę powiodła Esther i panią Nolan do pustej ławki w połowie długości nawy. Pierwszą popchnęła panią Nolan, po czym weszła sama, ciągnąc za sobą Esther. Rosę była jedyną z całej trójki, która uklękła. Esther skłoniła głowę i zamknęła oczy, lecz w głowie miała pustkę; czuła się wyłącznie obłudnie. Otworzyła więc oczy i

rozejrzała się dokoła.

Pani Nolan jako jedyna kobieta z całej kongregacji nie miała na głowie kapelusza. Esther spotkała się z nią wzrokiem i pani Nolan uniosła brwi, a raczej skórę czoła w miejscu, gdzie kiedyś były brwi. Potem pochyliła się do przodu. – Niezbyt często – wyznała – tu przychodzę.

Esther potrząsnęła głową i wymamrotała: – Ja też. – Nie była to do końca prawda. W miesiąc po przyjeździe do miasteczka Esther zaczęła regularnie uczęszczać na wieczorne nabożeństwo. Podczas tego pierwszego miesiąca czuła się nieswojo. Każdej niedzieli, rano i wieczorem, miejscy dzwonnicy posyłali swe dudniące kuranty nad całą okolicę. Od przenikliwych dźwięków nie było ucieczki. Wgryzały się w powietrze i potrząsały nim jak ujadające psy. Dzwony powodowały, że Esther czuła się odtrącona, jakby jej nie zaproszono na jakieś prestiżowe przyjęcie. Kilka dni po tym jak wprowadzili się do domu, Tom zawołał do niej z dołu, że ma gościa. W holu wejściowym, pośród nie rozpakowanych pudeł z książkami, czekał pastor. Był to niski, siwawy mężczyzna o odstających uszach, irlandzkim akcencie i zawodowo życzliwym, wszystko wybaczącym uśmiechu. Opowiadał o latach spędzonych w Kenii, gdzie poznał Jomo Kenyattę, pierwszego szefa niezależnego rządu, o swych dzieciach w Australii i o swej angielskiej żonie.

Jeszcze chwila, pomyślała Esther, a zapyta, czy chodzimy do kościoła. Lecz proboszcz nie wspominał o kościele. Pokuśtał dziecko na kolanie i wkrótce wyszedł. Jego zwarta, czarna postać skurczyła się na ścieżce do bramy frontowej.

Miesiąc później, nadal przytłoczona ewangelicznymi dzwonami, Esther napisała, trochę wbrew sobie, notkę do proboszcza, powiadamiając go, że chciałaby uczęszczać na nabożeństwo wieczorne. Czy mógłby jej wytłumaczyć przebieg liturgii?

Czekała zdenerwowana jeden dzień, drugi, każdego popołudnia mając w gotowości herbatę i ciasto, które zjadali z Tomem dopiero, gdy pora podwieczorku dawno minęła. Trzeciego popołudnia, gdy fastrygowała śpiochy z żółtego barchanu dla dziecka, przypadkiem zerknęła przez okno ku bramie frontowej. Przysadzisty, czarny kształt brnął powoli przez parzące pokrzywy.

Esther przywitała się z proboszczem trawiona złymi przeczuciami. Powiedziała mu od razu, że została wychowana jako unitarianka. Proboszcz odparł jednak z uśmiechem, że jako chrześcijanka, dowolnego wyznania, będzie przyjęta na łono jego kościoła z otwartymi ramionami. Esther stłumiła w sobie ochotę, by wyrzucić z siebie, że jest ateistką i mieć sprawę z głowy. Otwierając anglikański modlitewnik, który przyniósł jej proboszcz, poczuła, że jej rysy zasnuwa chorobliwa, fałszywa powłoczka. Przerobiła z proboszczem porządek nabożeństwa. Zesłanie Ducha Świętego i słowa „zmartwychwstanie ciała” przepoiły ją niemiłym poczuciem dwulicowości. Jednak kiedy wyznała, że naprawdę nie potrafi uwierzyć w zmartwychwstanie ciała (nie śmiała dodać „ani też ducha”), proboszcz nie wydawał się specjalnie poruszony. Spytał tylko, czy wierzy w skuteczność modlitwy.

– O, tak, tak, wierzę! – usłyszała Esther swoje własne słowa, zdumiona, że łyżki tak posłusznie napłynęły jej do oczu. Przez swój okrzyk chciała tylko powiedzieć: Tak bardzo chciałabym wierzyć. Później się zastanawiała, czy łyżki nie wzbudziła wizja ogromnej, nieprzebytej przepaści pomiędzy jej ateuszowskim stanem ducha a błogosławieństwem wiary. Nie miała serca powiedzieć proboszczowi, że już dziesięć lat wcześniej przeszła przez te żalosne próby nawrócenia, na zajęciach z religioznawstwa w college’u, a skończyło się na żalu, że nie jest Żydówką.

Proboszcz zaproponował, że jego żona usiądzie koło Esther na następnym nabożeństwie wieczornym, żeby nie czuła się obco. Potem się zreflektował. Pewnie wolałaby przyjść ze swymi sąsiadami, Rosę i Cecilem. To „bardzo pobożni” ludzie. Dopiero gdy proboszcz zabrał swoje dwa modlitewniki i czarny kapelusz, Esther przypomniała sobie o herbacie i tacy lukrowanych ciasteczek, które czekały w kuchni. Było już jednak za późno. Coś więcej niż roztargnienie kazało jej zapomnieć o tych ciastkach, pomyślała, patrząc na miarowy odwrót

proboszcza przez zielone pokrzywy.

Kościół szybko się wypełniał. Żona proboszcza, kobieta kanciasta, uprzejma, o pociągłej twarzy, podreptała z przedniej ławki do tyłu, żeby rozdać egzemplarze Modlitewnika Stowarzyszenia Macierzyństwa. Esther poczuła jak dziecko rusza się i kopie, i pomyślała ociężale: – Jestem matką; przynależę tutaj.

Prastary, śmiertelny chłód posadzki kościoła zaczynał dopiero przenikać przez podeszwy jej butów, gdy kobiety, wśród szmerów i szelestów, wstały karnie, a wzdłuż nawy ruszył proboszcz, swym powolnym, świątobliwym krokiem.

Organy zaczerpnęły tchu; zagrały hymn rozpoczynający nabożeństwo. Organista był chyba nowicjuszem. Rozdźwięk pogłębiał się z każdym taktem i głosy kobiet usiłowały schwytać umykającą melodię z drapieżną, kocią rozpaczą. Nastąpiły ukłęknięcia, odpowiedzi, dalsze hymny.

Proboszcz podszedł do przodu i wiernie powtórzył anegdotę, która stanowiła osnowę treści jego kazania na poprzednim nabożeństwie wieczornym. Potem wystąpił z niezręczną, a nawet żenującą metaforą, którą Esther już słyszała podczas ceremonii chrztu tydzień wcześniej, na temat aborcji fizycznej i duchowej. Proboszcz wyraźnie sobie folgował. Rosę wsunęła do ust kolejnego miętusa, a pani Nolan miała szklistą, nieobecna minę nieszczęśliwej prorokini.

Nareszcie podeszły do ołtarza trzy kobiety, dwie całkiem młode i ładne, jedna bardzo stara, i ukłękły, aby dostąpić przyjęcia do Stowarzyszenia Macierzyństwa. Proboszcz zapomniał nazwiska najstarszej i musiał zaczekać, aż żona przytomnie podejdzie i podpowie mu do ucha. Ceremonia znów ruszyła z miejsca.

Wybiła czwarta, nim proboszcz wypuścił kongregację z rąk. Esther wyszła z kościoła w towarzystwie pani Nolan, gdyż Rosę skumała się z dwiema innymi znajomymi: Brendą, żoną sprzedawcy warzyw, i szykowną panią Hotchkiss, która mieszkała na Widdop Hill i prowadziła hodowlę wilczurów.

– Zostaje pani na herbatę? – spytała pani Nolan, gdy strumień kobiet poniósł je w dół drogą koło posterunku.

– Po to tu przyszłam – odparła Esther. – Myślę, że sobie zasłużyłyśmy.

– Kiedy ma pani termin?

Esther zaśmiała się. – W każdej chwili.

Kobiety zboczyły z drogi na podwórze po lewej. Esther i pani Nolan podążyły w ślad za nimi do ciemnego, przypominającego oborę pomieszczenia, które Esther przygnębiająco kojarzyło się z kościelnymi piknikami i grupowymi śpiewami. Wodziła wzrokiem w półmroku za saganem herbaty lub innymi zwiastunami biesiadnego nastroju, ale natrafiła tylko na pianino z zamkniętym wiekiem. Pozostałe kobiety nie zatrzymały się; poszły gęsiego po źle oświetlonych schodach.

Za parą wahadłowych drzwi otworzył się jasno oświetlony pokój, gdzie równoległe do siebie ustawione były dwa bardzo długie stoły zasłane śnieżnobiałymi lnianymi obrusami. Środkiem stołów ciągnęły się szeregi tac z ciastami, na przemian z wazonami chryzantem w kolorze mosiądzu. Różnorodność ciast była zdumiewająca; wszystkie pieczołowicie przyozdobione, niektóre wisienkami i orzechami, niektóre lukrem. Proboszcz stał już wyczekująco u czoła jednego ze stołów, jego żona u czoła drugiego, a mieszkanki miasta zajmowały miejsca na ustawionych ciasno obok siebie krzesłach. Grono Rosę usadowiło się na drugim końcu stołu proboszcza. Pani Nolan została wbrew swej woli wmanewrowana na miejsce naprzeciwko duchownego, na samym końcu stołu, zaś Esther usiadła po jej prawej, po lewej mając puste krzesło, które zostało przeoczone.

Kobiety umościły się wygodnie.

Pani Nolan zwróciła się ku Esther. – Jak pani tu spędza czas? – Było to pytanie zdesperowanej kobiety.

– Och, opiekuję się dzieckiem. – Esther zawstydzila się tej wymijającej odpowiedzi. –

Przepisuję na maszynie teksty męża.

Rosę pochyliła się ku nim. – Jej mąż pisze do *radia*.

– Ja maluję – powiedziała pani Nolan.

– Jaką techniką? – spytała Esther, trochę zaskoczona.

– Głównie olejną. Ale jestem w tym kiepska.

– Próbowала pani akwareli?

– O, tak, ale do tego trzeba być dobrym. Musi się udać od pierwszego razu.

– Co pani maluje? Portrety?

Pani Nolan zmarszczyła nos i wyjęła paczkę papierosów. – Myśli pani, że tu wolno palić?... Nie. Jestem kiepska w portretach. Ale czasem maluję Ricky.

Roznosząca herbatę drobniutka kobieta, robiąca wrażenie wygasłej, dotarła do Rosę.

– Chyba wolno tu palić? – pani Nolan spytała Rosę.

– Och, nie, nie sądzę. Mnie się strasznie chciało, jak tu pierwszy raz przyszedłam, ale nikt inny nie palił.

Pani Nolan spojrzała na kobietę z herbatą. – Wolno tu palić?

– Ooo, raczej nie – odparła kobieta. – Nie w pomieszczeniach kościelnych.

– Chodzi o przepisy przeciwpożarowe? – indagowała Esther. – Czy jakieś sprawy religijne? – Nikt jednak nie wiedział. Pani Nolan zaczęła opowiadać Esther o swym siedmioletnim synku, który miał na imię Benedict. Okazało się, że Ricky to chomik.

Drzwi wahadłowe rozwarły się nagle i weszła z parującą tacą czerwona z wysiłku młoda kobieta. – Hot dogi, hot dogi! – rozległy się uradowane głosy z różnych części pomieszczenia.

Esther była bardzo głodna, niemal osłabiona z głodu. Nie zniechęciły jej nawet wstęgi przejrystego, gorącego tłuszczu, spływające z parówki po jej bułecznym opakowaniu – wzięła dużego kęsa, podobnie jak pani Nolan. W tej samej chwili całe zgromadzenie pochyliło głowy. Proboszcz odmawiał modlitwę dziękczynną.

Z wydętymi policzkami Esther i pani Nolan spojrzały po sobie, robiąc do siebie oczy i tłumiąc chichot, jak uczennice, które mają wspólny sekret. Po modlitwie wokół stołu zaczęły krążyć talerze i wszyscy raczyli się obficie. Pani Nolan opowiedziała Esther o ojcu małego Benedicta, dużym Benedyku (swym drugim mężu), który był plantatorem gumy na Malajach, dopóki się nie rozchorował i nie został oddelegowany do kraju.

– Poczęstujcie się chlebem świętojańskim. – Rosę podała wkoło tacę z kawałkami jeszcze ciepłego chleba świętojańskiego, a pani Hotchkiss, idąc jej śladem, podsunęła towarzystwu torcik czekoladowy.

Esther nałożyła sobie wszystkiego po kolei. – Kto upiekł te wszystkie ciasta?

– Żona proboszcza – odparła Rosę. – Ona dużo piecze.

– Proboszcz – pani Hotchkiss pochyliła brzeg kapelusza z przepiórczym piórem – pomaga ubijać pianę.

Pani Nolan, odcięta od nikotyny, bębniła palcami po blacie stołu. – Chyba niedługo będę się zbierać.

– Pójdę z panią – odezwała się Esther z ustami pełnymi ciasta. – Muszę wracać do dziecka.

Wróciła jednak kobieta roznosząca herbatę, aby dopełnić filiżanki i oba stoły w coraz większym stopniu przypominały duże spotkanie rodzinne, z którego nie wypada wyjść bez podziękowania, a przynajmniej prośby o pozwolenie na odejście.

Żona proboszcza niezauważalnie zniknęła ze swego krzesła i teraz pochyliła się nad nimi po macierzyńsku, z jedną ręką na ramieniu pani Nolan, drugą na ramieniu Esther. – Chleb świętojański jest przepyszny – powiedziała Esther, chcąc sprawić jej komplement. – To pani wypiek?

– Och, nie, pana Ockendena. – Pan Ockenden był w miasteczku piekarzem. – Jeszcze jeden został. Jeśli pani chce, może go pani potem kupić.

Zaskoczona tymi zakusami finansowymi, Esther prawie natychmiast sobie przypomniała,

jak to ludzie kościoła, niezależnie od wyznania, wiecznie czyhają na pieniądze, składki i wszelkiego rodzaju darowizny. Ostatnio na nabożeństwie wieczornym dostała Skrzynkę Błogosławieństw – pojemnik z nie heblowanego drewna z podłużnym otworem w wieczku, do którego należało wrzucać pieniądze aż do następnego Święta Plonów, kiedy to skrzynki miały być opróżnione i znów rozdane.

– Z chęcią wezmę jeden – powiedziała Esther, odrobinę zbyt entuzjastycznie.

Gdy żona proboszcza wróciła na swoje miejsce, wśród ubranych w najelegantsze bluzki, kardigany i okrągłe filcowe kapelusze kobiet w średnim wieku, które siedziały po drugiej stronie stołu, zaczęły się szepty i porozumiewawcze trącanie się łokciami. Wreszcie, przy akompaniamencie przelotnych, lokalnych oklasków, jedna z kobiet wstała i wygłosiła odezwę o wotum wdzięczności dla żony proboszcza za wspaiały podwieczorek. W odezwie znalazł się żartobliwy przypisek, dotyczący podziękowań dla proboszcza za jego pomoc, która najwyraźniej zyskała sobie duży rozgłos, w ucieraniu ciasta. Dalsze oklaski; dużo śmiechu, po czym żona proboszcza wygłosiła respons, w którym z imienia i nazwiska przywitała Esther i panią Nolan. Dając się ponieść wzruszeniu, zdradziła się ze swoją nadzieją, że zostaną członkiniami Stowarzyszenia Macierzyństwa.

Pośród ogólnego harmidru oklasków, śmiechów, ciekawskich spojrzeń i kolejnej porcji tac, sam proboszcz wstał ze swego miejsca i przeniósł się na puste krzesło obok pani Nolan. Skinąwszy głową w stronę Esther, jak do starej znajomej, zaczął ściszone głosem mówić coś do pani Nolan. Esther podsłuchiwała, nie czując wstydu, a jednocześnie jadła z talerzyka posmarowany masłem chleb świętojański i rozmaite ciasta.

Proboszcz poczynił jakąś dziwną, żartobliwą uwagę na temat tego, że nigdy nie mógł zastać pani Nolan w domu – na co jej gładka cera blondynki nabrała odcienia jasnego różu – po czym dodał: – Przepraszam, ale nie odwiedziłem pani dlatego, że powiedziano mi, iż jest pani rozwódką. Z reguły przyjmuję zasadę, żeby ich nie nawiedzać.

– Och, to już przecież teraz nie ma znaczenia – wymamrotała zaczerwieniona pani Nolan, szarpiąc nerwowo za kołnierz swego rozpiętego płaszcza. Proboszcz zakończył jakąś krótką homilią na przywitanie, której Esther nie dosłyszała, taka była rozdygotana i wzburzona cierpieniem pani Nolan.

– Nie powinienam była przychodzić – szepnęła pani Nolan do Esther. – Rozwiedzione kobiety nie mają prawa przychodzić.

– To idiotyczne – odparła Esther. – Ja wychodzę. Chodźmy już.

Rosę podniosła wzrok, gdy jej dwie podopieczne zaczęły zapinać płaszcze. – Pójdę z wami. Cecil już pewnie czeka na herbatę.

Esther zerknęła w stronę żony proboszcza na drugim końcu pomieszczenia, otoczoną gromadką rozgadanych kobiet. Nadliczbowego chleba świętojańskiego nigdzie nie było widać, a Esther nie miała ochoty wyprawiać się na jego poszukiwania. Zamówi jeden u pana Ockendena, gdy przyjdzie w sobotę. Poza tym miała niejasne podejrzenia, że żona proboszcza policzyłaby jej trochę więcej – na utrzymanie kościoła, tak jak to robią na wentach dobroczynnych.

Pani Nolan pożegnała się z Rosą i Esther koło ratusza i poszła w dół do oberży swego męża. Nadrzeczna droga tonęła w zwałach mokrej, sinej mgły, toteż po niedługiej chwili straciły panią Nolan z oczu.

Rosę i Esther wróciły razem do domu.

– Nie wiedziałam, że nie przyjmują rozwódek – powiedziała Esther.

– O, nie, nie lubią rozwódek. – Rosę pogrzebała w kieszeni i wyjęła paczkę „Malteserów” – Poczęstujesz się? Pani Hotchkiss powiedziała, że jeśli by nawet pani Nolan chciała wstąpić do Stowarzyszenia Macierzyństwa, to by nie mogła. Chcesz psa?

– Co chcę?

– Psa. Pani Hotchkiss został jeden wilczur z ostatniego miotu. Sprzedała wszystkie czarne,

bo na nie jest duży popyt, a został jej szary.

– Tom nienawidzi psów – Esther zdumiała jej własna zaciętość. – Szczególnie wilczurów.

Rosę wydawała się zadowolona. – Powiedziałam jej, że moim zdaniem nie będziesz chciała. Psy są okropne.

Nagrobki, połyskujące na zielono w gęstym zmierzchu, sprawiały wrażenie, jakby sędziwe porosty miały jakąś magiczną zdolność do fosforescencji. Kobiety minęły cmentarz, z jego płaskim, czarnym cisem, a gdy chłód wieczoru przedarł się przez płaszcze i ulotne ciepło herbaty, Rosę wysunęła w bok zgięte w łokciu ramię, zaś Esther wczepiła się w nie bez wahania.

Ocean 1212-W

Krajobrazem mego dzieciństwa nie był ląd, lecz skraj lądu – zimne, słone, ruchliwe wzgórze Atlantyku. Czasem wydaje mi się, że wizja morza jest moim najbardziej wyrazistym wspomnieniem. Będąc wygnanką, noszę ją w sobie jak purpurowe, opasane białą pręgą „szczęśliwe kamyki”, które nieraz zbierałam, lub muszle błękitnych małży o wnętrzu podobnym do tęczowego paznokcia anioła; w nagłym przypływie pamięci barwy ciemniejszą i nabierają blasku – pierwotny świat zaczyna oddychać.

Na początku jest oddech. Słyszę czyjś oddech. Czy to mój własny, czy też oddech mojej matki? Nie – to coś innego – coś potężniejszego, nieskończenie odległego, pełnego powagi i znużenia. Tak więc przymknąwszy powieki, unoszę się przez chwilę na falach – jestem małym kapitanem statku badającym pogodę; tarany bijące o falochron – kartacze pyłu wodnego na wspaniałych pelargoniach mojej matki lub kołyszący do snu szmer przepelnionej po brzegi, zwierciadlanej sadzawki, która obraca kwarcowy żwir przy brzegu, leniwie i łagodnie jak dama kontemplująca klejnoty. Może to deszcz dzwonił o szybę okienną, może to wiatr świstał, wypróbowując szczeliny domu jak klawisze. Nie dawałam się oszukać. Macierzyński puls morza ujawniał śmieszność tych naśladownictw. Jak tajemnicza kobieta morze ukrywało nieskończenie wiele, miało różne oblicza, mnóstwo delikatnych, przerażających zasłon. Opowiadało o różnych dziwach i niezmiernych przestrzeniach, choć umiało przypochebiać się, zdolne też było zabić.

Kiedy uczyłam się raczkować, moja matka posadziła mnie na brzegu, aby zobaczyć, jak się zachowam. Czołgałam się ku nadciągającej fali i przeszłam właśnie przez ścianę zieleni, gdy matka schwytała mnie za pięty.

Nieraz zastanawiam się, co by się stało, gdybym zdołała przebić to zwierciadło. Czy moje dziecięce skrzela wchłonęłyby sól do mej krwi? Przez pewien czas nie wierzyłam ani w Boga, ani w świętego Mikołaja, tylko w syreny. Wydawało mi się, że ich istnienie jest tak logiczne i konkretne, jak obecność kruchego odnóża konika morskiego w akwarium zoo łub rai wyławianych przez klnących niedzielnych wędkarzy – rai o pełnych, kobiecych, kokieteryjnych wargach i ciele przypominającym stare poszewki na poduszki.

Pamiętam też moją matkę, podobną do syreny, jak czyta mi i mojemu młodszemu bratu fragment *Porzuconego wodnika* Matthew Arnolda:

*Piaszczyste groty, głębokie, chłodne,
Gdzie wiatry drzemią uśpione;
Przyćmione światła tam drżą i błyszczą,
Wodorosty wśród prądów się kołyszą,
Tam morskie bestie jak na tratwie
Żerują w pożywnym szlamie –
I wiją się węże morskie
Susząc swe łuski, wygrzewając w wodzie,
A wieloryby omijają brzeg
Płynąc bez opuszczonej powieki
Wokoło świata tego przez wieki.*

Dostrzegłam gęsią skórkę na własnym ciele. Nie wiedziałam, co ją wywołało, gdyż nie czułam zimna. Czy to przeleciał jakiś duch? Nie, to poezja. Iskra wzniecona przez Amolda przeszła mnie dreszczem. Byłam bliska łez; czułam się nieswojo. Poznałam nowy rodzaj

szczęścia.

Od czasu do czasu, gdy czuję tęsknotę za dzieciństwem spędzonym nad oceanem – za krzykiem mew i zapachem soli, ktoś troskliwy wpycha mnie do auta i wiezie do najbliższego brzegu morskiego. W Anglii nie ma przecież miejsc oddalonych więcej niż 70 mil od morza. Po chwili mówią: „Patrz, morze” Jakby morze było olbrzymią ostrygą podaną na półmisku, która ma ten sam smak w jakiegokolwiek restauracji na świecie. Wsiadam z auta, rozprostowuję nogi, wciągam powietrze do płuc. Morze. Lecz to nie to, wcale nie to.

Po pierwsze, już samo położenie geograficzne zupełnie mi nie odpowiada. Gdzie podział się szary kciuk wieży wodnej na lewo i sierpowato wygięta zapora z piasku (w rzeczywistości zapora z kamienia) u jej podnóża, a na prawo w oddali więzienie na Deer Island na samym czubku przylądka? Droga, którą znałam, schodziła ku falom, między morzem z jednej strony a zatoką z drugiej, dom mojej babki zaś, położony w połowie drogi i zwrócony ku wschodowi, pełen był czerwonego słońca i morskich odbłasków.

Po dziś dzień pamiętam numer jej telefonu: OCEAN 1212-W. Z mego domu nad spokojnym brzegiem zatoki mogłabym powtórzyć go telefonistce jak zakłęcie lub pięknie brzmiący rym, oczekując niemal, że czarna słuchawka jak muszla przekaże mi z oddali szum morza oraz „Halo” mojej babki.

Tak, oddech morza i jego światła. Czyżby to było jakieś potężne, promieniujące zwierzę? Nawet zamknąwszy oczy, czułam błyski jego lśniących zwierciadeł, pełzających po powiekach. Leżałam w wodnej kolebce, a odbłaski morza przenikały przez szpary w ciemnozielonej zasłonie okiennej, by igrać i tańczyć, to znów nieruchomieć w niedostrzegalnym drzeniu. W porze udawania się na spoczynek uderzałam paznokciem o pustą, mosiężną ramę łóżka, by wydobyć z niej jakąś melodię. Raz ożywiona odkrywczym zapachem znalazłam w nowej, pokrytej różami tapecie miejsce złączenia i tym samym ciekawskim paznokciem odsłoniłam sporą połać ściany. Skrzyczano mnie za to i przetrzepano skórę, po czym dziadek odciągnął mnie od domowych kłótni na daleką przechadzkę wzdłuż wybrzeża po stosach chrześzczących i usypujących się czerwonych kamieni.

Moja matka urodziła się i wychowała w tym samym podmytym przez morze domu; pamiętała czasy, gdy rozbijały się tu okręty, a mieszkańcy miasta, jak na targu, wygrzebywali wśród odpadków naniesionych przez fale – sagany, zwoje zamokłych tkanin lub samotny, żałobny but. Lecz nigdy, o ile pamiętała, nie znaleziono utopionego marynarza. Marynarze odchodzili wprost do Davy’ego Jonesa².

Zastanawiam się, czym morze mogłoby obdarować? I nie traciłam nadziei. Brązowe i zielone szkła były pospolite, a błękitne i czerwone rzadkie: czyżby latarnie rozbitych okrętów? Lub strzaskane przez morze dna butelek po piwie i whisky. Nikt tego nie wiedział.

Przypuszczam, że morze pochłonęło dziesiątki serwisów herbacianych – wyrzuconych z okrętów liniowych lub powierzonych przyływowom przez opuszczone panny młode. Zbierałam odłamki porcelany ze szlakiem ostróżek polnych i ptaków lub ozdobione girlandami stokrotek. Żaden z tych wzorów nigdy nie pasował do drugiego.

Pewnego dnia zarys wybrzeża wyrzył się na zawsze na soczewce mego oka. Kwiecień był upalny. Wygrzewałam się na połyskujących od miki kamiennych schodach domu mej babki, patrząc na ścianę pokrytą pstrym deseniem jajowatych kamieni, wachlarzowatych muszli i barwnego szkła. Moja matka od trzech tygodni przebywała w szpitalu. Byłam w złym humorze i na nic nie miałam ochoty. Jej odejście wypaliło dymiącą dziurę w moim niebie. Jak ona mogła, kochająca i wierna, opuścić mnie tak bez troski? Moja babka, wyrabiając ciasto na chleb, nuciała wesoło z ukrytym podnieceniem. Ponieważ była bardzo wiedeńska i wiktoriańska, zaciskała tylko usta, nie chcąc mi nic powiedzieć. Wreszcie trochę zmięła.

– Po powrocie matki czeka cię niespodzianka – oświadczyła. – To będzie coś miłego...

² Legendarny duch morza, do którego odchodzą utopieni marynarze (przyp. tłum).

niemowlę.

Niemowlę.

Nienawidziłam niemowląt. Ja, która przez dwa i pół roku znajdowałam się w centrum pełnego czułości wszechświata, poczułam, jak oś przechyla się, a polarny chłód poraża moje kości. Stanę się widzem, muzealnym mamutem. Niemowlęta!

Nawet mój dziadek, siedzący na oszklonej werandzie, nie zdołał wyrwać mnie z przygnębienia. Nie pozwoliłam mu schować fajki w kauczukowym drzewie i zmienić jej w drzewo fajkowe. Odszedł w swych trampkach, urażony. Wciąż jednak pogwizdywał beztrzesko. Oczekałam, aż okrążywszy Wzgórze Wieży Ciśnienie oddali się w stronę nadmorskiego bulwaru, gdzie kioski z lodami i gorącymi kielbaskami były jeszcze zabite deskami mimo łagodnej, jak na tę porę roku, pogody. Liryczne pogwizdywanie dziadka wzywało mnie do poszukiwania przygody i zapomnienia. Lecz ja nie chciałam zapomnieć. Żywiąc w sercu urazę, brzydka i kłująca jak smutny jeżowiec, wlokłam się samotnie w przeciwnym kierunku, ku ponuremu więzieniu. Patrząc jakby z dalekiej gwiazdy, dostrzegałam trzeźwo i obojętnie odrębność każdej rzeczy. Dotknęłam powierzchni swojej skóry: to jestem ja? Ten kamień jest kamieniem. Moje cudowne poczucie łączności z rzeczami tego świata minęło.

Przyplływ cofał się, wchłaniając sam siebie. Oto znajdowałam się tutaj, odrzucona wraz z wyschlými czarnymi wodorostami, których twarde koraliki lubiłam rozłupywać, z wydrążonymi połówkami pomarańcz i grejpfrutów oraz ze śmietniskiem muszli. Postarzała nagle i osamotniona patrzyłam na okładzinki, baśniowe łódeczki, pokryte wodorostami małże, na szarą koronkę ostryg (w których nigdy nie było pereł) i na drobne białe „rozki lodów” Można było zawsze odgadnąć, gdzie znajdują się najlepsze muszle – na skraju ostatniej fali, oznaczone tuszem smoły. Obojętnie podniosłam sztywną, różową rozgwiazdę. Leżała w zagłębieniu mej dłoni jak zabawna imitacja mojej własnej ręki. Hodowałam nieraz żywe rozgwiazdy w morskiej wodzie w słojach po dżemie, przyglądając się, jak odrastają im tracone ramiona. Tego dnia, strasznego dnia narodzin inności kogoś obcego, mego rywala, cisnęłam rozgwiazdą o kamień. Niech zginie. Brakowało jej sprytu.

Uderzyłam palcem u nogi o krągłe, ślepe kamienie. Nie zwróciły na to uwagi. Nie dbały o nic. Chyba były szczęśliwe. Morze, tańcząc walca, odbiegało w nicość, w niebo – w ten bezwietrzny dzień linia horyzontu była prawie niedostrzegalna. Wiedziałam ze szkoły, że morze okrywa wypukłość świata błękitnym płaszczem, lecz moja wiedza nigdy nie kojarzyła mi się z tym, co oglądałam – z wodą unoszącą się częściowo w powietrzu jak płaska, szklana zasłona i ze ślimaczymi śladami parowców wzdłuż brzegów. O ile wiedziałam, zawsze krążyły po tym szlaku. Co leżało poza nim? – Hiszpania – powiedział mój sowiooki przyjaciel, Harry Bean. Lecz ograniczona mapa mego umysłu nie mogła tego objąć. Hiszpania, mantyle, złote zamki i byki. Syreny na skałach i szkatułki fantastycznych klejnotów. Część tych skarbów żarłoczne i kotłujące się morze mogło w każdej chwili wyrzucić u mych stóp jako znak.

Znak czego?

Znak wyboru i wyróżnienia. Znak, że nie będę na zawsze wygnanką. A ja dostrzegłam ten znak. Z gęstwiny wodorostów wynurzyła się mała, brunatna ręka, połyskująca i przepojona wilgotnym, świeżym zapachem. Cóż to mogło być? Sama chciałam, aby to było czymś? Syreną czy hiszpańską infantką?

Była to małpka.

Nie prawdziwa, lecz drewniana małpka. Ciężka, przesiąknięta wodą, splamiona smołą, siedziała na swym postumencie, daleka, boska, o długim nosie i dziwnie cudzoziemskim wyglądem. Wyczyściłam ją szczotką i osuszyłam, podziwiając jej delikatnie rzeźbione włosy. Nie była podobna do tych spożywających fistaszki figlujących małpek, jakie często widywałam. Przybrała szlachetną pozę małpiego Myśliciela. Uświadamiam sobie teraz, że

totem, który z taką czułością odwijałam z płodowego czepca wodorostów (i gdzieś zagubiłam z całym bagażem dzieciństwa), był świętym pawianem.

Tak więc morze, wiedząc, czego potrzebuję, przekazało mi swój dar. W tym dniu mój nowo narodzony brat zajął należne mu miejsce w domu, lecz to samo uczynił też mój cudowny (i kto wie) może bezcenny pawian.

Czy to morski krajobraz mego dzieciństwa obdarzył mnie umiłowaniem zmiany i dzikich okolic? Góry przerażają mnie – otaczają wokół i są tak dumne. Nieruchomość wzgórz przytłacza mnie jak grube poduszki. Jeśli nawet nie spacerowałam wzdłuż morskiego brzegu, to przebywałam na powierzchni morza lub w jego głębi. Mój młody, atletycznej budowy i zręczny wuj zmajstrował dla nas huśtawkę na plaży. W czasie przyprływu można było na niej wlecieć w górę, puścić się i skoczyć do wody.

Nikt nie uczył mnie pływać. To zdarzyło się nieoczekiwanie. Stałam wśród towarzyszy zabaw w spokojnej zatoce, zanurzona po pachy, kołysząc się na falach. Pewien rozpieszczony chłopiec, choć nie umiał pływać, miał gumową dętkę, na której siedział i wymachiwał nogami. Moja matka nigdy nie pozwoliłaby ani mnie, ani mojemu bratu pożyczyć pływaków, kół lub nadymany powietrzem poduszek z obawy, aby nie uniosły nas na niebezpieczną głębię ku niechybnej śmierci. – Najpierw naucz się pływać – brzmiała jej surowa dewiza. Chłopiec zsunął się z koła, poskakał na wodzie, po czym znów przywarł do niego, nie chcąc go z nikim dzielić. – To moje – mówił całkiem słusznie. Nagle powiew wiatru musnął ciemną toń wody, chłopiec wypuścił z rąk różowe koło ratunkowe, które wysliznęło się z jego uchwytu. Na widok tej straty szeroko otworzył oczy i zaczął płakać.

– Schwycę je – rzekłam. Moja zuchowatość maskowała ogromną chęć zabawienia się na kole. Skoczyłam, bijąc rękami w powierzchnię wody i nagle straciłam grunt pod nogami. Znalazłam się w zakazanym świetle, „gdzie woda zakrywa głowę” Powinnam była, zdaniem mojej matki, pójść jak kamień na dno, lecz nie doszło do tego. Brodę unosiłam wysoko, a moje ręce i stopy młóciły chłodną zieleń. Chwyciłam znoszone wiatrem koło i zaczęłam płynąć. Płynęłam. Umiałam pływać.

Z portu lotniczego po przeciwnej stronie zatoki wystartował mały sterowiec wywiadowczy, który wzbił się jak srebrna bańka lub salwa-powitalna.

Tego dnia mój wuj i jego drobna narzeczona zbudowali łódkę. Razem z bratem nosiliśmy błyszczące gwoździe. Budziło nas stukanie młotka. Miodowa barwa świeżego drewna, pierścienie białych wiórów i miękkie pył opadający spod piły tworzyły coś pięknego, przedmiot naszego uwielbienia – prawdziwą żaglówkę. Z morza wuj wyławiał makrele. Pojawiały się na stole jako zielone lub modro-czarne nie spłowiałe brokaty. Żyliśmy z morza. Z głowy i ogona dorsza moja babka umiała przyrządzać potrawę, która po ochłodzeniu zastęgała we wspaniałej galarecie. Przyrządzaliśmy kolację z duszonych, miękkich jak masło małży i stawialiśmy rzędy więcierzy na homary. Nigdy nie mogłam patrzeć, jak babka wrzucała ciemnozielone homary, których ruchliwe szczypce ściśnięte były drewnianymi, do rondla z wrzątkiem; po chwili wyciągała je – czerwone, martwe i zdatne do spożycia. Silnie odczuwałam straszne oparzenia wodą na własnej skórze.

Morze dostarczało nam głównej rozrywki. Gdy przychodzili goście, sadzaliśmy ich na brzegu na matach, zaopatrując w termosy, kanapki i kolorowe parasole, jakby wystarczyło patrzeć na wodę – błękitną, zieloną, szarą, granatową lub srebrzystą, zależnie od dnia. Dorośli nosili jeszcze wtedy purytańskie, czarne kostiumy kąpielowe, które nadają tak archaiczny wygląd naszym amatorskim zdjęciom w albumach.

Moje ostatnie wspomnienia o morzu wypełnia burzliwość żywiołu – spokojny, zabarwiony nienaturalnie na żółto dzień 1939 roku, szare i gładkie jak stal morze, miotające się na uwięzi niczym ponuro zamyślane zwierzę o złych fioletowych błyskach w ślepiach. Pełne niepokoju rozmowy telefoniczne toczyły się między babką, zamieszkującą tuż nad oceanem, a matką znajdującą się po osłoniętej stronie zatoki. Razem z bratem, stojąc po kolana w wodzie,

chłonęliśmy jak cudowny eliksir rozmowę fal przypiływu, widok wysoko wzniesionego lądu, zabite deskami okna i pływające łódki. Huraganu oczekiwano o zmroku. W owych czasach huragany, o dziwacznych kobiecych imionach, nie zrywały się na Florydzie i nie nawiedzały Cape Cod każdej jesieni, jak zdarza się to obecnie – bum, bum, bum – częstotliwie niczym ognie sztuczne w Dniu Niepodległości. Tamten był osobliwym potworem, istnym lewiatanem. Nasz świat mógł zostać pożarty, rozbity na okruchy. Chcieliśmy wziąć w tym udział.

Popołudnie o barwie siarki pociemniało nienaturalnie wcześniej, jakby tego, co miało nadejść, nie można było oglądać w świetle gwiazd ani pochodni. Zaczął padać deszcz, potężny tusz Noego. Potem zerwał się wichur. Świat stał się bębniem. Gdy weń uderzano, wył i wibrował. Razem z bratem, bladzi i podnieceni, sączyliśmy w swoich łózkach gorący płyn na dobranoc. Oczywiście nie chcieliśmy zasnąć. Przyczołgaliśmy się do zasłony i unieśliśmy ją nieco. W zwierciadle czarnej rzeki nasze twarze płały jak ćmy próbujące wdrzeć się do środka. Nie było nic widać. Jedynym odgłosem było wycie, które zakłócały łoskoty, trzaski, jęki i brzęk przedmiotów rzucanych jak porcelana podczas kłótni gigantów. Dom kołysał się u podstaw. Kołysał, kołysał, aż ukołysał dwoje małych dzieci do snu.

Spustoszenie przeszło wszelkie oczekiwanie – przewrócone drzewa i słupy telefoniczne, tandetne letnie domki, kołyszące się na wodzie obok latarni morskiej, i strzaskane wręgi małych statków. Solidny dom mej babki ostał się – choć fale zalały drogę i wdarły się do zatoki. Zdaniem sąsiadów dom ocalał zbudowany przez dziadka falochron. Złociste spirale piasku zasypały piec, sól splamiła wyściełaną sofę, a martwy rekin wypełnił to, co niegdyś było grządką pelargonii. Moja babka wyjęła jednak miotłę i niebawem wszystko wróciło do normy.

I tak utrwaliła się moja wizja o nadmorskim dzieciństwie. Ojciec zmarł, my zaś przenieśliśmy się w głąb lądu. Lecz tych pierwszych dziewięć lat mego życia przechowało się jak okręt w zalakowanej butelce – piękne, niedostępne, minione, niczym wspaniały, biały, ulotny mit.

Śnieżyca

W Londynie, dzień po Bożym Narodzeniu (Świętego Szczepana) – zaczął padać śnieg: mój pierwszy śnieg w Anglii. Od pięciu lat pytałam taktownie „Czy wy miewacie tutaj śnieg?“, gdy hartowałam się na sześć miesięcy dżdżystej, niezbyt chłodnej szarówki, która stanowi angielską zimę. – Noo, pamiętam, że padał śnieg – brzmiała typowa odpowiedź – jak byłam mały. – Na co ja z zapalem przypominałam sobie potężne pokłady ostrej, olśniewającej bieli, którą toczyłam w kule, w której drążyłam tunele, po której jeździłam na sankach, gdy *ja* byłam mała. Teraz czułam ten sam słodki dreszcz oczekiwania, stojąc przy mym londyńskim oknie i patrząc jak okruchy ciemności rozbłyskują, śmigając w świetle ulicznych latarni. Ponieważ mój dom (gdzie kiedyś mieszkał W. B. Yeats, więc na ścianie zewnętrznej wisiała okrągła niebieska tablica) nie posiadał centralnego ogrzewania, dreszcz nie był przenośny, lecz zupełnie realny.

Nazajutrz dokoła leżał śnieg – biały, baśniowy, nietknięty, i nadal padał. Następnego dnia śnieg nadal leżał – nietknięty. Wydawało się, że jest go znacznie więcej. Gdy szłam nie odśnieżoną ulicą, wpadał mi za cholewy butów. Główna ulica też nie była odśnieżona. Nieliczne autobusy i taksówki brnęły w głębokich białych koleinach. Tu i ówdzie mężczyźni usiłowali zidentyfikować swoje samochody za pomocą gazet, mioteł i szmat.

Większość lokalnych sklepów nadal tonęła po kolana w brei, a ślady stóp klientów wyglądały jak trop skaczącego od drzwi do drzwi ptaka. Na niewielkim obszarze przed apteką śnieg został odgarnięty. Z wdzięcznością weszłam do środka.

– Wy tu w Anglii pewnie nie macie pługów śnieżnych, chłe, chłe! – zażartowałam, pakując do siatki ligninę, sok z czarnej porzeczki, syrop z dzikiej róży, buteleczki kropli do nosa i lekarstwa na kaszel (oznaczonego gotyckimi literami *Oleum magicum*) – cały arsenał przyborów dla dzieci z zimowymi przeziębieniami.

– Nie – aptekarz uśmiechnął się promiennie w odpowiedzi – obawiam się, że nie mamy pługów śnieżnych. My w Anglii jesteśmy po prostu nie przygotowani na śnieg. W końcu tak rzadko pada.

Odpowiedź wydała mi się rozsądna, choć nie wróżąca nic dobrego. A co, jeśli w Anglii nadejdzie kolejna epoka lodowcowa?

– Powiedzieć pani – aptekarz pochylił się do przodu z konfidencjonalnym uśmiechem – czego *ja* używam?

– Tak, tak, bardzo proszę – odparłam desperacko, sądząc, że mówi o środkach uspokajających.

Zza lady obciążonej zdrową żywnością i pastylkami na kaszel aptekarz nieśmiało, lecz z dumą uniósł długą na sześć stóp deskę.

– Deski!

– Deski?

Aptekarz zamknął oczy i mocno ścisnął deskę, rozrzewniony jak gospodyni domowa z wałkiem do ciasta.

– Za pomocą tej deski po prostu *spycham* śnieg na bok.

Wygramoliłam się ze sklepu z moimi pakunkami. Uśmiechnęłam się. Wszyscy się uśmiechali. Śnieg był pysznym dowcipem, a nasza katastrofa katastrofą odciętych/od świata alpinistów z komiksu.

Potem śnieg stwardniał i zamarzał. Chodniki i ulice stały się szorstką płachtą lodu, na której zdradliwych uskokach chwiali się staruszkowie, ściskający za psią smycz lub pozwalający się prowadzić obcym.

Pewnego ranka zadzwonił dzwonek u moich drzwi.

– Odgarnąć pani ze schodów? – spytał mały urwis, za którym stał olbrzymi wózek dziecięcy z płócienną budą.

– Za ile? – indagowałam cynicznie, nie znając stawek i spodziewając się zdzierstwa.

– Pół szylinga.

Zmiękło mi serce i powiedziałam, że zgoda. Potem, przewidując brakoróbstwo, dorzuciłam: – Tylko żebyś skuł lód!

Dwie godziny później chłopiec był nadal przy pracy. Cztery godziny później zadzwonił, żeby pożyczyć miotły. Wyglądęłam przez okno i ujrzałam wózek pełen małych gór lodowych. Wreszcie skończył. Dokonałam oględzin roboty. Zdaje się, że beton pomiędzy prętami barierki oczyścił dłutem. – Chyba się znowu zbiera na śnieg. – Z nadzieją lustrowałam niskie, szare niebo. Dałam mu całego szylinga, po czym zniknął wśród lawiny podziękowań z wózkiem przygniecionym górą śniegu.

Rzeczywiście padał śnieg. Potem zrobiło się zimno.

Rano w dzień Wielkiego Mrozu odkryłam, że wanna jest do połowy wypełniona brudną wodą. Nie mogłam tego zrozumieć. Nie znam się na hydraulice. Odczekałam jeden dzień; może woda spłynie. Nie spłynęła jednak, tylko zrobiła się jeszcze głębsza i brudniejsza. Następnego dnia po przebudzeniu stwierdziłam, że patrzę na plamę na moim pięknym suficie, świeżo wyklejonym białą tapetą. W rozmaitych miejscach sufit wydzielał z siebie krople lepkiej cieczy, które kapwały na dywan. Tapeta wyrzuszała się na łączeniach.

– Na pomoc! – zawołałam do administratora z kałuży czarnej wody w budce telefonicznej. W domu nie miałam telefonu, ponieważ jego założenie trwałoby co najmniej trzy miesiące. – Sufit mi przecieka, a wanna jest pełna brudnej wody.

Milczenie.

– Nie *mojej* brudnej wody – dodałam pospiesznie. – Wody, która pod pływa do wanny sama z siebie. Chyba jest w niej śnieg. Może to woda z dachu.

Ostatnia informacja była trochę apokaliptyczna. Czy rzeczywiście widziałam śnieg w wodzie? Istotnie brzmiało to groźnie.

– Bardzo prawdopodobne, że to woda z dachu – powiedział administrator omdlewającym głosem. A później, bardziej srogo: – Chyba sobie pani zdaje sprawę, że w całym Londynie nie załatwi pani hydraulika. Wszyscy mają takie same problemy. U mnie w mieszkaniu pękły trzy rury!

– Tak, ale pan umie je naprawić – przymilałam się rezolutnie. – Krany z zimną wodą są nieczyste. Co to może znaczyć?

– Wkrótce się przekonamy – mruknął administrator.

W ciągu godziny przyjechali robotnicy i pomocnik administratora, chuchając i ciągnąc za sobą strugę czarnej brei. Z łopatami i kilofami wyszli na dach przez klapę na strychu i wkrótce o ziemię w ogrodzie zaczęły grzmocić wielkie zwały śniegu.

– Czemu dach przecieka? – spytałam pomocnika administratora.

– To stare dachy. Deszcz spływa do rynien, więc nic się nie dzieje, ale śniegu robi się coraz grubsza warstwa. Dopóki jest zimno, znów nic się nie dzieje. – Uśmiechnął się. – Ale jak się zacznie topić!

– Ale tam, skąd pochodzę śnieg pada każdej zimy, a dachy jakoś nigdy nie przeciekają.

Pomocnik administratora zaczerwienił się. – Tak po prawdzie to jest pęknięta rynna dokładnie nad pani łóżkiem.

– Nad moim łóżkiem! To może byście ją tak naprawili? Jeśli dalej będzie padało i topniało, obudzę się po szyję w mokrym tynku. Albo się wcale nie obudzę.

Pomocnik administratora nie sprawiał wrażenia, żeby poważnie rozważał naprawę rynny. Widać było po nim nadzieję, że będzie więcej padać.

– Lepiej naprawcie. Żebym nie musiała pana jeszcze raz fatygować.

Robotnicy zeszli na dół i zaczęli ścierać odbarwiony i nadal ciekący sufit, przybrawszy miny jakby wszystko ponaprawiali. Pobiegłam do pokoju dziecięcego w odpowiedzi na łomot i wrzask. Mój syn, w przypływie energii, właśnie rozwalił kojec, wyrwijąc wszystkie śruby. Gdy wracałam, uśmierając jego łkanie, usłyszałam, że robotnicy mówią do siebie „Ajaj!” Trzymali żółte, plastikowe wiadro pod gejzerem wody z sufitu i sprawiali wrażenie, jakby chcieli mnie uchronić przed jakimś obscenicznym widokiem.

– Jak długo jeszcze potrwa ten przeciek? – indagowałam. – To działa jak chińskie tortury wodne, kap kap kap całą noc. Nie moglibyście postawić wiadra na strychu?

– Na tym strychu nawet się świecek nie postawi, szefowo. Rynna leży zaraz na pani suficie.

Zostawili wiadro na podłodze, na wszelki wypadek, i zmyli się, obiecawszy naprawić rynnę przed weekendem.

Od tego czasu ich nie widziałam.

Potem przebył administrator we własnej osobie, w meloniku i z wykrywaczem wilgoci, aby sprawdzić przeciek, brak zimnej wody i wannę pełną alpejskiej cieczy.

Za pomocą wykrywacza wilgoci opukał sufit i zapewnił mnie, że w najbliższej przyszłości się nie zawali.

– Zdaje sobie pani jednak sprawę, że grozi pani brak wody pitnej?

Powiedziałam, że nie, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dlaczego?

– Podczas budowy domu źle położono rury i teraz zamarzły. Trzeba wyłączyć automatyczny grzejnik, żeby nie spalił pustego zbiornika. Kiedy się wyczerpie rezerwuuar na górze, to już koniec.

Usiłowałam sobie przypomnieć, czego nie można zrobić bez wody, oprócz mycia twarzy i gotowania herbaty. Było tego sporo.

– Spróbuję do wieczora załatwić sprawę rur – obiecał administrator. – Sytuacja na odcinku wody pitnej jest ważniejsza niż wanna.

Wyszedł na balkon, aby zlustrować labirynt sędziwych rur przy ścianie, po czym wrócił do środka, żeby pomajstrować przy kranach w kuchni. – Aha! – powiedział w końcu. – Z początku myślałem, że hydraulicy źle podłączyli rury i że woda do wanny rzeczywiście idzie z dachu. Ale niech pani popatrzy! – Przykazał mi, abym stanęła nad pełną wody wanną, a sam poszedł do kuchni i odkręcił kran z ciepłą wodą.

Z otworu odpływowego poszły bąbelki.

– Widzi pani – powiedział administrator oskarżycielskim tonem – to *pani własna woda* napełnia wannę. Ma pani zamarzniętą rurę odpływową, więc woda nie ma ujścia.

Potem zaprosił mnie na balkon.

Z oszałamiającą przenikliwością przedstawił mi rodowód każdej ze splątanych rur. – Ta idzie od zlewu, ta od łazienki, a ta do góry od wywietrznika. – Patrzyłam zrozpaczona. Samotna rura odpływowa z łazienki biegła jakieś dwadzieścia stóp w dół ściany obok balkonu, po czym zakrzywiła się, aby wyrzucić swą zawartość do kanału ściekowego.

– W którymś miejscu rura od łazienki jest zamarznięta.

– A jeśliby puścić w wannie ciepłą wodę? – zasugerowałam.

– Stopi tylko trochę lodu i znów zamarznie.

– W takim razie co mam zrobić?

– Niech pani przykłada do rury świecek. Albo polewa ją od zewnątrz gorącą wodą. Mógłbym oczywiście kazać robotnikom, żeby ją przypalili acetylenem, ale pani musiałaby pokryć koszty.

– Przecież to pan jest odpowiedzialny za naprawy na zewnątrz domu, a rury są na zewnątrz.

– Rury są na zewnątrz – administrator uśmiechnął się zjadliwie – ale łazienka jest wewnątrz. Czy zatykała pani co wieczór odpływ, żeby woda nie uciekała i nie zamarzała?

– Nnnie. Nikt mi o tym nie powiedział. Ale zawsze dobrze zakręcam kurki.

Czułam się osaczona.

– To fakt – powiedział administrator wyniośle – że Miejskie Przedsiębiorstwa Wodociągowe powinny były rozesłać ulotkę z instrukcją, co robić podczas takiej kłęski żywiołowej.

– A co pan robi u siebie w mieszkaniu?

– Kilka razy dziennie przepuszczam przez rury galony wrzącej wody, a na noc zaszpunktowuję odpływy. Straszne marnotrawstwo prądu, ale na razie się sprawdza.

Gdy administrator włożył szalik, rękawiczki i melonik i wyszedł, zabierając wykrywacz wilgoci, rozważyłam jego poradę. Galony wrzątku nic nie pomogą, dopóki rury nie zostaną przetkane, a poza tym miałam ograniczone, jeśli nie wręcz wyczerpane zapasy wody. Metoda świecowa wydawała się rozpaczliwie Dickensowska. Jednak żeby mieć poczucie, że podjęłam jakieś kroki, nalałam do wiadra gorącej wody i wyszłam, dygocząc z zimna, na balkon. Na chybił trafił chlusnęłam letnią już wodą na kawałek odpornej rury. Potem wróciłam do łazienki, żeby spojrzeć na wannę, licząc na cud. Cudów nie ma.

Bрудna woda ani drgnęła.

Zmaterializował się natomiast najemca z dołu.

– Czy wylewała pani z balkonu jakąś wodę?

– Administrator mi kazał – wyznałam.

– Administrator jest idiotą. Na podłodze w kuchni robi mi się kałuża. I przeciekają mi ściany od frontu. To już oczywiście nie pani wina. Ale jak mam kłaść dywany na takich ilościach wody?

Powiedziałam, że nie mam pojęcia.

Tego wieczoru na ulicy mijałam wielkie połacie zamrożonej wody. Z pękniętych rur, uznałam. Na chodniku na rogu ujrzałam kran, którego wcześniej nie było. Jakiś emeryt zatrzymał się, aby napełnić pękaty porcelanowy dzban w kwiaty.

– Czy to woda pitna? – spytałam, przekrzykując agresywny wschodni wiatr.

– Chyba tak – zaskrzeczał – w tym celu to tutaj postawili.

– Skandal! – zawołaliśmy oboje w tej samej chwili i minęliśmy się w ciemnościach jak posępne okręty.

Jeszcze tego samego wieczoru usłyszałam huk Niagary w górze, tupanie po schodach i paniczny łomot do drzwi. Krany gulgotały i dusiły się. Gdy otworzyłam, do środka wpadł młody, rumiany hydraulik. – Leci woda?

Zakryłam oczy i wskazałam ku rykowi w górze. – Pan zobaczy. Ja nie mam odwagi. Zaleje wszystko?

– Ach, nie, tylko napełniamy zbiornik. Nic się nie dzieje. I rzeczywiście. Mieliśmy wodę do picia, poszczęściło nam się.

Jeśli chodzi o wannę, postanowiłam poczekać do roztopów – tej mistycznej, nieprzewidywalnej daty, kiedy wszystko się poprawi. Codziennie opróżniałam wiadrem brudną zawartość wanny do toalety i spuszczałam wodę.

Co dziwne, nikt nie przychodził robić mi awantur. Spytałam mężczyznę, który lampą acetylenową wywabił nieduże ciemne kółeczko na powierzchni rury odpływowej na zewnątrz domu, czy to coś pomaga. – Jeszcze nie – odparł pogodnie.

Pogoda ducha zdawała się ogarniać wszystkich. Walczyliśmy z przeciwnościami, jak podczas niemieckich nalotów bombowych. Pewna Hinduska w metrze do Chalk Farm powiedziała mi, że u niej w domu nie ma wody od trzech tygodni, odkąd pękły rury i wszystko zalały. Musieli chodzić jeść do restauracji, a dozorczyńni codziennie racjonowała im wodę.

– Przepraszam, że panią wywelekam z ciepłych pieleszy – kajał się mleczarz, który jak co tygodnia przyszedł po swoje dziesięć i pół szylinga. – Piękny się zrobił klimat, nie ma co:

dziewięć miesięcy zimy i trzy miesiące niepogody.

Potem zaczęli wyłączać prąd.

Pewnego burego, lodowatego poranka nacisnęłam na dwa guziki elektrycznego grzejnika, który wstawili mi robotnicy, jak marsjańską maskę chirurgiczną, w samym środku mojej pięknej georgiańskiej ściany. Czerwony, dodający otuchy żar – dobywał się normalnie z dwóch prętów. Lecz teraz – nic. Nacisnęłam kontakt. Nic. Czyżbym przepaliła korki moim zaimprovizowanym systemem dogrzewania – za pomocą zabezpieczonych przed dziećmi wentylatorów w kształcie grzyba, które musiałam przenosić z pokoju do pokoju, bo było ich za mało. One też się ostatnio psuły, zionąc lodowatym powietrzem. Wyjrzałam na szarą ulicę. Nie widać było żadnego światła. Mój osobisty problem musi być powszechny. Mimo to czułam się podle. Co się stało? Jak długo to potrwa?

Zapukałam do mieszkania na dole. Przedpokój zalał ciepły, oleisty zapach, pochodzący z parafinowego grzejnika, którego sama bym nigdy nie kupiła, w obawie przed pożarem.

– Co, nie wiedziała pani? Będą przerwy w dostawie prądu – powiedział najemca z dołu, który czytywał gazety.

– Dlaczego?

– Strajki. Dziecko zmarło z tego powodu w szpitalu.

– Ale co z *moimi* dziećmi? Mają gripę. Tak nie wolno, nie mogą nam tego robić!

Sąsiad wzruszył ramionami ze zrezygnowanym i bezradnym uśmiechem. Potem pożyczył mi zielony termofor. Zawinęłam moją córkę w koc na termofor i posadziłam ją nad miską ciepłego mleka i jej ulubioną układanką. Niemowlę ubrałam w skafander narciarski. Na szczęście kuchenkę miałam gazową.

Wiele godzin później moja córeczka zaczął się świecić. I rzeczywiście – świecił się mdło, czerwono i brzydko, ale zupełnie cudownie.

Następne wyłączenie prądu przyszło nie zapowiedziane kilka dni później w porze podwieczorku. Do tej pory ja też zdążyłam złapać gripę – ten brytyjski przekładaniec siódmych potów i lodowatych dreszczy, na który mój lekarz nie zaproponował żadnego lekarstwa. Wóz albo przewóz.

Zajrzała sąsiadka z bezcennym łupem – lampami naftowymi. Żeby coś widzieć wieczorem. W sklepach skończyły się zapasy zniczy, gromnic, świeczek, wszystkiego. Sąsiadka musiała stać w kolejce po te lampy. Staruszków mieszkających na poddaszu sprowadzano po niebezpiecznych schodach w świetle świec. Topliwe i szkliste świece wypełniały okna, miasto migotało.

Pewien elektryk powiedział mi, że generatory po prostu nie są przystosowane do tak dużego poboru mocy. Montowano nowe generatory, ale zbyt wolno. Statystycy przeliczyli się z zapotrzebowaniem na prąd.

Nawet kiedy wyłączenia prądu już się skończyły, odruch chomikowania pozostał. Pewien właściciel sklepu z artykułami gospodarstwa domowego wywiesił w witrynie napis ŚWIECE i w kilka minut rozsprzedał całe sterty czerwonych i białych pudeł z jakiegoś tajnego źródła – żaden inny sklep jeszcze nie odnowił zapasów. Kupiłam funt woskowych paluszków i wypchałam nimi kieszenie.

Wtem, nie więcej niż miesiąc po pierwszym śniegu, pogoda poprawiła się. Z okapów zaczęło ściekać. Wydawszy z siebie obleśny gulgot, wanna z własnej inicjatywy opróżniła się. Na ulicy ujrzałam sprawiających oficjalne wrażenie mężczyzn, którzy przysypywali na poły roztopiony lód jakimś proszkiem.

– Co to jest? – spytałam.

– Sól i trociny. Żeby się roztopiło.

Ujrzałam również mój pierwszy londyński pług śnieżny – mały, lecz krzepki. Towarzysząca mu obsługa kuła kilofami zbyt odporne resztki i wrzucała je na pakę. – Gdzieście byli cały miesiąc? – spytałam jednego z nich.

- Szykowaliśmy się.
- Ile macie w sumie pługów?
- Pięć.

Nie spytałam czy na jedną dzielnicę, czy na cały Londyn. Nie robiło to większej różnicy.

- Co robicie ze śniegiem?
- Zsypujemy do kanałów. Potem zalewa ulice.
- Co pan zrobi, jeśli to się będzie powtarzać co roku?

Wzdrygnął się. – Takiej ciężkiej zimy nie było od czterdziestego siódmego.

Widziałam, że nie chce o tym myśleć – o możliwości corocznej śnieżycy. Ciepłe ubranie, dużo herbaty i hartu ducha. Taka zdawała się odpowiedź. W końcu co oprócz wojny i niepogody rodzi taką solidarność w wielkim, oziębłym mieście?

Tymczasem rury zostają na zewnątrz. Albo to jest inne wyjście?

A jeśli znowu przyjdzie śnieżycy?

A po niej następna?

Moje dzieci wyrosną na nieustraszonych, samodzielnych, twardych ludzi, rozpychając się w kolejkach za świecami dla swej malarycznej staruszki matki. A ja będę podgrzewała bezwodną herbatę – może przynajmniej na takie usprawienie będzie nas stać – na kuchence gazowej w kącie. Jeśli gaz też nie wysiadzie.

Część II
Inne opowiadania

Inicjacja

W piwnicy było ciemno i ciepło. Zupełnie jak we wnętrzu zapieczętowanego dzbanka – pomyślała Millicent, kiedy jej oczy przywykły do półmroku. Panowała tu przyjemna cisza. Wszędzie wisiły pajęczyny. Przez niewielkie prostokątne okienko, znajdujące się wysoko w kamiennej ścianie, przenikał słaby blask październikowego księżyca, który właśnie był w pełni. W jego sinym świetle Millicent zorientowała się, że siedzi na stercie drewna koło pieca.

Próbowała rozczesać sklezione kosmyki włosów, sztywne i lepkie od jajka, które rozbito na jej głowie, kiedy ukłękła oślepiona przed ołtarzykiem żeńskiego stowarzyszenia. Nagle zapanowała cisza, w której rozległ się odgłos pękającej skorupki, a potem poczuła na głowie zimne śliskie białko, spływające na jej szyję. Usłyszała czyjś zdławiony śmiech. To była część ceremonii przyjęcia.

Potem dziewczyny przeprowadziły Millicent, wciąż z opaską na oczach, przez kręte korytarze wielkiego domu Betsy Johnson i zamknęły ją w piwnicy. Zostawiły ją tutaj godzinę temu, ale niebawem Szczurzy Sąd zakończy się i „kot” wypowie swoją kwestię, i wreszcie pójdzie do domu.

Wieczorem odbył się wielki finał – próba ognia. Nie miała żadnych wątpliwości, że będzie musiała przejść przez to wszystko. Nie przypominała sobie nikogo w całej historii szkoły, komu udało się uniknąć inicjacji, skoro zaproszono go do żeńskiego stowarzyszenia. A jeśli nawet coś takiego zdarzyłoby się, w jej przypadku nie byłby to strach. Ale zrozumiałaby i to. Nie mogła dokładnie powiedzieć, kiedy zbuntowała się, ale miało to coś wspólnego z Trący i z ptakami z wrzosowisk.

Która z młodszych dziewcząt w Lansing High nie chciałaby znaleźć się na jej miejscu? Która z nich nie pragnęłaby zostać członkinią żeńskiego stowarzyszenia, choćby nawet musiała przejść przez trwającą przez pięć dni z rzędu inicjację, rozpoczynając się wcześniej rano przed wykładami i od nowa po zajęciach, kończąc się posiedzeniem Szczurzego Sądu w piątkowy wieczór, który decyduje o przyjęciu „kota” w poczet członków tajnego stowarzyszenia? Nawet Trący posmutniała, kiedy dowiedziała się, że Millicent jest jedną z pięciu wybranych do inicjacji dziewcząt.

– Nic się nie zmieni, Trący – zapewniała ją Millicent – Przecież pozostaniemy dalej przyjaciółkami, a w przyszłym roku z pewnością ty również zostaniesz przyjęta do stowarzyszenia.

– Wiem, ale mimo twoich zapewnień – odrzekła cicho Trący – zmienisz się, czy chcesz tego, czy nie. Wszystko się zmienia i nic nie będzie już takie jak dawniej.

I nie ma na to rady, pomyślała Millicent. Przecież to byłoby okropne, gdyby ludzie zawsze byli tacy sami... Jakie okropne, gdyby została skazana na to, by pozostać wiecznie tą samą nieśmiałą, prostolinijną Millicent, jaką była przez ostatnie kilka lat. Na szczęście wszystko w życiu się zmienia, idzie naprzód. Człowiek dorasta, dojrzewa.

Pomyślała, że to również dotyczy Trący. Powiedziała Trący to, co zwykle mówią dziewczęta, by pocieszyć przyjaciółkę, z którą muszą niechybnie się rozstać. Trący również się zmieni, wchodząc ostatecznie w magiczny krąg dorosłości. Dojrzeje do tego, by poznać rytuał, który Millicent przechodzi w tym tygodniu.

– Najpierw... – oznajmiła w poniedziałek Betsy Johnson, pełna werwy blondynka, która była sekretarzem żeńskiego stowarzyszenia, pięciu kandydatkom, jedzącym kanapki w szkolnej kafeterii – najpierw każda z was zadba o potrzeby „wielkiej siostry”, wykonując posłusznie wszystko, czego ona zażąda. Wielka siostra będzie kierowała swoją podopieczną przez cały czas inicjacji.

– Zapamiętajcie, że macie grzecznie odpowiadać swojej wielkiej siostrze i uśmiechać się do niej! – wtrąciła Louise Fullerton ze śmiechem.

Louise Fullerton była znakomitością na tej uczelni, prześliczną ciemnowłosą dziewczyną, wiceprzewodniczącą Rady Studenckiej.

– Nie wolno wam się odezwać, dopóki wielka siostra nie zapyta was o coś lub nie nakaze wam porozmawiać z kimś. I nie wolno wam uśmiechnąć się, choćbyście w duchu pękały ze śmiechu!

Dziewczęta roześmiały się trochę nerwowo, a potem rozległ się dzwonek oznajmiający początek popołudniowych zajęć.

To będzie nawet zabawna odmiana, pomyślała sobie Millicent, zabierając książki z szafki na korytarzu. Jakie to podniecające, że niebawem zostanie członkinią ekskluzywnego, zamkniętego stowarzyszenia w Lansing High. Oczywiście, to nie była zwykła szkolna organizacja. W rzeczy samej pryncypał wyższej szkoły, pan Cranton pragnął wyrugować z tradycji uczelni tydzień inicjacji, gdyż uważał, że przynosi ujmę demokracji amerykańskiej, a poza tym zakłóca tok nauczania. Nie mógł jednak przyczepić się do czegokolwiek. Oczywiście, dziewczęta przychodziły na zajęcia przez pięć dni bez szminki i loczków, więc wszyscy domyślali się, co jest grane, ale co mogli zrobić nauczyciele?

Millicent usiadła przy swoim stole w pracowni. Jutro przyjdzie na zajęcia z dumnie podniesioną głową, z uśmiechem, bez szminki na ustach, z prostymi, rozpuszczonymi, opadającymi na ramiona włosami, i wszyscy, nawet chłopcy, dowiedzą się, że należy do wybranek. Nauczyciele będą uśmiechać się bezradnie, myśląc może: „Więc teraz złowili Millicent Arnold! Nigdy nie przypuszczałbym, że wybiorą akurat ją.”

Rok lub dwa lata temu niewiele osób pomyślałoby, że tak będzie. Millicent długo oczekiwała na akceptację, wyjątkowo długo. Kiedy wspominała ten stracony czas, odnosiła wrażenie, że jej życie wyglądało tak, jak gdyby przesiedziała przez całe lata na zewnątrz rzeźnię oświetlonego pawilonu z wielką salą balową, którą przepełniało słodkie jak miód, balsamiczne powietrze. Jednak ona sama przyglądała się tylko, jak rozbawione pary wirują radośnie w nie kończącym się walcu, śmiejąc się wesoło w beztroskim towarzystwie, i nikt nie był samotny.

Wreszcie i dla niej nadszedł tydzień radosnych fanfar – otrzymała zaproszenie na salę balową i wejdzie tam głównym wejściem, nad którym świeci napis „Inicjacja” Przygotowała już aksamitne spódniczki, jedwabny tren, jaki nosiły wydziedziczone księżniczki w starych powieściach, by wkroczyć do należnego jej królestwa.

Dzwonek obwieścił koniec zajęć w pracowni.

– Poczekaj, Millicent!

Zatrzymał ją ostry głos Louise Fullerton, która poprzednio zawsze była bardzo miła, bardzo uprzejma, bardziej przyjazna od wszystkich, jeszcze długo przedtem, zanim Millicent otrzymała zaproszenie.

– Posłuchaj! – Louise szła z nią korytarzem do sali, w której miały łacinę. – Czy znajdziesz dla mnie trochę czasu po zajęciach? Chciałabym porozmawiać z tobą o jutrzejszym dniu!

– Jasne. Mam mnóstwo czasu.

– Wobec tego spotkajmy się w holu po zajęciach. Pójdziemy napić się czegoś zimnego.

Millicent odczuwała dumę, że idzie obok Louise do kawiarenki. Każdy, kto spojrzalby na dziewczęta, uznałby je za najlepsze przyjaciółki.

– Wiesz, byłam bardzo zadowolona z tego, że wybrano ciebie – powiedziała Louise.

Millicent uśmiechnęła się.

– Ucieszyłam się niezmiernie – odparła szczerze. – Ale zasmuciłam się również z tego powodu, że nie wybrano Tracy.

Ach, Trący, pomyślała i westchnęła. Jeśli istnieje prawdziwa przyjaźń, z pewnością w tym roku Trący została jej najlepszą przyjaciółką.

– Tak, Trący – pomyślała Louise. – To naprawdę miła dziewczyna, zresztą znalazła się na liście kandydatów, ale... cóż, okazało się, że wysunięto przeciwko niej pewne zarzuty i

podczas głosowania otrzymała trzy czarne kule.

– Czarne kule? Co to takiego?

– Cóż, nie powinniśmy o tym mówić nikomu spoza klubu, ale przecież wkrótce znajdziesz się wśród nas. Więc myślę, że nie ma przeszkód, bym wtajemniczyła cię nieco.

Weszły do kawiarenki.

– Widzisz... – Louise wyjaśniała jej cichym głosem, gdy już usiadły w przytulnym zakątku. – Raz do roku nasze stowarzyszenie zbiera się na specjalnym posiedzeniu i rozważa kandydatury obiecujących dziewcząt, które mogłyby zostać przyjęte do klubu.

Millicent popijała powolutku małymi łyżkami zimny, słodki napój, czekając aż lody się roztopią, by zjeść je na końcu łyżeczką. Słuchała uważnie Louise, która mówiła dalej:

– A potem podczas zebrania wyczytuje się nazwiska dziewcząt i odbywa się dyskusja nad każdą kandydaturą.

– Tak? – zapytała automatycznie Millicent. Jej głos brzmiał dziwnie.

– Och, wiem, co myślisz! – roześmiała się Louise. – Ale to naprawdę nie wygląda tak okropnie. Wszyscy starają się powstrzymać od złośliwych uwag. Rozmawiamy po prostu o każdej dziewczynie, zastanawiając się, czy zasługuje na przyjęcie do klubu. A potem głosujemy, wrzucając do koszyczka białe i czarne kule. Trzy czarne kule eliminują dziewczynę.

– Czy nie masz nic przeciwko temu, że zapytam, czy to się przydarzyło Trący? – powiedziała Millicent.

Louise roześmiała się z lekkim przymusem.

– No, wiesz, jakie są dziewczęta. Zauważają różne drobne wady. Mam na myśli to, że niektóre z nich sądzą, że Trący jest po prostu trochę inna niż wszyscy. Może mogłabyś jej zasugerować kilka spraw.

– Na przykład co?

– Och, może na przykład to, by nie wkładała kolanówek do szkoły. No i przestała nosić ten stary tornister. Wiem, że nie brzmi to zbyt budująco, ale jednak te drobiazgi sprawiają, że ktoś odstaje od pozostałych. A jak wiesz, każda dziewczyna w Lansing prędzej umarłaby, niż włożyła kolanówki, choćby nie wiem jak zimno było na dworze. To bardzo dziecinne, gdy ktoś nosi tornister.

– Sądzę, że tak – zgodziła się Millicent.

– A co do jutra – mówiła dalej Louise. – We wszystko wprowadzi cię Beverly Mitchell, która będzie twoją wielką siostrą. Chciałabym przestrzec cię, że ona jest zupełnie pozbawiona skrupułów, ale jeśli przejdiesz wszystkie próby pomyślnie, będziesz mogła przypisać sobie większe zasługi.

– Dzięki, Lou! – odparła z wdzięcznością Millicent, dochodząc do wniosku, że sprawy przybrały poważny obrót.

Gorsze niż próba lojalności może być tylko przypiekanie rozżarzonymi węglami. Co to ma udowodnić? Czy to, że potrafię wykonać każdy rozkaz nawet nie mrugnawszy okiem? A może chodzi o to, by sprawić wielkim siostronom przyjemność, biegając za nimi z wywieszonym ozorem, gotowa na każde zawołanie?

– Musisz tylko – mówiła Louise, nabierając łyżeczką ostatni kęs lodów z owocami i śmietanką – być posłuszna i spełniać każde żądanie wielkiej siostry, zrobić wszystko, co rozkaże Bev. Nie śmieć się, ani nie sprzeciwiaj, ani nie próbuj się wygłupiać, gdyż będzie jeszcze surowsza wobec ciebie, i uwierz mi, że ona już potrafi zadać komuś bobu. Przyjdź do niej do domu o wpół do ósmej rano!

Nazajutrz Millicent zadzwoniła do drzwi domu, w którym mieszkała Bev, i usiadła na schodach, by zaczekać na swoją wielką siostrę. Po kilku minutach drzwi frontowe otworzyły się i ukazała się Bev z surową miną.

– Wstań, kocie! – rozkazała jej wielka siostra.

Ton jej głosu sprawił przykrość Millicent. Rozkaz brzmiał niemal złośliwie. A poza tym przezwisko „kot”, którym zawsze określano dziewczęta przechodzące inicjację, brzmiało nieprzyjemnie anonimowo. Czują się poniżona, tak jakby nadano jej numer. Przewisko pozbawiło ją indywidualności.

Poczuła, że buntuje się wewnętrznie przeciwko takiemu traktowaniu jej osoby.

– Powiedziałam „wstań!” Czy jesteś głucha?

Millicent podniosła się.

– Marsz do domu, kocie! Trzeba posłać łóżko i posprzątać w pokoju na górze.

Millicent weszła po schodach, nie odzywając się. Odnalazła pokój Bev i posłała jej łóżko. Uśmiechając się do siebie, myślała: Jakie to śmieszne, że spełniam polecenia tej dziewczyny jak służąca?

Bev stanęła nagle w drzwiach.

– Przestań natychmiast się uśmiechać, kocie! – rozkazała.

To wcale nie było zabawne. W oczach Bev – Millicent była tego pewna – zabłysła twarda, pogardliwa iskra triumfu.

W drodze do szkoły Millicent musiała iść z tyłu, w odległości dziesięciu kroków za Bev, niosąc jej teczkę. Weszły do szkolnego sklepiku, gdzie tłoczyła się hałaśliwa czereda dziewcząt i chłopców z Lansing High czekając na przedstawienie.

Przyszły już wszystkie dziewczęta, które miały przejść inicjację, więc Millicent poczuła ulgę. Chyba nie będzie już tak źle, skoro znajduje się w grupie.

– Co im każemy zrobić? – Betsy Johnson zapytała Bev.

Tego ranka Betsy rozkazała swojemu „kotu” przejść przez plac ze starym kolorowym parasolem w ręku, śpiewając *I'm Always Chasing Rainbows*.

– Już wiem – wyrwał się Herb Dalton, przystojny kapitan szkolnej drużyny koszykówki.

W zachowaniu Bev zaszła nagle wyraźna zmiana. Nagle stała się bardzo łagodna i zalotna.

– Nie możesz im rozkazywać – powiedziała słodziutko Bev. – Mężczyźni nie mają nic do powiedzenia w tej drobnej kwestii.

– Dobrze, już dobrze! – roześmiał się Herb, wycofując się i udając, że broni się przed spodziewanym uderzeniem.

– Zrobiło się późno – stwierdziła Louise. – Już prawie ósma trzydzieści. Więc lepiej każdy im pomaszerować do szkoły.

„Koty” musiały przejść całą drogę do szkoły tańcząc charlestona. Każda z nich musiała śpiewać jak najgłośniej własną piosenkę, tak, by zagłuszyć pozostałe dziewczęta. W czasie lekcji nie tylko musiały zachować powagę, choć korciło je, by się powyglupiać, ale również obowiązywała reguła, że w szkole nie wolno było rozmawiać z chłopcami, nawet na korytarzu, czy podczas lunchu... ani nawet po lekcjach. Więc wielkie siostry namówiły najbardziej uwielbianych chłopców, by zagadywali „koty”, pytając o coś, by zmusić je do rozmowy. Niekiedy „kot” dał się zaskoczyć i powiedział coś, zanim połapał się, że to pułapka. Potem chłopak donosił wielkim siostrom i „kot” otrzymywał czarny punkt.

Herb Dalton podszedł do Millicent, kiedy kupowała lody przy barze w samo południe. Zauważyła go, zanim jeszcze odezwał się do niej, i szybko spuściła oczy. On jest nazbyt tajemniczy, pomyślała, za bardzo uśmiechnięty, wygląda jak prawdziwy król. A ja tak łatwo daję się zranić. Właśnie dlatego muszę się go wystrzegać.

Nie powiem nic, postanowiła. Uśmiechnę się tylko do niego bardzo, bardzo słodko.

Uśmiechnęła się do Herba bardzo słodko, ale nie odezwała się. Odwzajemnił jej uśmiech, co graniczyło niemal z cudem. Z pewnością była w tym uśmiechu nie tylko uprzejmość.

– Wiem, że nie możesz odezwać się do mnie – powiedział bardzo cicho. – Ale idzie ci dobrze, jak mówią dziewczęta. Nawet podoba mi się to, że masz proste włosy.

Bev podeszła do nich. Potem na jej czerwonych ustach pojawił się promienny, wykalkulowany uśmiech. Minęła Millicent i pozęglowała wprost do Herba.

– Dlaczego marnujesz swój cenny czas, rozmawiając z „kotami” – zaczęła wesoło. – One mają języczki związane na supełek!

Herb odparował po części atak Bev.

– Ale ten „kotek” milczy w tak uroczy sposób.

Millicent uśmiechnęła się, jedząc z Tracy lody przy kontuarze. Na ogół dziewczęta, których nie wybrano do inicjacji, wyśmiewały się z niej, okazując w ten dziecinny, absurdalny sposób swoją skrywaną zazdrość. Ale Tracy wydawała się rozumieć ją, jak zawsze.

– Domyślam się, że najgorzej będzie dzisiaj wieczorem, Tracy – powiedziała do niej Millicent. – Słyszałam, że wielkie siostry zawiozą nas autobusem na Lewiston Square i każą nam zrobić z siebie przedstawienie na placu.

– Nie daj niczego po sobie poznać! – doradziła jej Tracy. – A w duchu śmieję się jak szalona!

Millicent i Bev jechały zatłoczonym autobusem na czele całej grupy dziewcząt. Musiały stać przez całą drogę do Lewiston Square. Bev wydawała się bardzo czymś zafrasowana. Wreszcie odezwała się:

– Rozmawiałaś z Herbem Daltonem podczas lunchu.

– Nie – odparła szczerze Millicent.

– Cóż, widziałam, jak uśmiechnęłaś się do niego. Właściwie to jest równie niedozwolone jak rozmowa: Pamiętaj, żeby to się więcej nie powtórzyło.

Millicent nie odpowiedziała.

– Za piętnaście minut autobus wjedzie do miasta – powiedziała nagle Bev. – Chcę, żebyś przeszła przez cały autobus, wypyując pasażerów, co jedli dzisiaj na śniadanie. Nie zapomnij, że nie wolno ci wspomnieć, że przechodzisz inicjację.

Millicent rozejrzała się po zatłoczonym autobusie i poczuła nagle, że robi się jej niedobrze.

Na Boga, pomyślała, przecież nie zdobędę się na to, by podejść do tych wszystkich ludzi o kamiennych twarzach wpatrujących się tępo w okna...

– Słyszałaś, co mówiłam, kocie!

– Przepraszam panią – powiedziała uprzejmie Millicent do damy siedzącej z przodu. – Przeprowadzam ankietę. Czy mogłaby pani powiedzieć mi, co jadła dzisiaj na śniadanie?

– Dlaczego... eee... zjadłam grzankę, wypięłam sok pomarańczowy i kawę – odparła pasażerka.

– Bardzo pani dziękuję.

Millicent podeszła do następnego pasażera, młodego biznesmena. Odpowiedział z promiennym uśmiechem, że zjadł jajecznicę na bekonie, grzankę i wypięł kawę.

Zanim dotarła na tył autobusu, większość ludzi uśmiechała się do niej. Z pewnością domyślają się, że przechodzę inicjację – odgadła.

Wreszcie podeszła do ostatniego pasażera, który siedział w samym narożniku z tyłu autobusu. Był niepozorny i wesoły, i miał rumianą twarz, która rozjaśniła się promiennym uśmiechem na jej widok.

– Przepraszam, sir – uśmiechnęła się Millicent. – Przeprowadzam ankietę. Co pan jadł na śniadanie?

– Brwi ptaków z wrzosowisk na grzance – zarechotał rumiany mężczyzna.

– Co? – wykrzyknęła Millicent.

– Brwi ptaków z wrzosowisk – wyjaśnił wesoły człowieczek. – Ptaki z wrzosowisk żyją na mitologicznych wrzosowiskach i fruwać niezmordowanie przez cały dzień, śpiewając radośnie i słodko w słońcu. Są jasnopurpurowe i mają bardzo smaczne brwi.

Millicent wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. To było cudowne. Poczuła nagle pokrewieństwo z nieznanym.

– Czy pan również jest mitologiczny?

– Niezupełnie – odparł. – Ale mam nadzieję, że pewnego dnia przejdę do mitologii. Kiedy człowiek staje się mitologiczny, wpływa to cudownie na jego ego.

Autobus zatrzymał się na przystanku. Millicent trudno było się rozstać z wesołym człowieczkiem. Chciała wypytać go więcej na temat ptaków.

Od tej chwili Millicent przestała się przejmować inicjacją. Chodziła wesoło od sklepu do sklepu na Lewiston Square, prosząc o pokruszone ciastko i popsute mango, i śmiała się głośno, kiedy ludzie wlepiali w nią gały w zdumieniu, a potem uśmiechali, odpowiadając na jej zwariowane pytania, jak gdyby była zupełnie poważną i odpowiedzialną klientką. Pomyślała, że tak wielu ludzi zamyka się w sobie, chociaż mogliby być cudowni, gdyby ktoś zainteresował się nimi i zdecydowali się otworzyć. I naprawdę nie trzeba należeć do klubu, by czuć bliską więź z innymi istotami ludzkimi.

Pewnego popołudnia Millicent zaczęła rozmawiać z Lianę Morris, drugą dziewczyną, która przechodziła inicjację wraz z nią, o tym jak będzie, gdy już wreszcie zostaną przyjęte do stowarzyszenia.

– Och, wiem bardzo dużo na ten temat – powiedziała Lianę. – Moja starsza siostra należała do klubu, zanim skończyła szkołę dwa lata temu.

– Zatem, co dzieje się w klubie? – pragnęła dowiedzieć się Millicent.

– Spotkania odbywają się raz w tygodniu... Poza tym każda dziewczyna urządza przyjęcie w domu...

– Masz na myśli to, że stowarzyszenie to pewnego rodzaju ekskluzywna grupa społeczna.

– Sądzę, że tak... chociaż to zabawne określenie. Ale przynależność do klubu z pewnością dodaje dziewczynie prestiżu. Moja siostra zaczęła chodzić z kapitanem drużyny piłkarskiej, kiedy została przyjęta do klubu. Nieźle, co?

Nie, to nie było złe, pomyślała Millicent leżąc na starym łóżku w Szczurzym Pałacu i słuchając świergotu wróbli, które wydzierały się co niemiara. Pomyślała o Herbie. Czy kiedykolwiek zwróciłyby uwagę na Millicent, gdyby nie miała zostać przyjęta do ekskluzywnego stowarzyszenia? Czy zagadnąłby ją sam, gdyby nie kazano mu jej poddać próbie?

Potem zaczęła się zastanawiać nad inną sprawą, nad tym, że Trący pozostanie na uboczu. Millicent przeczuwała już wcześniej, że to tak się skończy.

Na dworze wciąż ćwierkały wróble. Leżąc na łóżku w piwnicy Millicent wyobraziła sobie to szarobrazowe stado ptaków, w których ptak nie różnił się od ptaka, wszystkie wyglądały zupełnie tak samo.

A potem – z jakiegoś powodu – Millicent pomyślała o ptakach z wrzosowisk, fruujących wysoko i śpiewających radośnie, nawołujących się w ogromnej czystej przestrzeni, nurkujących śmiało w dół i przesywających powietrze lotem strzały, silnych i dumnych ze swojej wolności, a niekiedy z samotności. I wtedy właśnie podjęła decyzję.

Siedząc na stercie drewna w piwnicy Betsy Johnson, Millicent zrozumiała, że przeszła zwycięsko próbę ognia – a opalenie skrzydeł nie tylko nie przyniosło uszczerbku jej ego, gdyż odniosła podwójne zwycięstwo nad własnymi słabościami i ograniczeniami. Wybrano ją z całego stada, i niebawem zostanie ukoronowana, gdyż jest księżniczką.

Drugie zwycięstwo przyjdzie o wiele trudniej, ale wiedziała, że pragnie go z całego serca. Nie chodziło jej o to, by była szanowana, godna, czy coś w tym rodzaju. Nauczyła się, że można się dostać zupełnie innym sposobem do wielkiego jasno oświetlonego pałacu, pełnego blasku, ludzi i życia.

Będzie jej to trudno wyjaśnić dziewczętom dzisiaj wieczorem, ale mogła to powiedzieć Louise później. Jak udowodniła sobie samej, przechodząc przez inicjację, nawet spędzając noc w Szczurzym Pałacu, a potem decydując się nie wstępować do stowarzyszenia. I będzie mimo to żyć w przyjaźni ze wszystkimi, nawet z Trący.

Drzwi otworzyły się nagle i promień światła wtargnął do ponurej piwnicy.

– Hej, Millicent, wyjdź teraz! Już czas.

Na zewnątrz czekały dziewczęta.

– Idę – powiedziała, wstając i wychodząc z półmroku w blask słońca. Już czas, dobrze, pomyślała. Najgorsza część inicjacji dopiero się rozpocznie. To moment, w którym muszę ocenić siebie samą.

Właśnie wtedy, gdzieś z daleka, z samej głębi, Millicent usłyszała melodię wygrywaną na flecie, dziką i uładzoną, i zrozumiała, że to musi być pieśń ptaków z wrzosowisk, którą śpiewają zataczając kręgi nad szerokim, błękitnym widnokretem gdzieś w czystym przestworze, a ich skrzydła uderzają szybko i połyskują purpurowo w blasku słońca.

W duszy Millicent rozległa się druga melodia i wzniosła się ku tamtej, mocna, bogata, zwycięska odpowiedź muzyce przesywających w locie powietrze ptaków z wrzosowisk, które śpiewały tak czysto i wesoło nad dalekimi krainami. Wtedy Millicent zrozumiała, że jej własna osobista inicjacja właśnie się rozpoczęła.

Niedziela u Mintonów

Gdyby tylko Henry nie był taki pedantyczny, pomyślała w głębi ducha Elizabeth Minton, poprawiając mapę na ścianie gabinetu swego brata. Taki okropnie pedantyczny. Na chwilę oparła się w rozmarzeniu o jego mahoniowe biurko, rozpościerając biel zwiędłych, żylastych dłoni na ciemnym, błyszczącym drzewie.

Światło późnego poranka kładło się na podłodze bladymi prostokątami, a drobiny pyłu szybowały i tonęły w świetlistym powietrzu. Za oknem widziała płaski połysk zielonego, wrześniowego oceanu, który zakrzywiał się gdzieś daleko za rozmazaną linią horyzontu.

W pogodny dzień, jeśli okna były otwarte, słyszała fale. Każda rozbijała się o brzeg i prześlizgiwała dołem do tyłu, a po niej przychodziła następna. W niektóre noce, gdy leżała na granicy snu, słyszała fale, a potem wiatr zaczynał szumieć w drzewach. Po jakimś czasie przestawała rozróżniać te dźwięki, więc równie dobrze woda mogła obmywać liście albo liście opadać ze stłumionym szelestem do morza.

– Elizabeth – głos Henry’ego zadudnił złowieszczo w sklepionym jak piwnica korytarzu.

– Tak, Henry? – Elizabeth odpowiedziała potulnie swemu bratu. Teraz, kiedy znów mieszkali razem w starym domu, kiedy znów zajmowała się potrzebami Henry’ego, niekiedy zdawało się jej, że jest małą dziewczynką, posłuszną i ustępliwą, jaką kiedyś była.

– Skończyłaś sprzątać gabinet? – Henry zbliżał się korytarzem. Koło drzwi rozległ się odgłos jego powolnych, namaszczonych kroków. Elizabeth nerwowym ruchem podniosła szczupłą dłoń ku szyi i zaczęła obracać w palcach jak amulet ametystową broszkę swej matki, którą zawsze miała przypiętą do kołnierzyka sukienki. Rozejrzała się po pogrążonym w półmroku pokoju. Tak, trzeba będzie jeszcze zetrzeć kurz z abażurów. Henry nie znosił kurzu.

Zerknęła na Henry’ego, który stał teraz w drzwiach. W słabym świetle nie dostrzegąca wyraźnie rysów jego twarzy, która majaczyła krągło i posępnie, a okazały cień jego ciała stapał się z mrokiem korytarza. Patrząc przez zmrużone powieki na rozmazany kształt swego brata, Elizabeth odczuła dziwną przyjemność, że obserwuje go bez okularów. Był zwykle taki wyrazisty, taki dokładny, teraz zaś widziała go tak nieostro.

– Znów snujesz marzenia, Elizabeth? – skarcił ją smutno Henry, dostrzegłszy charakterystyczne, rozkojarzone spojrzenie. Zawsze tak z nimi było: Henry wychodził z domu, by znaleźć ją zaczytaną w ogrodzie pod drzewem różanym albo budującą zamki z piasku nad morzem, i mówił jej, że matka potrzebuje kogoś do pomocy w kuchni bądź że trzeba wypolerować zastawę.

– Nie, Henry. – Elizabeth wyprostowała swą szczupłą sylwetkę. – Nie, Henry, nie snuję marzeń. Właśnie miałam pójść włożyć kurczaka do piekarnika. – Precisnęła się obok brata, niemal niedostrzegalnie zachnąwszy się z oburzenia.

Henry patrzył za swą siostrą, która z lekkim stukotem obcasów zeszła do kuchni, a chabrowa spódnica kołysała się na jej biodrach jakby trochę impertynencko. Odczuł niepokój. Elizabeth nigdy nie była zbyt pozbierana, ale przynajmniej zawsze zachowywała się potulnie. A teraz ta... ta niemal arogancką postawą, która ostatnio powtarzała się coraz częściej. Właściwie, odkąd Elizabeth z nim zamieszkała po jego przejściu na emeryturę. Henry potrząsnął głową.

Elizabeth brzękała w jadalni sztućcami i porcelanowymi talerzami, zastawiając stół do niedzielnego posiłku, układała winogrona i jabłka w wysoką stertę w kryształowej misie, która miała zająć naczelne miejsce na stole, nalewała wody z lodem do wysokich, bladozielonych szklanek.

Poruszała się w szarości surowo urządzonej jadalni, fioletowa postać w półświecie

zaciągniętych portier. Tak samo poruszała się jej matka przed laty... kiedy to było? Jak dawno? Elizabeth straciła rachubę czasu. Ale Henry może jej powiedzieć. Henry z pewnością pamięta dokładną datę, dokładną datę śmierci matki. Henry jest w takich sprawach bardzo skrupulatny.

Usadowiony u czoła stołu do obiadu, Henry skłonił głowę i odmówił modlitwę dziękczynną swym głębokim głosem – słowa płynęły z jego ust melodyjnie i rytmicznie, jak kościelny psalm. Lecz gdy Henry dotarł do końcowego amen, Elizabeth poczuła, że coś się przypala. Z przykrością przypomniała sobie o ziemniakach.

– Ziemniaki, Henry! – Zerwała się z krzesła i pobiegła do kuchni, gdzie ziemniaki powoli czerniały w piekarniku. Wyłączyła gaz i wyjęła je na blat, upuszczając jeden na podłogę, gdy sparzył jej szczupłą, wrażliwe palce.

– Tylko skórki się przypaliły, Henry. Nic im nie jest – zawołała do jadalni. Usłyszała poirytowane sarknięcie. Henry zawsze czekał z utęsknieniem na omaśnione skórki pieczonych ziemniaków.

– Widzę, że nic się przez te lata nie zmieniłaś, Elizabeth – moralizował Henry, gdy wróciła do jadalni z talerzem przypalonych ziemniaków. Elizabeth usiadła, starając się nie słyszeć reprymendy Henry’ego. Wiedziała, że czeka ją długa, napominająca przemowa. Jego głos kapał świątobliwością jak pękatymi, złocistymi kroplami masła.

– Czasem aż ci się dziwię, Elizabeth – ciągnął Henry, pracowicie krojąc nożem jakiś szczególnie oporny kawałek kurczaka. – Dziwię się, że dałaś sobie radę, pracując przez tyle lat sama w miejskiej bibliotece, biorąc pod uwagę to twoje snucie marzeń i tym podobne.

Elizabeth w milczeniu pochyliła głowę nad talerzem. Łatwiej było myśleć o czymś innym, gdy Henry wygłaszał swoje homilie. Kiedy była mała, zawsze zatykała sobie uszy, by nie słyszeć, jak Henry wzywa ją do obowiązków, wytrwale przekazuje polecenia matki. Teraz jednak łatwo jej przychodziło uniknąć jego pouczeń w sposób bardziej dyskretny, pogrążając się w swym prywatnym świecie marzeń i rozmyślań o wszystkim, co zabłąkało się jej do głowy. Teraz przypomniała sobie, jak horyzont pięknie się stopił z błękitnym niebem, tak, że trudno było powiedzieć, czy to woda rozprasza się w powietrzu, czy też powietrze gęstnieje, tężeje w wodę.

Jedli w milczeniu, Elizabeth co jakiś czas wstawiała, by odnieść niepotrzebne już naczynia, dolać Henry’emu wody do szklanki, przynieść z kuchni salaterki kremu z jeżynami. Gdy tak się kręciła, a jej chabrowa spódnica muskała z szelestem ciężkie politurowane meble, ogarnęło ją dziwne uczucie, że zamienia się w kogoś innego, może swą matkę. Kogoś zręcznego i umiejącego prowadzić dom. Jakie to dziwne, że po tylu latach niezależności znów jest z Henrym i granice jej życia znów wyznaczają obowiązki domowe.

Zerknęła na brata, pochylonego nad deserem, kładącego łyżeczkę za łyżeczką kremu z jeżynami do swych przepastnych ust. Stapia się, pomyślała, z mętym, ponurym półświatłem jadalni. Lubiła go widzieć w tym sztucznym zmierzchu, mając świadomość, że za zaciągniętymi zasłonami świeci słońce, jasne i precyzyjne.

Elizabeth niespiesznie myła naczynia po obiedzie, zaś Henry poszedł do swego gabinetu, żeby pooglądać niektóre ze swych map. Nic nie sprawia mu większej przyjemności niż sporządzanie tablic i obliczeń, pomyślała, manewrując dłońmi w ciepłych mydlinach i wyglądając przez kuchenne okno na migotliwą, błękitną wodę w oddali. Gdy byli mali, Henry ciągle rysował wykresy i mapy, które powielał z podręcznika do geografii, podczas gdy ona pogrążała się w marzeniach nad zdjęciami gór i rzek o cudacznym obcych nazwach.

W głębinach zlewozmywaka sztucce zderzały się po omacku ze szkłem, puszczając w obieg stłumione dzwonięcie. Elizabeth położyła na mydlanej wodzie kilka ostatnich talerzy i patrzyła, jak przechylają się na bok i idą na dno. Gdy skończyła, pomyślała, że dołączy do Henry’ego w salonie, gdzie poczytają sobie chwilę razem bądź też pójdą na spacer. Henry uważał, że świeże powietrze jest bardzo zdrowe.

Z niejaką zawiścią Elizabeth przypomniała sobie wszystkie długie dni, które za młodu spędziła w łóżku. Była bladym, chorowitym dzieckiem, podczas gdy pucułowata, rumiana twarz Henry'ego, który przychodził do jej pokoju w odwiedziny, zawsze promieniała wigorem.

Przyjdzie kiedyś czas, pomyślała Elizabeth, kolejny już raz w życiu, że nie przyjmie z pokorą przytyków Henry'ego, lecz coś mu odpowie. Nie wiedziała do końca, co mu odpowie, lecz z pewnością coś druzgoczącego i okropnego. Coś niezwykle obrazoburczego i frywolnego. A potem choć raz zobaczy Henry'ego speszzonego, dezorientowanego, nie umiejącego znaleźć słów.

Uśmiechnęła się do siebie. Na jej twarzy malował się wewnętrzny zachwyt, gdy dołączyła do Henry'ego, który przeglądał w salonie atlas historyczny.

– Chodź tutaj, Elizabeth – rozkazał Henry, poklepując siedzenie sofy obok siebie. – Znalazłem arcyciekawą mapę Stanów Nowej Anglii, którą musisz koniecznie zobaczyć.

Elizabeth posłusznie usiadła obok brata. Przez jakiś czas oboje trzymali atlas i wpatrywali się w błyszczące karty z bladoróżowymi i niebiesko-żółtymi mapami stanów i hrabstw. Nagle Elizabeth zauważyła w środku Massachussetts znajomą nazwę.

– Zaczekaj – powiedziała. – Pozwól mi popatrzeć na miejscowości, w których byłam. Tutaj – przeciągnęła palcem po powierzchni kartki od Bostonu po Springfield – tutaj – palec powędrował do rogu stanu North Adams – i tutaj, zaraz za granicą Vermont, kiedy pojechałam odwiedzić kuzynkę Ruth... kiedy to było? Zesłój wiosny...

– Wyjechałaś szóstego kwietnia – odpowiedział Henry.

– Tak, oczywiście. Wiesz co, nigdy się nie zastanawiałam, w którym kierunku na mapie jadę... w górę, w dół, w bok.

Henry spojrzął na siostrę jakby skonsternowany.

– Nie zastanawiałaś się?! – sapnęła, z niedowierzaniem. – Chcesz powiedzieć, że nigdy nie próbujesz ustalić, czy jedziesz na północ, południe, wschód czy zachód?

– Nigdy – odparła Elizabeth z uśmiechem. – Nie wiem, po co miałabym to robić.

Pomyślała o jego gabinecie, o wiszących na ścianach wielkich mapach, starannie wyrysowanych, pieczołowicie opisanych. Oczywiście duszy ujrzała precyzyjnie poprowadzone czarne kontury i morze rozcieńczonego niebieskiego koloru wokół brzegów kontynentów. Były też symbole, przypomniała sobie. Stylizowane kępy trawy wskazujące mokradła, maźnięcia zieleni w miejsce parków.

Wyobraża sobie siebie, jak wędruje, karłowata i zdrobniła, wzdłuż pięknie wyrysowanych konturów, a potem w dół, brodzi przez płytkie niebieskie owale jezior, przeciska się przez sztywne, symetryczne kępy trawy mokradeł.

Potem ujrzała się, jak trzyma w dłoni okrągłą busolę o białej tarczy. Igła busoli obracała się, drgała i nieruchomiła, zawsze wskazując ku północy, niezależnie od tego, jak ustawiła się Elizabeth. Nieubłagana precyzja mechanizmu irytowała ją.

Henry nadal patrzył na nią, zdradzając stan zbliżony do Szoku. Zauważyła, że jego oczy są bardzo zimne i bardzo niebieskie, trochę jak wody Atlantyku na mapie w atlasie. Od źrenicy rozchodziły się promieniście cieniutkie czarne kreski. Krótka czarna linia rzęs rysowała się bardzo wyraziście. Henry zawsze wie, gdzie jest północ, pomyślała z rozpaczą. Zawsze dokładnie wie, gdzie jest północ.

– Uważam, że kierunek naprawdę nie jest aż taki ważny. Ważne jest miejsce, do którego zmierzasz – oświadczyła z rozdrażnieniem. – Czy ty rzeczywiście cały czas myślisz o tym, w jakim zmierzasz kierunku?

Nawet salon zdawał się oburzony tą jawną arogancją. Elizabeth była pewna, że grube zasłony kominka jeszcze bardziej zeszywniały, a niebieska tapiseria powyżej wyraźnie pobladła. Stojący zegar patrzył na nią oszołomiony, jakby odebrało mu mowę przed kolejnym karzącym Łyknięciem.

– Oczywiście, że zawsze wyobrażam sobie swoją podróż i studiuje ją na mapie – oświadczył stanowczo Henry, na którego policzki wystąpił rumieniec. – Zawsze wykreślam sobie wcześniej trasę i zabieram ze sobą mapę, żeby wiedzieć, gdzie w danym momencie jestem.

Elizabeth ujrzała go teraz, jak stoi w porannym świetle na płaskiej powierzchni mapy i patrzy wyczekująco, aż na wschodzie wyłoni się słońce. Dokładnie, by wiedział, gdzie jest wschód. Mało tego, wiedziałby również, z jakiego kierunku wieje wiatr. Dzięki jakiejś nieomyślnej magii potrafiłby określić, z której strony świata nadchodzi wiatr.

Umieściła Henry'ego na środku mapy, pokrajanej na cztery części jak szarlotka pod niebieską kopułą tacy. Stał twardo na ziemi, z ołówkiem i kartką w ręku, i robił wyliczenia, by sprawdzić, czy świat obraca się zgodnie z harmonogramem. Nocą patrzyłby na konstelacje tykające jak podświetlone zegary, mówiłby do nich życzliwie po imieniu, jakby się witał z punktualnymi znajomymi. Niemal słyszała, jak woła rubasznie: „Jak się masz, Orionie, stary druhu!” Och, to zupełnie nie do wytrzymania.

– Jak sądzę, określania kierunku każdy może się nauczyć – wymamrotała w końcu Elizabeth.

– Oczywiście – odparł Henry, zachwycony, że okazała taką pokorę. – Mógłbym ci nawet pożyczyć mapy, żebyś miała na czym ćwiczyć.

Elizabeth siedziała zupełnie nieruchomo, podczas gdy Henry przewracał kartki atlasu, studiując mapy, które wydały mu się szczególnie interesujące. Elizabeth z czułością broniła w myślach niejasnego, nieprecyzyjnego świata, w którym żyła, jakby broniła bliskiego przyjaciela, którego ktoś oczernił.

Jej świat był światem szarości, gdzie nocą księżyc żeglował nad drzewami jak rozedrgany balon srebrnego światła, a niebieskawe promienie przeciekały przez listowie za jej oknem i pełgały płynnymi wzorami po tapetach w jej pokoju. Nawet powietrze było jakby nieprzezroczyste, a kształty przedmiotów przelewały się i stapiały ze sobą. Wiatr wiał łagodnymi, kapryśnymi zrywami, to w tę, to w inną stronę, raz od morza, raz od ogrodu różanego (co rozpoznawała po zapachu wody lub kwiatów).

Wzdrygnęła się na dobroduszną promienną pobłażliwość uśmiechu Henry'ego. Chciała powiedzieć coś zuchwałego i bezczelnego, coś, co zakłóciłoby nieznośną pogodę jego rysów.

Kiedyś, przypomniała sobie, odważyła się powiedzieć coś spontanicznego i frymuśnego... co to było? Że chciałaby zdjąć ludziom czubki głów jak pokrywkę czajniczka do herbaty i zajrzeć do środka, żeby się dowiedzieć, co myślą. Henry stęzał, gdy to usłyszał, przełknął ślinę i z westchnieniem, jakby mówił do nieodpowiedzialnego dziecka, powiedział coś takiego: „I co spodziewałabyś się zobaczyć w środku? Chyba nie kółka zębate, ani nie pliki kartek papieru, podpisane i związane tasiemką!” Po czym uśmiechnął się, zadowolony ze swego błyskotliwego poczucia humoru.

Nie, oczywiście, że nie, odpowiedziała mu Elizabeth, zbita z tropu. Teraz pomyślała sobie, jak mógłby wyglądać jej umysł: ciemny, nagrany pokój, z kolorowymi światłami, rozkołysanymi i zmiennymi, jak odbite w wodzie lampiony, na ścianach pojawiają się i znikają obrazy, miękkie i rozmazane jak pejzaże impresjonistów. Kolory byłyby rozbite na małe, barwne okruchy, kobiece ciała miałyby kolor kwiatów róży, zaś chabrowe suknie stapiałyby się z liliami. Gdzieś z oddali płynąłby słodki dźwięk skrzypiec i dzwonek.

Umysł Henry'ego byłby bez wątpienia płaski i niezróżnicowany, posegregowany za pomocą precyzyjnych urządzeń mierniczych w niezmiennym świetle dziennym. Byłyby tam geometryczne betonowe promenady i kanciaste, masywne budynki z zegarami na fasadach, doskonale zsynchronizowanymi. Powietrze byłoby gęste od ich równomiernego tykania.

Na zewnątrz nagle przejaśniało i pokój zdał się obszerniejszy z napływem świeżego światła.

– Chodźmy na spacer, zapowiada się piękne popołudnie – powiedział Henry, wstawszy z

uśmiechem z sofy, i wyciągnął ku niej kanciastą, masywną dłoń.

Miał w zwyczaju każdego popołudnia zabierać ją na przechadzkę nadmorskim bulwarem. Rześkie, solne powietrze, powiedział, doda jej zdrowia i wigoru. Zawsze była trochę blada, ziemista na twarzy.

Siwe włosy Elizabeth zwichrzyłyby się na wietrze, trzepocząc wokół jej twarzy wiotkim, wilgotnym welonem. Wiedziała, że, chociaż Henry wierzy w dobroczynny wpływ morskiego wiatru, nie lubi widzieć jej włosów w nieładzie, więc zaczesła je w zwyczajowy kok, który umocowała długą metalową spinką.

Powietrze było tego dnia przejrzyste i ciepłe jak na początek września. Elizabeth wyszła na ganek z nagłą radością, nie zapinając szarego płóciennego płaszcza, który narzuciła na chabrową sukienkę. Na horyzoncie ujrzała niewielką stertę ciemnych chmur, które być może wróżyły nadciągającą powoli burzę. Purpurowe chmury przypominały maleńkie kiście winogron, a na ich tle wirowały mewy, jak kremowobiałe płatki.

O kamienne fundamenty deptaka w dole rozbijały się potężne fale. Wielkie zielone grzywacze przez chwilę trwały unieruchomione w krzywiznie zimnego niebieskawego szkła, po czym przewalały się kaskadą białej piany, a woda wślizgiwała się na plażę warstwami cienkich płacht lustrzanego kryształu.

Trzymając Henry'ego pod ramię, Elizabeth czuła się bezpiecznie, jak balon na uwięzi, którego nie zerwie wiatr. Łapczywie wdychała świeże powietrze i czuła się dziwnie lekka, niemal nadmuchana, jakby silniejszy poryw wiatru mógł ją unieść nad wodę.

Daleko, daleko na horyzoncie kiście winogron pęczniały, ogromniały, a wiatr był dziwnie ciepły i natarczywy. Wrześniowe słońce nagle zdało się rozmyte, osłabłe.

– Henry, myślę, że będzie burza.

Henry spojrzał surowo na ciężące w oddali chmury. – Bzdura – powiedział stanowczo. – Rozwieje się. Ten wiatr jest pomyłony.

Wiatr rzeczywiście był pomyłony. Wiejąc porywczymi, bezładnymi podmuchami, droczył się z Elizabeth. Zatrzepotał rąbkami jej halki. Krotochwilnie wdmuchnął jej do oka pasemko włosów. Czuła się dziwnie psotliwie i ekstatycznie, skrycie zadowolona, że wiatr jest pomyłony.

Henry przystanął przy nadmorskim murku. Wyjął z kieszeni kamizelki swój ogromny złoty zegarek. Za piętnaście minut, powiedział, będzie najwyższy poziom wody. Dokładnie siedem po czwartej. Zdążą do tego czasu wyjść na stare molo, sterczące w morze nad skałami.

Elizabeth czuła rosnące rozradowanie, gdy szli po deskach mola, które skrzypiały i narzekały. Przez szczeliny widziała, że głęboka zielona woda mruga do niej. Kipiące fale zdawały się szeptać do niej coś tajemniczego, coś niezrozumiałego, ginącego w wyciu wiatru. Doznała zawrotnego uczucia, że omszałe słupy mola kołyszą się i trzeszczą pod nimi, zmagając się z przybojem.

– Tutaj – powiedział Henry, opierając się o barierkę na końcu mola. Filuterny wiatr marszczył jego konserwatywny granatowy garnitur w prążki i unosił starannie uczesane włosy na czubku głowy, aż zaczęły wibrować, stojąc pionowo, jak czułki owada.

Elizabeth pochyliła się w dół przez barierkę obok swego brata i patrzyła, jak na skałach kotłują się fale. Jej chabrowa spódnica wydymała się i łopotała, i choć Elizabeth usiłowała ją przytrzymać swym szczupłymi, wątłymi palcami, nadal powiewała buntowniczo.

Coś kłuło ją w szyję. Rزتargnionym gestem podniosła dłoń i poczuła, że ametystowa broszka rozpina się, wyslizguje jej przez palce i strzelając po drodze purpurowymi błyskami spada na skały w dole i iskrzy złośliwie.

– Henry! – zawołała, przywierając do niego. – Henry, broszka matki! Co ja zrobię? – Henry powiódł wzrokiem tam, gdzie celował jej kanciasty palec wskazujący, ku połyskującej w dole broszce. – Henry – zawołała, na poły szlochając. – Musisz po nią zejść! Fale ją zmyją!

Henry, wręczwszy jej swój czarny melonik, stał się nagle odpowiedzialny i opiekuńczy.

Wychylił się przez barierkę, żeby sprawdzić, którą prowadzi najbezpieczniejsza droga.

– Nic się nie bój – powiedział dzielnie, a szyderczy wiatr cisnął mu te słowa z powrotem w twarz. – Nic się nie bój, jest tu coś w rodzaju drabiny. Dostanę ci twoją broszkę.

Ostrożnie, sprawnie, Henry zaczął schodzić. Precyzyjnie stawiał stopy na drewnianych poprzeczkach, aż wreszcie dotarł na suchą, omszałą powierzchnię skał, gdzie stanął triumfalnie. Fale rozbijały się trochę niżej, rytmicznie wzbierały i opadały, dudniąc złowieszczo w pieczarach i szczelinach pomiędzy wielkimi skałami. Przytrzymał się dłonią najniższego szczebla prowizorycznej drabiny, Henry pochylił się ciężko, aby podnieść broszkę. Zginał się powoli, majestatycznie, dysząc nieco po obfitym obiedzie.

Elizabeth już jakiś czas temu zdała sobie sprawę, że fala nadchodzi, ale wcześniej nie zauważyła, że jest aż o tyle wyższa od innych. Potężny maszyn zielonej wody zbliżał się jednak powoli, majestatycznie, rządony jakimś nieomylnym prawem natury, i toczył się nieubłagane ku Henry'emu, który właśnie stanął wyprostowany z broszką w dłoni i zamierzał uśmiechnąć się zwycięsko.

– Henry! – szepnęła w ekstazie przerażenia i wychylona do przodu ujrzała, jak fala zatapia skałę, zalewa nawałą wody miejsce, w którym stoi Henry, podchodzi mu do kostek, krąży dwoma wirami wokół jego kolan. Przez chwilę Henry balansował dzielnie, jak olbrzym poskramiający ryczące morze, z wykwitającym na poblądłej twarzy rzadkim u niego wyrazem bolesnego zaskoczenia.

Ramiona Henry'ego kręciły w powietrzu młyńce jak dwa oszalałe śmigła samolotu, gdy poczuł, że mech usuwa się, wyslizguje spod jego wyglansowanych butów. Z ostatnim bezradnym spojrzeniem, panicznym, niezdarnym, Henry runął bez słowa w głębinę kolejnej czarnej fali. Z uczuciem narastającego spokoju Elizabeth patrzyła, jak trzepoczące ramiona wynurzają się, toną, znów się wynurzają. Wreszcie ciemny kształt znieruchomiał, opadając coraz głębiej w morze przez kolejne poziomy nieprzezroczystości. Zaczynał się odbój.

Zamyślona Elizabeth oparła się o barierkę, biorąc swój spiczasty podbródek w poprzecinane niebieskimi żyłkami dłonie. Wyobraziła sobie zielonego, morskiego Henry'ego, opadającego jak żółw przez warstwy mętnej wody. We włosach miałyby wodorosty i wodę w kieszeniach. Obciążony krągłym złotym zegarkiem i busolą o białej tarczy, poszedłby na samo dno oceanu.

Woda by wsiąkła do jego butów i wniknęła do mechanizmu zegarka, aż wreszcie tykanie by ustało. Choćby nie wiedzieć jak długo potrzasał zegarkiem i postukiwał w kopertę, mechanizm nie dałby się ponownie uruchomić. Nawet tajemnicza i precyzyjna maszyna busoli by zardzewiała i chociaż Henry trząsłby nią i poszturchiwał, delikatna, rozedrgana igła utkwiliby w miejscu. W którymkolwiek kierunku zwróciłby się Henry, tam byłaby północ. Wyobraziła sobie go, jak wyrusza samotnie na niedzielny spacer, krocząc żwawo w rozmytym zielonym świetle, z zaciekawieniem poszturchuując laską morskie zawilce.

A potem pomyślała o jego gabinecie, ze wszystkimi mapami i węzami morskimi, wyrysowanymi ozdobnie pośrodku Oceanu Atlantyckiego; o Neptunie usadowionym po królewsku na grzbiecie fali z trójzębem w dłoni i koroną na rozwianych siwych włosach. Gdy tak rozmyślała, rysy monarszego oblicza Neptuna rozmazały się, wydęły, zaokrągliły. Z ich miejsca patrzyła na nią zdumiona twarz bardzo odmienionego Henry'ego. Dygoczący, bez kamizelki, bez garnituru w prążki, siedział skulony na grzbiecie fali i szczekał zębami. Gdy mu się przyglądała, usłyszała wątle i żalosne kichnięcie.

Biedny Henry. Jej serce wypełniło się litością. Bo któż się nim tam zaopiekuje, pośród tych wszystkich ośliżłych, obojętnych morskich stworzeń? Któż wysłucha jego pogadanek o księżycu zawiadującym pływaniami i o ciśnieniu atmosferycznym? Ze współczuciem pomyślała, że Henry zawsze dostawał niestrawności od skorupiaków.

Wiatr ponownie przybrał na sile. Spódnica Elizabeth znów się uniosła, wydęła, wysklepiła w pełen powietrza klosz. Elizabeth przechyliła się niebezpiecznie, puściwszy barierkę, aby

poskromić spódnicę. Jej stopy wleciały nad deski, opadły, znów wleciały; wreszcie wiatr porwał ją w górę i niósł jak chabrowe zielsko, ponad falami, w morze.

Nikt już potem nie widział Elizabeth Minton, która doskonale się bawiła, szybując do góry, to w lewo, to w prawo, a chabrowa suknia zlewała się z purpurą chmur. Jej piskliwy, triumfalny żeński chichot, zmieszany z głębokim, gulgotliwym chrząkaniem Henry'ego, niósł się w dole nad falami odboju.

Popołudnie szarzało, przechodząc w zmierzch. Nagle Elizabeth poczuła, szarpnięcie za ramię.

– Wracamy do domu, Elizabeth – powiedział Henry. – Robi się późno.

Elizabeth westchnęła pokornie.

– Już idę – powiedziała.

Superman i nowy strój narciarski Pauli Brown

Tego roku, gdy wybuchła wojna, chodziłam do piątej klasy Szkoły Podstawowej im. Annie F. Warren w Winthrop, a w zimie dostałam nagrodę za najlepszy projekt tablic Obrony Cywilnej. Była to również zima nowego stroju narciarskiego Pauli Brown. Jeszcze dzisiaj, po trzynastu latach, przypominam sobie zmienne barwy tych dni, wyraźne i określone jak wzory w kalejdoskopie.

Mieszkałam po stronie zatoki, przy Johnson Avenue, naprzeciwko lotniska Logan. Co wieczór, przed pójściem do łóżka, klękałam przy oknie wychodzącym na zachód i patrzyłam na światła Bostonu, które jarzyły się i mrugały w oddali za mroczniejącą wodą. Zachód słońca powiewał nad lotniskiem swym różowym sztandarem, a szum fal ginął w nieustannym pomruku samolotów. Podziwiałam pełzające oświetlenie pasa startowego i patrzyłam, dopóki nie zrobiło się zupełnie ciemno, na migające czerwone i zielone światła, które wzbijały się w niebo jak komety. Lotnisko było moją Mekką, moim Jeruzalem. W nocy śniło mi się latanie.

Były to dla mnie czasy snów w technikolorze. Mama uważała, że potrzeba mi bardzo dużo snu, toteż nigdy nie byłam naprawdę zmęczona, gdy kładłam się do łóżka. Była to najlepsza pora dnia, kiedy mogłam leżeć w wieloznacznym półmroku i bezwładnie unosić się w sen, ale sterować tym, co mi się przyśni. Moje sny lotnicze były równie wiarygodne co krajobrazy Daliego, tak realne, iż budziłam się nagle ze wstrząsem, z panicznym poczuciem, że jak Ikar runęłam z nieba, lecz zdołałam wylądować na miękkim łóżku.

Te nocne przygody w przestrzeni zaczęły się wtedy, gdy w moje sny wtargnął Superman i zaczął mnie uczyć latać. Przybywał z rykiem w swym błyszczącym niebieskim kombinezonie i świszczącej na wietrze pelerynie, zaskakująco podobny do wujka Franka, który mieszkał z moją matką i ze mną. W magicznym furkocie jego peleryny słyszałam skrzydła tysiąca mew, silniki tysiąca samolotów.

Nie byłam jedynym czcicielem Supermana w naszym sąsiedztwie. Moją miłość do czystej poezji lotu podzielał David Sterling, błądź mól książkowy, który mieszkał kawałek dalej przy tej samej ulicy. Codziennie przed kolacją słuchaliśmy razem Supermana w radio, a po drodze do szkoły wymyślaliśmy swoje własne przygody.

Szkoła Podstawowa im. Annie F. Warren, budynek z czerwonej cegły, była cofnięta od głównej ulicy i otoczona żwirowym placem zabaw. Na skraju placu zabaw, przy parkingu, David i ja znaleźliśmy doskonałą niszę dla naszych dramatów z Supermanem. Do obskurnej tylnej bramy szkoły prowadził długi korytarz zieleni, gdzie można było urządzać doskonałe zasadzki i niespodziewane odsieczki.

Podczas przerwy David i ja odłączyliśmy się od reszty. Nie zważaliśmy na chłopców grających w baseball na żwirowym boisku ani na dziewczęta chichoczące przy grze w zbijanego. Nasze zabawy w Supermana czyniły z nas wyrzutków społecznych, lecz zarazem napawały nas zarozumiałym poczuciem wyższości. Znaleźliśmy sobie nawet dyżurny czarny charakter w osobie Sheldona Feina, zielonego na twarzy maminsynka z naszej ulicy, który był wykluczony z zabaw chłopców, ponieważ zawsze płakał, gdy ktoś go dotknął przy grze w berka i przy każdej okazji się przewracał, rozdzierając sobie skórę na swych tłustych kolanach.

Z początku Sheldon potrzebował zachęty z naszej strony, aby wcielić się w rolę czarnego charakteru, lecz potem został ekspertem w wynajdywaniu różnego rodzaju tortur i nawet uprawiał je prywatnie, niezależnie od naszej zabawy. Wyrывał skrzydełka muchom i nóżki pasikonikom, po czym wsadzał okaleczone owady do słoika, który trzymał pod łóżkiem, aby móc go od czasu do czasu wyjąć w sekrecie i popatrzeć, jak walczą. David i ja bawiliśmy się

z Sheldonem tylko podczas przerwy. Po szkole zostawialiśmy go z mamusią, bombonierkami i jego bezsilnymi owadami.

Mieszkał z nami wtedy wujek Frank, który czekał na pobór. Uważałam, że niesamowicie przypomina zakamuflowanego Supermana. David nie dostrzegał podobieństwa tak wyraźnie jak ja, lecz przyznał, że wujek Frank jest najsilniejszym z ludzi, jakich zna, i umie mnóstwo sztuczek, na przykład numer z karmelkami znikającymi pod serwetką i chodzenie na rękach.

Tej samej zimy została wypowiedziana wojna. Pamiętam, że siedziałam z matką i wujkiem Frankiem przy radioodbiorniku i czułam, że w powietrzu unosi się jakaś zła wróżba. Matka i wujek poważnymi, ściszonymi głosami rozmawiali o samolotach i niemieckich bombach. Wujek Frank wspomniął coś o zamykaniu amerykańskich Niemców do więzienia na czas wojny, a matka w kółko powtarzała o tacie: „Cieszę się, że Otto tego nie doczekał. Cieszę się, że Otto nie dożył tej chwili”.

W szkole zaczęliśmy projektować tablice Obrony Cywilnej. Pokonałam wtedy Jimmy’ego Lane’a w konkursie o nagrodę dla piątych klas. Od czasu do czasu ćwiczyliśmy nalot bombowy. Włączał się alarm przeciwpożarowy, a my braliśmy płaszcze i ołówki, po czym gęsiego schodziliśmy po skrzypiących schodach do piwnicy. Tam siadaliśmy na wyznaczonych miejscach, zależnie od koloru specjalnych naszywek, po czym wsadzaliśmy sobie ołówki do ust, żeby przy wybuchu nie odgryźć sobie języka. Niektóre dzieci z niższych klas płakały, bo w piwnicy było ciemno – czarne od brudu kamienne mury oświetlały tylko gołe żarówki na suficie.

Groźba wojny wnikała wszędzie. Na czas przerwy Sheldon zostawał nazistą i zapożyczał z filmów defiladowy krok, ale jego wujek Macy naprawdę był w Niemczech i pani Fein zaczęła chudnąć i blednąć, ponieważ dotarło do niej tylko, że Macy jest w więzieniu, a potem wszelkie wiadomości się urwały.

Powoli nadchodziła zima, ale znad oceanu wiał wilgotny wschodni wiatr i śnieg od razu topniał. Pewnego piątkowego popołudnia, tuż przed Bożym Narodzeniem, Paula Brown wydała swoje doroczne przyjęcie urodzinowe, na które zostałam zaproszona wraz ze wszystkimi dziećmi z sąsiedztwa. Paula mieszkała naprzeciwko Jimmy’ego Lane’a przy Somerset Terrace, miała bladą cerę, długie, rude warkoczyki i wodniste niebieskie oczy. Nikt w okolicy jej specjalnie nie lubił, bo rządziła się i zadzierała nosa.

Przywitała nas w drzwiach domu w sukience z organdy, włosy miała nakręcone, loki grubości serdelków zostały związane atłasową kokardą. Zanim usiedliśmy przy stole do tortu urodzinowego i lodów, koniecznie chciała nam pokazać wszystkie swoje prezenty. Było ich dużo, ponieważ urodziny przypadały w okresie świątecznym.

Ze wszystkich prezentów Pauli najbardziej podobał się nowy strój narciarski, więc ubrała się w niego dla nas. Strój był w kolorze niebieskim i przybył w srebrnym pudełku ze Szwecji. Na przedzie skafandra wyszyte były różowo-białe róże i sójki, a spodnie miały wyszywane szelki. Dostała nawet do tego biały beret i rękawiczki z angory.

Po deserze ojciec Jimmy’ego Lane’a zawiózł nas wszystkich do kina na popołudniowy seans, co miało być szczególną atrakcją. Matka sprawdziła, że grają *Królewnę Śnieżkę*, ale nie zdawała sobie sprawy, że wcześniej wyświetlany jest film wojenny.

Był to film o jeńcach wziętych do niewoli przez Japończyków, których torturowano, nie dając im jeść ani pić. Wszystkie nasze wojenne zabawy i programy radiowe były zmyślone, lecz to było prawdziwe, to zdarzyło się naprawdę. Zatkanam sobie uszy, żeby nie słyszeć jęków umierających z głodu i pragnienia ludzi, ale nie mogłam oderwać oczu od ekranu.

Wreszcie jeńcy oderwali ciężką belkę niskiej powały i staranowali nią gliniany mur, aby dostać się do fontanny na dziedzińcu, lecz gdy tylko pierwszy mężczyzna dotarł do wody, Japończycy zaczęli strzelać do jeńców, traktować ich i śmiać się szyderczo. Siedziałam przy przejściu i w trakcie tej sceny wstałam szybko i pobiegłam do toalety, gdzie uklęknęłam nad muszlą klozetową i zwymiotowałam tort i lody.

Gdy poszłam tego wieczoru do łóżka, zaraz po zamknięciu oczu ujrzałam w duszy obóz wojenny, jęczący więźniowie znów sforsowali mur i znów zostali zastrzeleni, gdy dobiegli do cieurkającej fontanny. Chociaż usilnie przyzywałam Supermana, postać błękitnego rycerza nie sfrunęła z gniewnym rykiem z nieba, aby zmiażdżyć żółtych ludzi, którzy zakłócali moje sny. Gdy obudziłam się rano, pościel była mokra od potu.

W sobotę panował siarczasty mróz, niebo było szare i zasnuwane groźbą śniegu. Gdy wracałam tego popołudnia ze sklepu, ściskając zmarznięte palce w rękawiczkach, ujrzałam kilkoro dzieci, które grały w berka przed domem Pauli Brown.

Paula przerwała na chwilę zabawę i spojrzała na mnie chłodno. – Potrzebujemy jeszcze jednej osoby. Bawisz się z nami? – powiedziała i dotknęła mnie w kostkę. Przez chwilę goniłam w kółko, aż wreszcie złapałam Sheldona Feina, który schylił się, żeby zawiązać futrzane buty. Wczesna odwilż roztopiła śnieg na ulicy, a asfaltowy chodnik był szorstki od piasku rozsyanego przez pług śnieżne. Przed domem Pauli jakiś samochód zostawił po sobie połyskliwą plamę oleju.

Biegaliśmy po ulicy, uciekając na twarde, zrudziałe trawniki, gdy goniący zanadto się zbliżył. Jimmy Lane wyszedł z domu i przyglądał nam się przez chwilę, po czym przyłączył się do zabawy. Gdy goił, zawsze starał się dopaść Paulę w jej niebieskim stroju narciarskim. Paula wrzeszczała piskliwie i oglądała się na niego swymi dużymi, wodnistymi oczami, a Jimmy zawsze ją w końcu złapał.

Ponieważ oglądała się za siebie, nie patrzyła, gdzie biegnie, i raz, gdy Jimmy sięgnął dłonią, by jej dotknąć, pośliznęła się na plamie oleju. Zamarliśmy wszyscy, gdy wywróciła się na bok, jakbyśmy się bawili w słup soli. Nikt się nie odezwał ani słowem, i przez jakiś czas słyhać było tylko samoloty po drugiej stronie zatoki. Opadło nas mdłe, zielone światło późnego popołudnia, zimne i nieodwołalne jak zasłona w oknie.

Strój narciarski Pauli był z boku cały zasmarowany olejem. Jej rękawiczki z angory ociekały jak futerko czarnego kota. Powoli usiadła i spojrzała po nas, jakby czegoś szukała. Nagle jej wzrok spoczął na mnie.

– To ty – wycedziła, wskazując na mnie palcem – to ty mnie popchnęłaś.

Po kolejnej chwili ciszy odwrócił się ku mnie Jimmy Lane.

– To ty zrobiłaś – oskarżał. – To ty.

Sheldon, Paula, Jimmy i wszyscy pozostali popatrzyli na mnie z dziwną radością migoczącą w głębi oczu.

– To ty zrobiłaś, to ty ją popchnęłaś – powiedzieli.

I chociaż krzyknęłam: – Nieprawda, to nie ja! – zaczęli mnie osaczać, skandując chóralnie: „To ty, to ty, widzieliśmy”. W zacieśniającym się kordonie twarzy nie dojrzałam pomocy i zaczęłam się zastanawiać, czy to Jimmy popchnął Paulę, czy też upadła sama, ale nie byłam pewna. Wcale nie byłam pewna.

Zaczęłam iść w stronę domu, postanowiwszy, że nie puszcę się biegiem, ale kiedy zostawiłam ich kilka kroków za sobą, poczułam głucho uderzenie kuli śnieżnej na lewym ramieniu, a potem następnej. Przyspieszyłam kroku i skręciłam za róg. Czekał na mnie mój ciemnobrązowy dom kryty gontem, a wewnątrz matka i wujek Frank, na urlopie. Zaczęłam biec przez chłód wieczoru ku jasnym prostokątom światła.

Wujek Frank otworzył mi drzwi.

– Jak tam moja ulubiona kawalerzystka? – spytał, po czym podrzucił mnie tak wysoko do góry, że otarłam się głową o sufit. W jego głosie było mnóstwo miłości, która zagłuszyła krzyki nadal rozbrzmiewające w mych uszach.

– Świetnie – skłamałam, po czym uczył mnie w salonie judo, dopóki mama nie zawołała nas na kolację.

Na białym lnianym obrusie stały świece, których miniaturowe płomienie pełgały po sztucach i szklankach. Za mrocznym oknem jadalni widziałam odbity inny pokój, gdzie

ludzie rozmawiali i śmiali się w bezpiecznej pajęczynie światła, spajanej jego niezniszczalnym blaskiem.

Nagle zadzwonił dzwonek i matka poszła otworzyć. Z przedpokoju dobiegł nas wysoki, wyraźny głos Davida Sterlinga. Zrobił się zimny przeciąg, ale matka dalej rozmawiała z Davidem przez próg. Kiedy matka wróciła do stołu, miała smutną minę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytała. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że przewróciłaś Paulę w błoto i zniszczyłaś jej nowy strój narciarski?

Budyń czekoladowy stanął mi w gardle, gęsty i gorzki. Musiałam popić go mlekiem. Wreszcie powiedziałam:

– To nie ja zrobiłam.

Słowa te wyszły jednak jak twarde, suche ziarenka, pusto brzmiące i nieszczerze. Spróbowałam jeszcze raz.

– To nie ja zrobiłam, tylko Jimmy Lane.

– Oczywiście wierzymy ci – powiedziała powoli matka – ale wszyscy sąsiedzi o tym mówią. Pani Sterling usłyszała tę historię od pani Fein i przysłała Davida, żeby nam powiedział, że powinniśmy odkupić Pauli strój narciarski. Nic z tego nie rozumiem.

– Ja tego nie zrobiłam – powtórzyłam. Krew zadudniła mi w uszach głucho jak źle naciągnięty bęben. Odepchnęłam krzesło od stołu, nie patrząc na wujka Franka i matkę, którzy siedzieli poważni i zatroskani w świetle świec.

Na schodach na piętro było ciemno, ale nie zapalając światła przeszłam długim korytarzem do mojego pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Mały, smarkaty księżyc kładł na podłogę prostokąty zielonkawego światła, a szyby w oknie otaczała frędzla szronu.

Cisnęłam się gwałtownie na łóżko i tak leżałam, z suchymi, płonącymi oczami. Po chwili usłyszałam, jak wchodzi po schodach wujek Frank i puka do moich drzwi. Kiedy nie zareagowałam, wszedł do środka i usiadł na łóżku. Widziałam w świetle księżycy masywną bryłę jego torsu, ale rysy twarzy ginęły w cieniu.

– Powiedz mi, jak to było, skarbie – zaczął bardzo miękko. – Nie masz się czego bać. My zrozumiemy. Tylko mi powiedz, co się naprawdę stało. Nigdy nie musiałaś niczego przede mną ukrywać, wiesz o tym, Tylko mi powiedz, jak to naprawdę było.

– Już ci mówiłam. Już ci mówiłam, jak było i nie mogę tego zmienić. Nawet dla ciebie nie mogę tego zmienić.

Westchnął i wstał do wyjścia. – W porządku, skarbie – powiedział od drzwi. – W porządku, ale tak czy inaczej zapłacimy za nowy strój narciarski, żeby wszyscy byli zadowoleni, a za dziesięć lat nikt nie zauważy różnicy.

Drzwi się za nim zamknęły i usłyszałam, że jego kroki cichną w korytarzu. Leżałam samotnie na łóżku i czułam, że świat podchodzi od spodu czarnym cieniem, jak wzbierające morze. Nic się nie trzymało, nic nie pozostało. Srebrne samoloty, błękitne peleryny rozplynęły się i rozwiły, starte jak niezdarne rysunki dziecka, wykonane kolorową kredą na ogromnej tablicy ciemności. Był to rok, kiedy zaczęła się wojna, i realny świat, i różnica.

W górach

Trzęsąc się niemiłosiernie, w autobusie telepiącym się o zmierzchu na górskiej drodze, wjechali nagle w gwałtowną zadymkę, sypiącą gęstym śniegiem w okna. Na zewnątrz, za zimnymi szybami wznosiły się góry, a za tymi górami znowu góry – coraz wyższe i wyższe. Isobel nigdy dotąd nie widziała takich gór. Wydawały się niewiarygodnie olbrzymie na tle niskiego, zaciągniętego chmurami nieba.

– Czuję, jak ziemia przetrzęsła się – powiedział Austin z pewnością siebie. – Mogę również wyczuć, gdzie znajdują się rzeki, a także jak spływają z gór, tworząc doliny.

Isobel nie odpowiedziała. Wciąż wyglądała przez okno. Po obu stronach drogi góry wystrzeliwały wysoko w wieczorne niebo, a ich czarne skaliste zbocza, przyprószone śniegiem, wyglądały jak gdyby porysowano je kredą.

– Rozumiesz, co mam na myśli, prawda? – upierał się, wpatrując się w dziewczynę usilnie, w nowy sposób, który pojawił się, odkąd przebywał w sanatorium. – Rozumiesz, co mam na myśli, prawda, kiedy mówię o zarysach ziemi?

Isobel unikała jego wzroku.

– Tak – odparła. – Myślę, że to jest cudowne.

Zadowolony z odpowiedzi, Austin objął dziewczynę ramieniem. Siedzący na tylnym siedzeniu starszek przyglądał się im życzliwie. Isobel uśmiechnęła się do niego, a pasażer odwzajemnił jej uśmiech. Był to doprawdy przemiły starszek, więc wcale nie przejęła się tym, że wlepia w nią wzrok, choć zwykle irytowało ją, gdy ludzie gapili się, kiedy Austin obejmował ją.

– Marzyłem od dawna, że byłoby cudownie przyjechać tutaj z tobą – powiedział. – Ale najpierw powinnaś zobaczyć to miejsce. Mija właśnie sześć miesięcy, prawda?

– Mniej więcej. Przerwałeś studia medyczne w drugim tygodniu w jesiennym semestrze.

– Zapomnę o tych sześciu miesiącach, przebywając z tobą.

Uśmiechnął się do niej, a Isobel, chociaż najgorsze już minęło, poczuła nagle dawny lęk, przypominając sobie, jak było.

Obejmował ją czule i władczo. Przez gruby wełniany płaszcz czuła jego twarde muskularne udo przytulone mocno do jej uda. Ale nawet delikatne pieszczoty jego palców, gładzących jej włosy i splatających miłośnie kosmyki za uszami, nie obudziły w dziewczynie pragnienia, by przytulić się do niego.

– Od jesieni minęło dużo czasu – powiedziała. – Podróż do sanatorium była tak długa.

– Ale przebyłaś tę drogę – rzekł z dumą. – I kolejną podziemną, i miejską taksówką, i tak dalej. Pamiętam, że nigdy nie znosiłaś samotnego podróżowania. Zawsze wydawało ci się, że zgubisz się w nie znanym miejscu.

Roześmiała się.

– Poradziłam sobie. Ale ty? Czy nie jesteś zmęczony wyjazdem z sanatorium, a przede wszystkim tym, że musisz powrócić jeszcze tego samego dnia?

– Oczywiście, że nie jestem zmęczony – odparł kpiąco. – Przecież wiesz, że nigdy się nie męczę.

Austin zawsze gardził słabością, każdym rodzajem słabości. Isobel pamiętała, jak wyśmiewał się z niej, gdy litowała się nad zabijanymi w laboratorium świnkami morskimi.

– Wiem – odparła – ale myślałam, że po tak długim pobycie w łóżku...

– Wiesz, że nigdy się nie męczę! Jak sądzisz, dlaczego pozwolili mi zjechać po ciebie do miasta? Bo czuję się świetnie! – obwieścił głośno.

– Również wyglądasz świetnie! – powiedziała, by go uspokoić, i popadła w milczenie.

Czekał na nią na dworcu autobusowym w Albany, kiedy jej taksówka podjechała do krawężnika. Pomyślała, że wcale się nie zmienił. Miał krótko przystryżone włosy, a twarz zaczerwienioną z zimna. Nie zauważyła żadnej zmiany.

„Życie z bombą w płucach – napisał do niej z akademika; kiedy dowiedział się o chorobie – nie różni się od normalnego życia. Nie możesz zrozumieć. Nie możesz czuć tego. Jednak wierzysz w to, gdyż powiedzieli ci o tym, a oni przecież wiedzą”

– Czy będzie mi wolno przebywać z tobą przez większość czasu? – zaczęła.

– Tak. Z wyjątkiem lunchu i godziny leżakowania. Ale doktor Lynn będzie patrzył przez palce na regulamin podczas twoich odwiedzin. Zatrzymasz się w jego domu, więc wszystko odbędzie się legalnie.

– Co odbędzie się legalnie? – nachyliła się, patrząc z ciekawością na niego.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz – roześmiał się. – Moje wizyty w twoim pokoju, ot co. Będziemy mogli przebywać razem aż do dziewiątej, kiedy muszę być w łóżku.

– Nie rozumiem przepisów, które obowiązują tutaj. Podają ci stale leki i wymagają kategorycznie, żebyś kładł się o dziewiątej do łóżka, a zarazem pozwolili ci pojechać do miasta i zgodzili się na mój przyjazd. Coś tu się nie zgadza.

– Cóż, wszędzie obowiązuje jakiś regulamin. Tutaj pozwalają nam ślizgać się na lodowisku i przymykają oko na wiele spraw. Oczywiście, z wyjątkiem spacerów!

– Dlaczego? – zapytała.

– Tutejszy regulamin mówi wyraźnie, że obie płci chodzą osobno na spacer. Nigdy nie spacerujemy razem z kobietami.

– Ale dlaczego? To głupie!

– Lekarze sądzą, że i tak zbyt szybko nawiązujemy romanse.

– Och, naprawdę? – roześmiała się.

– Jednak nie rozumiem tego. Pod żadnym względem.

– Och? – Jej ton zirytował go.

– Nie – rzekł poważnie. – Tutaj te spacerowanie nie rokuje na przyszłość, zresztą za bardzo komplikują życie. Posłuchaj na przykład, co zdarzyło się Lenny’emu.

– Masz na myśli tego boksera, o którym napisałeś w liście?

– Właśnie. Lenny zakochał się tutaj w pewnej Greczynce. Nawet poślubił ją w czasie krótkiego urlopu. Teraz wrócił z nią do sanatorium. Ona ma dwadzieścia siedem lat, a on dwadzieścia.

– Dobry Boże, dlaczego ją poślubił?

– Trudno powiedzieć. On sam mówi, że kocha ją. To wszystko. Jego rodzice są wściekli jak wszyscy diabli.

– Romans to jedna sprawa – powiedziała. – Ale dlaczego od razu podpisywać zobowiązanie na całe życie tylko dlatego, że jesteś samotny czy boisz się samotności. To coś zupełnie innego.

Obrzucił ją prędkim spojrzeniem.

– To brzmi zabawnie w twoich ustach.

– Możliwe – poddała się. – Ale właśnie tak to widzę. W ten sposób oceniam teraz wiele spraw.

Przyglądał się dziewczynie z takim zdziwieniem, że złagodziła napięcie, parszcząc nerwowym śmiechem, potem nie zdejmując rękawiczki, poklepała go lekko w policzek. Zrobiła to odruchowo, jakby wystukiwała obojętne *staccato*, ale nie zauważył różnicy. Z przerażeniem ujrzała, że jej spontaniczny gest uszczęśliwił go. W odpowiedzi Austin objął ją mocniej. Gdzieś z przodu autobusu wtargnął lodowaty podmuch mroźnego wiatru. Jeden z pasażerów otworzył okno.

– Boże, jak zimno! – wykrzyknęła Isobel, otulając się mocniej szalem.

Staruszek siedzący naprzeciwko usłyszał jej okrzyk i powiedział z uśmiechem.

– Tak, ktoś otworzył okno. Chciałbym, żeby je zamknięto. Niech ktoś zamknie to okno!
– Zamknij je! – szepnęła Isobel do Austina. – Spełnij prośbę tego staruszka!

Austin spojrział na nią przenikliwie.

– Czy ty chcesz, żeby je zaniknąć?

– Naprawdę nie przeszkadza mi otwarte okno. Lubię świeże powietrze. Ale ten staruszek chce, żeby je zamknąć.

– Zamknę okno dla ciebie, ale nie dla niego. Czy chcesz, żebym je zamknął?

– Sza, nie tak głośno – psyknęła, obawiając się, że staruszek usłyszy.

To było zupełnie niepodobne do Austina. Nigdy nie złościł się, a teraz wyraźnie rozgniewał się. Wsunął szczękę i zacisnął zęby. Rozzłościł się jak wszyscy diabli.

– W porządku – westchnęła. – Chcę, żebyś zamknął to okno.

Austin podszedł do pasażera, który siedział trzy miejsca przed nimi i poprosił go, by był łaskaw zamknąć okno. Wracając uśmiechnął się do dziewczyny.

– Zrobiłem to wyłącznie dla ciebie – podkreślił.

– To głupie – burknęła. – Dlaczego tak bardzo obchodzi cię ten staruszek? Co chcesz udowodnić?

– Czy widziałaś go? Czy widziałaś, w jaki sposób on patrzył na mnie? On mógł doskonale sam wstać i zamknąć to okno. Jednak chciał, żebym to ja zrobił.

– Ja również chciałam, żebyś to zrobił.

– To różnica. To ogromna różnica.

Umilkła, gdyż zrobiło się jej przykro wobec staruszka. Łudziła się, że nie usłyszał słów Austina. Rytmiczne kołysanie autobusu i ciepło sprawiły, że poczuła się śpiąca. Ciężkie powieki opadły, rozwarła je, ale opadły znowu. Ogarnęła ją fala senności, której poddała się.

Opierając głowę na ramieniu Austina, pozwoliła się ukołysać jadącemu równomiernie autobusowi. Fala ciepła sprawiła, że zdrzemnęła się i ocknęła się, gdy Austin powiedział jej łagodnie do ucha:

– Dojeżdżamy do przystanku! Oczekuje ciebie pani Lynn, a ja mam przepustkę do dziewczątej...

Isobel powoli otworzyła oczy i ujrzała znowu przygaszone światelka, pasażerów i staruszka na tylnym siedzeniu. Jej kark zeszywniał na ramieniu Austina, który wciąż obejmował ją.

– Nie widzę nic – powiedziała, przecierając zaparowaną szybę i wpatrując się w ciemność za oknem. – W ogóle nic nie widać!

Ciemność za oknem rozświetlały jedynie przednie światła autobusu. Smugi reflektorów kładły się na wysokich ośnieżonych poboczach ginąc w mroku drzew, w groźnej czerni gór.

– Za chwilę – obiecał. – Za chwilę wszystko zobaczysz. Już prawie jesteśmy. Podejdę do kierowcy i powiem mu, kiedy ma się zatrzymać.

Wstał i ruszył wąskim przesmykiem pośrodku autobusu. Pasażerowie zwrócili twarze w jego kierunku. Wszędzie ludzie gapili się na niego.

Isobel wyjrzała znowu przez okno. Z pogmatwanej ciemności wyłoniły się nagle prostokąty światła – okna domu z niskim okapem w sosnowym lesie.

Austin dał dziewczynie znak ręką, by ruszyła do drzwi. Zdjął już jej walizkę z półki. Isobel podeszła do niego ze śmiechem i kiedy stała w przejściu, autobus zakołysał się gwałtownie.

Potem nagle zahamował i drzwi rozsunęły się z dychawicznym wizgiem.

Austin zeskoczył z wysokiego stopnia w śnieg i wyciągnął ręce, by pomóc zejść dziewczynie. Kiedy Isobel wyszła z ciepłego wnętrza autobusu, uderzyło ją w twarz przenikliwe zimno, jak ostrze noża.

– Och, jaki wspaniały śnieg! Nigdy nie widziałam tyle śniegu naraz! – wykrzyknęła stojąc obok niego.

Kierowca autobusu usłyszał ją i roześmiał się serdecznie, zamykając drzwi od środka i

ruszając w dalszą drogę. Obserwowała przez chwilę, jak przesuwały się kwadraty zaporowanych okien autobusu, a wraz z nimi twarz życzliwego staruszka, który patrzył na nich z tyłu. Impulsywnie podniosła rękę i pomachała mu na pożegnanie. W odpowiedzi zasalutował jej.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał zdziwiony Austin.

– Nie wiem – roześmiała się. – Po prostu miałam na to ochotę. To wszystko.

Odrętwiała od długiego siedzenia w autobusie, przytupywała w miękkim, puszystym śniegu.

Przyglądał się jej uważnie, zanim powiedział:

– To właśnie tutaj! – wskazał płonące jasno okna domu z niskim okapem. – Pani Lynn stoi przy podjeździe. Sanatorium znajduje się tylko kawałek za zakrętem.

Podnosząc walizkę Isobel, ujął dziewczynę pod ramię i ruszyli pomiędzy wysokimi zwałami śniegu do domu w sosnowym lesie. Nad ich głowami migotały zimne i dalekie gwiazdy. Kiedy doszli do leśnego domku, drzwi otworzyły się i smuga światła przecięła śnieg.

– Witajcie!

Emmy Lynn oczekiwała ich w drzwiach. Miała błękitne, rozmarzone oczy i jasne włosy, które okalały jej gładką twarz. Była ubrana w czarne zwężone spodnie marynarskie i jasnoniebieską koszulę w kratę.

– Czekałam na was – cedziła słowa, a jej łagodny głos miał klarowność gęstego, kapiącego z wolna miodu. – Pozwólcie mi przenieść wasze rzeczy!

– Boże, ona jest prześliczna! – szepnęła Isobel do Austina, podczas gdy Emmy Lynn wieszala płaszcze w szafie w korytarzu.

– Dla ciebie jest żoną doktora – powiedział stanowczo Austin, spoglądając na nią przenikliwie.

Isobel zrozumiała, że wcale nie żartował.

Emmy Lynn wróciła do nich uśmiechając się marzycielsko.

– Przejdźcie do salonu i odpocznijcie przez chwilę. Ja pójdę na górę i poczytam sobie w łóżku. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, zawołajcie mnie!

– Mój pokój... – zaczęła Isobel.

– Będiesz spała u szczytu schodów. Wniosę zaraz twoją walizkę. Nie zapomnij zamknąć na klucz frontowych drzwi, gdy Austin już pójdzie!

Emmy Lynn odwróciła się i ruszyła w swych miękkich mokasynach cicho jak kot ku schodom.

– Och, prawie zapomniałam... – odwróciła się, szczerząc bielutkie zęby w uśmiechu. – W kuchni na piecyku jest gorąca kawa.

I śmignęła do swojego pokoju.

Niebieska wzorzysta tapeta na ścianie w korytarzu skończyła się nagle i weszli do długiego salonu, w którym dogasał ogień w kominku. Isobel natychmiast opadła na mięciutkie poduszki na wygodnej sofie, a Austin usiadł obok niej.

– Czy napijesz się kawy? – zapytał Austin. – Pani Lynn mówiła, że zostało trochę gorącej kawy w kuchni.

– Tak – odparła Isobel. – Tak, myślę, że powinnam napić się czegoś gorącego.

Austin wrócił po chwili, niosąc dwie parujące filiżanki i postawił je na stoliku.

– Ty także? – zdziwiła się. – Przecież nigdy nie lubiłaś kawy?

– Tutaj nauczyłem się pić kawę – rzekł z uśmiechem. – Czarną, taką jak lubisz, bez śmietanki i cukru.

Opuściła szybko głowę, by nie mógł spojrzeć jej w oczy. Wstrząsnęło ją to, że tak bardzo jej nadskakuje. Podniosła filiżankę, popijając powolutku gorący czarny płyn, nie odzywając się.

„Czytam książkę – napisał w jednym ze swoich ostatnich listów – w której bohaterami są pewien prosty żołnierz i dziewczyna w ciąży, która umiera i, och, myślę, że to ty jesteś tą nieszczęsną dziewczyną, a ja tym nikczemnym żołnierzem, i nie mogę przestać myśleć, jakie to byłoby okropne, gdyby nam przydarzyło się coś takiego.”

Zastanawiała się przez dłuższy czas nad tym, co napisał Austin – jak bardzo czuje się samotny, czytając tę książkę w swoim pokoju i zamartwiając się losem wyimaginowanego żołnierza i umierającej dziewczyny. Przedtem naigrawał się z niej, kiedy przejmowała się losem bohaterów książkowych. Tłumaczył jej, że to niemądre, bo przecież nie istnieją rzeczywiście, a zrodzili się jedynie w wyobraźni autora powieści. Zaskoczyło ją, że przejął się umierającą dziewczyną w książce. To było zupełnie niepodobne do Austina.

Dopili kawę równocześnie, przechylając filiżanki i sącząc ostatnie ciepłe krople. W kominku migotał wąty niebieski płomyk. W białym popiele dopalającego się polana wciąż żarzyły się czerwone węgielki.

Austin dotknął ręki dziewczyny. Isobel pozwoliła mu spleść palce z jej palcami, ale czuła, że jej ręka pozostała zimna i obojętna.

– Wiele rozmyślałem przebywając tutaj – powiedział powoli Austin. – Wiesz, że przeżyliśmy razem tak wiele...

– Tak – odrzekła czujnie. – Tak, wiem.

– Pamiętasz – zaczął – tę piątkową noc, gdy zabawialiśmy się w mieście zbyt długo i spóźniliśmy się na ostatni autobus. Musieliśmy zabrać się do domu z tymi zwariowanymi chłopakami, którzy podwieźli nas swoim wielkim gruchotem.

– Tak – odparła znowu, przypominając sobie, jak było wspaniale, a potem zranił ją tak bardzo. Wszystko, co mówił, raniło ją tak głęboko.

– Czy pamiętasz tego zwariowanego faceta – ciągnął dalej – na tylnym siedzeniu? Tego, który podarł na kawałeczki dolarowy banknot i wyrzucił go przez okno samochodu?

– Nigdy nie zapomnę tego! – powiedziała.

– Tej nocy widzieliśmy, jak rodziło się dziecko – mówił. – Byliśmy pierwszy raz w szpitalu. Miałaś włosy upięte pod białym czepkiem i biały fartuch. I takie tajemnicze i roziskrzzone oczy nad maseczką z gazy.

– Bałam się, że ktoś odkryje, że nie jestem studentką medycyny.

– Wbiłaś paznokcie do krwi w moją rękę, kiedy próbowali przywrócić dziecku oddech – ciągnął dalej. – Nie mówiłaś nic, ale twoje paznokcie rozorały mi dłonie, pozostawiając czerwone ślady w kształcie półksiężyca.

– To było pół roku temu.

– Nie o to mi chodzi. Podobały mi się te czerwone znaczki. Byłem dumny z nich.

– Nie powiedziałaś mi tego. Byłoby lepiej, gdybym wtedy o tym wiedziała.

– Nie mówiłem wtedy o wielu sprawach. Tutaj jednak przemyślałem wszystko. Przez cały czas, kiedy leżę w łóżku, przypominam sobie wszystko, co działo się między nami.

– To dlatego, że przebywasz tutaj już tak długo – powiedziała Isobel. – Kiedy wrócisz do Akademii Medycznej i znajdziesz się w trybach dawnego szybkiego życia, przestaniesz rozmyślać o tym wszystkim. Nie powinieneś roztrząsać tego wszystkiego, bo może ci to zaszkodzić.

– Mylisz się. Nie chciałem przyznać się do tego przez dłuższy czas, ale sądzę, że potrzebowałem czasu, by ogarnąć z dystansu nasze sprawy, zaszyć się gdzieś na uboczu i przemyśleć wszystko. Zaczynam się uczyć, kim jestem.

Patrzyła na dno pustej filiżanki po kawie, kręcąc bezmyślnie łyżeczką.

– Powiedz mi, zatem – rzekła – kim jesteś?

– Już wiesz – odparł. – Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny.

– Mówisz to tak pewnie. Ale ja nie jestem już tak pewna.

– Och, przecież wiesz dobrze. Widziałaś gnijącą ranę w moich płucach i wróciłaś, nie

zważając na wszystko. Ty zawsze wracasz.

– Co próbujesz mi powiedzieć?

– Czyż nie rozumiesz nic? – rzekł po prostu. – Mam na myśli to, że zaakceptujesz mnie, cokolwiek by się zdarzyło. Tak jak wtedy, gdy powiedziałem ci o Doris, a ty rozpłakałaś się i odwróciłaś ode mnie. Myślałem, że to koniec, kiedy tak szlochałaś wyglądając przez okno samochodu na rzekę i nie odzywając się do mnie.

– Pamiętam – powiedziała Isobel. – Wydawało się, że to już koniec.

– Pomimo to pozwoliłaś mi się pocałować. Wciąż płakałaś i twoje wargi były mokre i słone od łez. Pozwoliłaś mi się pocałować i wszystko było znowu jak dawniej.

– To było dawno temu. Teraz jest inaczej.

– Wiem, że teraz jest inaczej, gdyż nie chcę już więcej sprawić, żebyś płakała przeze mnie. Czy wierzysz mi? Czy rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć?

– Domyślam się, ale nie jestem pewna. Nigdy dotąd nie rozmawiałaś ze mną w ten sposób, wiesz. Zawsze kazałaś mi zgadywać, o co ci chodzi.

– To wszystko już się skończyło – rzekł. – A kiedy opuścę sanatorium, nic się nie zmieni. Wyjadę stąd i zaczniemy wszystko od nowa. Rok to znowu nie tak bardzo długo. Myślę, że leczenie nie potrwa dłużej niż rok, a potem wrócę.

Drodzy zmarli

– Nic mnie nie obchodzi, co na to powie Herbert – oświadczyła Nellie Meehan, wrzucając dwie łyżeczki cukru do herbaty. – Widziałam raz w życiu anioła. Była nim moja siostra Minnie, a wydarzyło się to tej nocy, gdy umarł Łukasz.

W czwórkę zasiedzieli się w ten listopadowy wieczór do późna wokół rozżarzonych węgla na kominku w niedawno nabytym domu Meehanów; Nellie Meehan, jej mąż Clifford i kuzyn Nellie, Herbert, mieszkający z nimi od przeszło dwudziestu siedmiu lat, od kiedy jego rudowłosa żona uciekła od niego podczas sianokosów. Była tam też Dora Sutcliffe, która wstąpiła do nich na filiżankę herbaty po drodze do domu na Caxton Slack. Wyszła właśnie od swej przyjaciółki Ellen, która dopiero co opuściła szpital i powracała do zdrowia po operacji katarakty.

Gasnący ogień jeszcze ogrzewał pomieszczenie, z odrapanego aluminiowego sagana buchała para, a Nellie Meehan wyjęła płócienny obrus haftowany ręcznie we fiołki i pąsowe maki, by uhonorować przyście Dory. Śnieżnobiała warstwa ciasteczek z porzeczkami oraz posmarowanych masłem grzanek piętrzyła się na talerzu pomalowanym w błękitne gałązki wierzby, a małą czarkę z rżniętego szkła wypełniała spora porcja agrestowego dżemu domowej roboty. Na zewnątrz noc była jasna i wietrzna, księżyc w pełni jaśniał wysoko na niebie, a świetlista mgła unosiła się z głębi doliny; górski potok toczył tam czarne i głębokie wody ponad spienionymi wodospadami; w przyszły poniedziałek minie tydzień, jak utopił się tam szwagier Dory. Dom Meehanów (odkupiony wczesną jesienią od starej panny, Katarzyny Edwards, po śmierci jej matki, Maisie, która trzymała się dzielnie do osiemdziesięciu sześciu lat) przywarł w połowie zbocza do stromego wzgórza porośniętego paprociami i jarzębinami o czerwonych koralach. Pagórek ten, spłaszczony na szczycie, rozciągał się ku dzikim i jałowym pustkowiom gęsto zarosłym wrzosami, gdzie grasowały krętorogie owce o czarnych pyskach i z obłędem w żółtych oczach.

Podczas tego długiego wieczoru zdołali już omówić okres pierwszej wojny światowej i różne koleje losu ludzi, którym się powiodło i tych, którzy zmarli. W odpowiednim momencie rozmowy Clifford Meehan wstał ze skrzypieniem butów i, jak to było w jego zwyczaju, wyjął z dolnej szuflady mahoniowej serwantki z porcelaną tekturowe pudełko zawierające pamiątki: medale, wstążki od orderów oraz podartą książeczkę wojskową, która opatrnościowo znajdowała się w jego kieszonce na piersi w momencie, gdy trafiła go kula. (Odłamki szrapnela wciąż jeszcze tkwiły między jej wyblakłymi stronicami.) Chciał pokazać Dorze Sutcliffe spłowiały żółtobrazowy dagerotyp, zrobiony w szpitalu na Boże Narodzenie przed zawieszeniem broni, na którym twarze pięciu młodych mężczyzn wciąż się uśmiechały, oświetlone bladym zimowym słońcem, które weszło i zaszło przed ponad czterdziestu laty.

– To ja – rzekł Clifford i, jakby objaśniając koleje losu postaci z jakiejś dobrze znanej sztuki, wskazywał kciukiem na różne twarze, jedna po drugiej, mówiąc: – Temu amputowano nogę. Ów został zabity. Ten nie żyje i tamten też nie żyje.

I tak gawędzili spokojnie, przywołując nazwiska żyjących i zmarłych, powtórnie przeżywając każde minione zdarzenie, jakby nie miało początku ani końca, lecz istniało żywe i zawsze aktualne od zarania czasu i miało w dalszym ciągu trwać, kiedy ich własne głosy już zamilkną.

– Jak była ubrana Minnie? – zapytała Dora Sutcliffe cichym, nabożnym tonem, zwracając się do Nellie.

Oczy Nellie stały się marzycielskie.

– Miała białą empirową sukienkę – odpowiedziała. – Zebraną w talii i bardzo suto

plisowaną. Pamiętam to dobrze. I skrzydła, ogromne białopióre skrzydła, które zakrywały obnażone koniuszki jej palców u nóg. O Łukaszu dowiedzieliśmy się z Cliffordem dopiero następnego dnia, a to zdarzyło się tej nocy, gdy miałam bóle i słyszałam stukanie. To w tę noc przyszła Minnie, prawda, Cliffordzie?

Clifford Meehan w zamyśleniu pykał fajkę, jego włosy lśniły srebrzyście w blasku ognia, spodnie i sweter ziały się w szarozielonkawą barwę. Gdyby nie nos, czerwony i naznaczony fioletowymi żyłkami, mogłoby się zdawać, że Clifford robi się coraz bardziej przezroczysty, a gzyms kominka, nad którym zawieszono mosiężne ozdoby uprzęży końskiej, miał lada chwila stać się widoczny poprzez jego szczupłą, zszarzałą postać.

– Ach – rzekł w końcu. – Cóż to była za noc! – Niezbite dowody daru jasnowidzenia jego żony napawały go przerażeniem i niejako onieśmielały.

Kuzyn Herbert siedział ponury i pełen niedowierzania. Duże, niezgrabne i pomarszczone ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż ciała. Jego umysł już od dawna skoncentrował się na tym odległym, słonecznym dniu, gdy po tygodniowej ulewie nareszcie zrobiło się ładnie; rodzina jego żony Rhody, która odwiedziła ich, by pomóc w sianokosach, pojechała wraz z Rhodą do Manchesteru, a Herbert został sam ze swym sianem. Wróciwszy o zmroku, zastali swój bagaż spakowany i ciśnięty w najdalszy kąt pastwiska dla krów. Wtedy oburzona Rhoda odjechała wraz z rodzicami. Uparty i dumny Herbert nigdy nie poprosił jej, by wróciła: równie uparta i dumna jak on, Rhoda nigdy nie powróciła.

– Obudziłam się... – oczy Nellie Meehan zamglily się jakby w wizyjnym transie, a głos nabrał rytmicznej melodyjności. Na zewnątrz szalał wiatr, a dom trzeszczał wstrząsany aż do fundamentów potężnym podmuchem powietrza. – Obudziłam się tej nocy ze strasznym bólem lewego ramienia, słyszałam wokół głośnie stukanie, i oto tam w nogach mego łóżka stała Minnie, blada, o słodkiej twarzyczce. Pamiętam, miałam jakieś siedem lat owej zimy, gdy ona zachorowała na zapalenie płuc; sypialiśmy wówczas w jednym łóżku. I gdy tak patrzyłam, zaczęła blednąć, blednąć, aż całkiem zniknęła. Wstałam bardzo ostrożnie, nie chcąc zbudzić Clifforda i zeszałam na dół, by zrobić sobie filiżankę herbaty. Ramię bolało mnie strasznie, a przez cały czas słyszałam ten stuk, stuk, stuk...

– Co to było – nalegała Dora Sutcliffe, szeroko otwierając wodniste, błękitne oczy. Słyszała opowieść o tym, jak Łukasz się powiesił, niezliczoną ilość razy i bardziej lub mniej wiarygodnych ust, lecz przy każdej nowej wersji poprzednie opowiadania zlewały się w jedno, tracąc na wyrazistości, i za każdym razem, w tym samym momencie pytała natarczywie i z zainteresowaniem, jakby stanowiła część jakiegoś wiecznie dopytującego się chóru:

– Co tak stukało?

– Z początku myślałam, że to stolarz w sąsiednim domu – rzekła Nellie Meehan – ponieważ o różnych porach dnia i nocy stukał młotkiem w swym warsztacie w garażu. Kiedy jednak wyjrzałam kuchennym oknem, było ciemno choć oko wykol. I wciąż słyszałam ten stuk, stuk... a przez cały czas ból pulsował w moim ramieniu. Siadłam więc w saloniku, próbując coś poczytać i musiałam się zdrzemnąć, gdyż Clifford zastał mnie tam rano, kiedy zszedł na dół, by udać się do pracy. Gdy się obudziłam, panował idealny spokój. Ból w moim ramieniu ustał, a listonosz przyniósł list w czarnej obwódce z wiadomością o Łukaszu.

– To nie był list – zaprotestował Clifford Meehan.

Zawsze w pewnym momencie swej opowieści Nellie wprowadzała tego rodzaju nieścisłości, improwizując szczegóły, które umknęły w danej chwili jej pamięci.

– Był to telegram. Przecież nie mogłabyś dostać listu tego samego ranka.

– A więc telegram – zgodziła się Nellie – który oznajmiał: „Przyjedźcie. Łukasz nie żyje”

– Powiedziałem wtedy do niej, że to musi być któryś z twoich wujów – wtrącił Clifford Meehan. – To nie może być Łukasz, ten tak młody i wyśmienity mistrz stolarski.

– Lecz to był Łukasz – rzekła Nellie. – Powiesił się tej samej nocy. Wyobraźcie sobie, że

jego córka Dafne znalazła go na stryszku.

– Coś podobnego – szepnęła Dora Sutcliffe. Jej ręka, jakby niezależna od nieruchomego i napiętego ciała, sięgnęła mechanicznie po nasmarowaną masłem grzanekę.

– To było podczas wojny – obwieścił nagle kuzyn Herbert grobowym tonem, jakby jego rzadko używany głos zardzewiał. – Za żadne skarby nie można było dostać drewna.

– Otóż, choć różnie w życiu bywa, to jednak chodziło o Łukasza. – Clifford Meehan postukał fajką o palenisko i wyjął woreczek z tytoniem. – Właśnie przystąpił do spółki z pewną firmą stolarską. Zaledwie kilka dni przedtem, zanim się powiesił, przystanął tam, gdzie budowano nowe bloki i powiedział do swego dawnego szefa, Dicka Greenwooda: „Ciekaw jestem, czy te mieszkania zostaną kiedykolwiek wybudowane”. Ludzie rozmawiali z nim tego wieczoru, gdy się powiesił, i nie zauważyli nic niezwykłego w jego zachowaniu.

– Wszystkiemu winna jest jego żona Agnes – stwierdziła Nellie Meehan, potrząsając ze smutkiem głową na wspomnienie losu swego zmarłego brata, a jej brązowe oczy przybrały łagodny wyraz jak u krowy: – Z pewnością Agnes go zabiła, zatrąła go swym jadem, nigdy nie miała dla niego dobrego słowa. Pozwoliła mu zadreć się, zadreć na śmierć. Od razu sprzedała jego ubrania na licytacji, a za uzyskane pieniądze, i te, które jej pozostawił, nabyła sklep ze słodyczami.

– Pamiętacie chyba – parsknęła Dora Sutcliffe – zawsze twierdziłam, że Agnes jest małostkowa. Kładła chusteczki na wadze, a wszystko w jej sklepie było co najmniej o kilka pensów droższe niż gdzie indziej. Przed dwoma laty kupiłam u Agnes tort na Boże Narodzenie i w następnym tygodniu spytałam o cenę takiego tortu w Halifax. Tort Agnes kosztował o pół korony więcej.

Clifford Meehan nabił świeżym tytoniem fajkę.

– Tego samego wieczora Łukasz przebywał ze swą córką Dafne w różnych pubach – Clifford mówił powoli; on też tak często opowiadał swój fragment tej historii i za każdym razem wydawało mu się, że zatrzymuje się w tym samym miejscu, oczekując, że jasne światło wypłynie z jego słów, by ukazać i wyjaśnić smutne i banalne okoliczności śmierci Łukasza. – Po kolacji Łukasz poszedł na górę, a gdy Dafne zawołała go, by z nią pojechał, zszedł dopiero po kilku minutach. Jego twarz była dziwnie nabrzmiąta, a usta fioletowe. A więc pojechali, by wypić kilka kufli jasnego piwa „Pod Czarnym Bykiem”, jak to było w zwyczaju Łukasza w czwartkowe wieczory, a gdy wrócili do domu, posiedział chwilę z Agnes i Dafne na dole, po czym oparł ręce na poręczy krzesła i dźwignął się; pamiętam, że w ten sposób wstawał już setki razy, i powiedział: „Pójdę już spać” Po chwili Dafne poszła na górę i zawołała do Agnes: „Taty nie ma na górze” Wtedy Dafne weszła po schodach prowadzących na stryszek, gdyż było to jedyne miejsce, gdzie jeszcze mógł się znajdować. I tam znalazła go wiszącego u belki sufitowej, martwego na amen.

– W środkowej krokwi była wywiercona dziura – wtrąciła Nellie. – Łukasz zawiesił tam huśtawkę, gdy Dafne była jeszcze dzieckiem i właśnie przez ten otwór przeciągnął linę, na której się powiesił.

– Na podłodze były widoczne ślady szurania nóg – relacjonował Clifford Meehan chłodnym, rzeczowym tonem sprawozdania w pożółkłej gazecie sprzed dziewięciu lat, przechowywanej w albumie rodzinnym Nellie. – Łukasz pozostawił te ślady, gdy po raz pierwszy próbował się powiesić jeszcze przed wyjściem z domu, lecz sznur był za długi, więc po powrocie skrócił go odpowiednio.

– Dziwię się, jak Łukasz mógł to zrobić – westchnęła Dora Sutcliffe. – Dziwię się też memu szwagrowi Geraldowi.

– Ach, Gerald był wspaniałym człowiekiem – stwierdziła Nellie Meehan współczującym tonem. – Masywny i czerwony na twarzy, tak krzepki, jak tylko można sobie wymarzyć. Jak Myra poradzi sobie teraz z prowadzeniem gospodarstwa, kiedy go zabrakło?

– Bóg raczy wiedzieć – powiedziała Dora. – Ubiegłej zimy Gerald wciąż wracał do

szpitala, gdyż chorował na nerki. Myra mówiła mi, że lekarz oznajmił mu, iż znów będzie musiał tam wrócić, gdyż nerki jeszcze nie funkcjonują jak trzeba. I Myra została teraz sama. Jej córka Beatrycze wyszła za mąż za kogoś, kto przeprowadza doświadczenia na krowach w Afryce Południowej.

– Dziwię się Nellie, że twój brat, Jake, jest tak wesoły od trzydziestu lat – dumał Clifford, podejmując wątek rodzinnych duchów, a głos jego był melancholijny, jak przystoi człowiekowi, którego dwóch krzepkich synów zostawiło na starość samego; jeden syn pojechał do Australii, by tam prowadzić fermę owczą, drugi udał się do Kanady wraz z rozkapryszoną sekretarką o imieniu Janeen. – Mając za żonę tę wiedźmę Esterę i jedyną ocalałą córkę Córę, dwudziestoosmioletnią i głupią jak stołowa noga. Pamiętam, jak Jake nas odwiedzał, zanim jeszcze poślubił Esterę...

– Owe dni aż skrzyły się od błyskotliwej i wesołej rozmowy – przerwała Nellie, a jej uśmiech był bledy i pełen smutku, jakby już stężały na jakiejś starej rodzinnej fotografii.

– ...Przychodził do nas, rzucał się na sofę i mówił: „Nie wiem, czy mam się ożenić z Esterą: ma słabe zdrowie i bezustannie mówi o swych dolegliwościach oraz o szpitalu”

I rzeczywiście, w tydzień po ślubie Estera znalazła się w szpitalu, a jej operacja kosztowała Jake’a sto funtów: odkładała ją aż do chwili, gdy się pobiorą, aby mąż pokrył wszystkie wydatki.

– Mój brat Jake był przez całe życie niewolnikiem swej przędzalni wełny. – Nellie Meehan zamieszała chłodną resztkę herbaty. – A teraz, gdy ma dużo pieniędzy i chciałby zwiedzić świat, jego żona Estera nie chce się ruszyć ani na krok z domu: tylko siedzi i łaje tę biedną, głupią Córę, i nawet nie pozwoli umieścić jej w jakimś przytułku, gdzie przebywałaby chociaż pośród istot do siebie podobnych. Estera wciąż pije ziółka i napary. Gdy spodziewała się Gabriela, jedynego udanego i normalnego dziecka z całej gromadki, który przyszedł na świat po upośledzonym, z wadą wymowy, Albercie, Jake podszedł do Estery i powiedział: „Jeśli tego też zepsujesz, zabiję cię”. A potem, zaledwie po siedmiu latach, zapalenie płuc zmiołło obu chłopców, zarówno tego zdrowego, jak i upośledzonego.

Nellie zwróciła tkliwe spojrzenie na czerwone, rozżarzone węgle na kominku, jak gdyby rzeczywiście serca tych wszystkich zmarłych tam płonęły.

– Lecz oni czekają. – Jej głos był cichy, niski i kojący jak kołysanka. – Oni powracają.

Clifford wolno pykał fajkę. Kuzyn Herbert siedział jak skamieniały; gasnący ogień grał światła i cieni modelował jego surowe rysy jak w skale.

– Wiem coś o tym – szepnęła Nellie jakby do siebie samej. – Widziałam ich.

– Chcesz powiedzieć – Dora zadrżała od lekkiego powiewu wnikającego przez framugę okiennej za jej plecami – że widziałas d u c h y, Nellie? – Pytanie Dory było retoryczne, nigdy nie miała dość opowiadań Nellie o jej sporadycznych kontaktach ze światem duchów.

– Raczej nie duchy, Doro. – Nellie Meehan odpowiedziała spokojnie, powściągliwie i z rezerwą, jak zawsze gdy mówiła o swoim niezwykłym darze – lecz e m a n a c j e. Nieraz, wchodząc do pokoju, czułam, że ktoś tam już jest, w naturalnej postaci. I często powtarzałam sobie: „Gdybyś tylko mogła widzieć trochę dokładniej, Nellie, zobaczyłabyś je tak wyraźnie, jak za dnia”.

– Mrzonki! – powiedział szorstkim głosem kuzyn Herbert. – Bzdury!

Jakby kuzyna Herberta nie było w pokoju, jakby nikt go nie słuchał, troje pozostałych nadal rozprawiało i gestykułowało. Dora Sutcliffe wstała z zamiarem odejścia.

– Clifford odprowadzi cię ulicą Slack – rzekła Nellie Meehan.

Kuzyn Herbert wstał bez słowa; plecy miał przygarbione, jakby przytłoczone jakimś tajemnym, wielkim i straszliwym cierpieniem. Odwrócił się od gromadki skupionej przy kominku i poszedł spać; jego kroki głucho i ciężko dudniły na schodach.

Nellie Meehan odprowadziła męża i Dorę Sutcliffe do drzwi i pożegnawszy się z nimi patrzyła, jak odchodzą w księżycową mglistość w podmuchach porywistego wiatru. Przez

chwilę stała w drzwiach, śledząc ich niknące w ciemności postaci. Czowała, jak chłód, bardziej zabójczy od ciosu noża, przenika ją do szpiku kości. Potem zamknęła drzwi i wróciła do salonu, by posprzątać po podwieczorku. Weszła do salonu i nagle stanęła jak wryta. Oto tam, przed wyściełaną wzorzystą sofą, o parę cali nad podłogą unosił się słup czegoś oślepiająco jasnego – nie tyle ucieleśnione światło w powietrzu, ile opar spowijający swojskie tło – mgiełka nad sofą i mahoniową serwantką z porcelaną, mgiełka poza nią oraz wieńce róż i niezapominajek na tapecie. I gdy Nellie Meehan patrzyła, opar zaczął przybierać jak gdyby swojskie kształty: blade rysy zakrzepły jak lód w parującym powietrzu, aż stały się tak rzeczywiste, jak sama Nellie Meehan. Nellie stała bez ruchu, patrząc spokojnym wzrokiem na świetlistą zjawę.

– Znam cię, Maisie Edwards – rzekła łagodnym, pojednawczym tonem. – Szukasz Katarzyny, lecz jej tu nie ma. Mieszka teraz daleko stąd, w Todmorden.

Po czym, jakby przepraszając, Nellie odwróciła się od jaśniejącej, wciąż unoszącej się w powietrzu postaci, by umyć i schować serwis do herbaty, nim wróci Clifford. Z uczuciem dziwnej, nie znanej dotąd lekkości w głowie spostrzegła pulchną, drobną kobietę z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, siedzącą nieruchomo i sztywno w fotelu na biegunach obok stolika na herbatę. I gdy tak Nellie patrzyła, poczuła, jak chłód przejmuje ją do głębi serca. Westchnienie ulgi, jak długo powstrzymywany oddech, wyrwało się z jej piersi, gdy ujrzała, że delikatny wzór błękitnych gałązek wierzby na talerzu przebija przez jej przezroczystą dłoń, a poza sobą usłyszała głos, który rozchodził się echem w wysoko sklepionym korytarzu, wypełnionym szeptem czekających i gwarzących z sobą cieni, jakby witała ją zadowolona gospodyni, która w końcu doczekała się spóźnionego gościa.

– A więc – rzekła Maisie Edwards – to już czas, Nellie.

Dzień sukcesu

Ellen szła do sypialni z naręczem świeżo złożonych pieluch, gdy zadzwonił telefon, rozsadzając ciszę rześkiego jesiennego poranka. Na chwilę zamarła na progu, chłonąc kojący widok, jakby miała go już nigdy nie zobaczyć – tapety w delikatny wzór kwiatowy, leśnozielone draperie ze sznurka, które własnoręcznie udzięgała, czekając na narodziny dziecka, staroświeckie drewniane łóżko odziedziczone po kochającej, lecz niebogatej ciotce, a w rogu, lecz zarazem na naczelnym miejscu, bladoróżowy kojec z sześciomiesięczną Jill, śpiącą smacznie.

Proszę, niech tak zostanie, błagała wszelkie służby Opatrzności, które mogły się znajdować w pobliżu. *Niech już zawsze będziemy tacy szczęśliwi wszyscy troje.*

Ocknęła się na ostry, nie znoszący sprzeciwu dźwięk dzwonka, położyła stos czystych pieluch na łóżku i poszła podnieść słuchawkę, z wahaniem, jakby niepozorny czarny aparat był narzędziem nieszczęścia.

– Czy zastałam Jacoba Rossa? – spytał chłodny, precyzyjny kobiecy głos. – Mówi Denise Kay. – Ellen zmartwiała, gdy wyobraziła sobie wytworną rudowłosą kobietę na drugim końcu linii. Zaledwie miesiąc wcześniej Ellen i Jacob spotkali się z tą błyskotliwą młodą producentką telewizyjną na obiedzie, aby omówić postępy Jacoba w pracy nad sztuką – jego pierwszą. Już wtedy Ellen żywiła sekretne pragnienie, żeby Denise została porażona piorunem albo uprowadzona do Australii, dzięki czemu nie doszłoby do intensywnego, intymnego okresu prób – autor i producent współpracujący przy narodzinach czegoś cudownego, należącego wyłącznie do nich.

– Niestety, Jacoba nie ma teraz w domu. – Ellen pomyślała, z lekkim poczuciem winy, że nie byłoby problemu pójść po Jacoba do mieszkania pani Frankfort, zwłaszcza że Denise Kay z pewnością ma mu do przekazania coś ważnego. Ukończony tekst leżał w jej biurze już prawie dwa tygodnie, a z tego, jak niecierpliwie Jacob zbiegał codziennie rano po schodach na spotkanie listonosza, wiedziała, jak bardzo pragnie poznać werdykt. Ale czyż nie obiecała, że będzie się zachowywać jak wzorowa sekretarka i nie pozwoli, aby ktokolwiek zakłócał mu godziny przeznaczone na pisanie?

– Mówi jego żona, panno Kay – dodała, być może ze zbędną emfazą. – Mam mu coś przekazać, czy powiedzieć, żeby do pani zadzwonił?

– Mam dobrą wiadomość – odparła rzeczowo Denise. – Mój szef jest zachwycony sztuką. Uważa, że jest trochę dziwna, ale szalenie oryginalna, więc bierzemy ją. Bardzo się cieszę, że będę jej producentem.

No to z głowy, pomyślała z rozpaczą Ellen, nie mogąc opędzić się od obrazu tej połyskliwej, miedzianowłosej głowy pochylonej wraz z ciemną głową Jacoba nad grubym, odbitym na ksero tekstem. *Początek końca.*

– To cudownie, panno Kay. Jacob będzie wniebowzięty.

– Świetnie. Jeśli można, chciałabym się z nim dziś spotkać na obiedzie, żeby omówić obsadę. Myślę, że dobrze byłoby wziąć jakieś znane nazwiska. Czy mogłaby go pani poprosić, żeby przyszedł po mnie do biura koło południa?

– Oczywiście...

– No to doskonale. Do widzenia pani. – Słuchawka opadła z kompetentnym stuknięciem.

Ogarnięta nieznanym i potężnym uczuciem, Ellen stała w oknie, a w uszach dzwonił jej pewny siebie, melodyjny głos, który informował o sukcesie tak od niechcienia, jakby oferował na sprzedaż kiść szklarniowych winogron. Gdy błędziła wzrokiem po zielonym placu w dole, gdzie łaciate płatany wystrzelały ku świetlistemu niebu przed nędznymi fasadami domów, z

jednego z drzew zerwał się liść, matowozłoty jak trójpensówka, i zakosami poszybował ku ziemi. O późniejszej porze dnia na placu robi się głośno od motocykli i okrzyków dzieci. Pewnego letniego popołudnia, siedząc na ławce pod platanami, Ellen naliczyła w polu widzenia dwudziestu pięciu nastolatków: rozchełstanych, zawadiackich, roześmianych – miniaturowe Narody Zjednoczone, kręcące się po porośniętych geranium trawnikach i wąskich uliczkach zamieszkałych przez koty.

Jakże często obiecywali sobie z Jacobem ów legendarny dom nad morzem, z dala od miejskich spalin i fabrycznych dymów – ogród, wzgórze, parów na wędrówki dla Jill, niespieszny, pieczołowicie smakowany spokój!

– Jak się tylko sprzeda jedna sztuka, kochanie – powiedział Jacob z przekonaniem. – Wtedy będę wiedział, że umiem to robić i będziemy mogli zaryzykować. – Ryzyko polegało oczywiście na ucieczce od tego obfitego źródła różnych fuch, zleceń i posad na część etatu, które Jacob mógł wykonywać ze względną łatwością, jednocześnie wykorzystując każdą wolną chwilę na pisanie. Byliby wtedy całkowicie zależni od przypadkowych dochodów z opowiadań, sztuk i wierszy. Wierszy! Ellen uśmiechnęła się mimowolnie, przypomniawszy sobie posępny okres zaległych rachunków przed urodzinami Jill, zaraz gdy się wprowadzili do nowego mieszkania.

Pewnego dnia pracowicie packała jasnopopielatą farbą po przygnębiających, nadzartych klepkach podłogi sprzed stu lat, gdy do drzwi zadzwonił listonosz.

– Ja zejść. – Jacob odłożył piłę, którą ciął deski na regały książkowe. – Ty nie powinnaś się męczyć po schodach, skarbie.

Odkąd Jacob zaczął wysyłać teksty do czasopism, listonosz, w swym granatowym mundurze, stał się potencjalnym Świętym Mikołajem. Każdego dnia, zamiast bezosobowych notek odmownych w odstręczających szarych kopertach, może się trafić zachęcający list od redaktora naczelnego, a nawet...

– Ellen! Ellen! – Jacob wbiegał po dwa stopnie naraz, wymachując otwartą kopertą lotniczą. – Udało się! Popatrz na to чудо! – Po czym rzucił jej na kolana bladoniebieski czek z żółtą obwódka, wystawiony na niesamowitą sumę dolarów (czarnym długopisem) i centów (czerwonym długopisem). Amerykański tygodnik ilustrowany, do którego miesiąc wcześniej zaadresowała kopertę, był zachwycony utworem Jacoba. Płacili funta za linijkę, a wiersz Jacoba był wystarczająco długi, żeby kupić – co? Gdy już się pośmiali nad możliwością pójścia do teatru, zjedzenia kolacji w Soho albo zakupu butelki różowego szampana, otulił ich opar zdrowego rozsądku.

– Ty zdecyduj – powiedział Jacob, wręczając jej z ukłonem czek, pstry i delikatny jak motyl. – Czego pragnie twe serce?

Ellen nie potrzebowała się zastanawiać. – Wózka – powiedziała miękko. – Dużego, pięknego wózka, w którym zmieszczą się bliźnięta!

Ellen igrała z myślą, by zachować informację od Denise do czasu, gdy Jacob zbiegnie na dół na obiad – nie zastałby już atrakcyjnej producentki w biurze – lecz natychmiast głęboko się zawstydzila. Każda inna żona byłaby cała przejęta i od razu zawołałaby męża do telefonu, naruszając wszelkie harmonogramy pisania ze względu na wyjątkowe wieści, albo przynajmniej popędziła do niego na górę zaraz po odłożeniu słuchawki, dumna, że przynosi taką dobrą nowinę. – *Jestem zazdrosna*, powiedziała sobie tępo Ellen. *Jestem seryjnym, odrzutowym dwudziestowiecznym modelem zazdrosnej żony, małodusznej i złośliwej. Jak Nancy Regan.*

Otrząsnęła się po tej myśli i poszła do kuchni zaparzyć sobie kawy.

Gram na zwłokę, pomyślała cierpko, stawiając czajnik na kuchence. A jednak czuła, na poły przesadnie, że dopóki będzie utrzymywać Jacoba w nieświadomości, nic jej nie grozi – nie grozi jej los Nancy Regan.

Jacob i Keith Regan chodzili razem do szkoły, służyli razem w Afryce i wrócili do

powojennego Londynu ze stanowczym postanowieniem, że będą unikać subtelnych pułapek prestiżowych posad w pełnym wymiarze godzin, które by ich odciągały od jedynej rzeczy, która się naprawdę liczy: od pisania. Czekając, aż zagotuje się woda, Ellen przypomniała sobie te ciężkie, lecz pełne wyzwania dni, kiedy wymieniały się z Nancy Regan przepisami na tanie potrawy, jak również sekretnymi troskami i zmartwieniami wszystkich żon, których mężowie są idealistami bez stałej pensji i wiążą koniec z końcem za pomocą nocnego stróżowania, ogrodnictwa i innych fuch, które się trafiają.

Keith wybił się pierwszy. Dzięki entuzjastycznym recenzjom wystawiona w podrzędnym teatrze sztuka wywindowała się na West End, po czym, jak jakiś sterowany szczęśliwą gwiazdą pocisk rakietowy, wylądowała na samym Broadwayu. To wystarczyło. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, promienni Reganowie zostali przetransportowani z nie ogrzewanego mieszkania z zimną wodą i makaronowo-ziemniaczaną dietą na bujne zielone łąki Kensingtonu, których tło stanowiła sędziwa winorośl, sportowe samochody i szykowne futra, a w końcu także bardziej ponury wystrój sądu rozwodowego. Nancy po prostu nie mogła iść w zawody – pod względem urody, pieniędzy, talentu, och, w ogóle wszystkiego, co się liczy – z uroczą blondynką, która zagrała główną rolę w sztuce Keitha na West Endzie i dodała jej takiego blasku. Nancy, w latach chudych cielecko zapatrzona w swego męża, zmieniła się w niespokojną, zgryźliwą, cyniczną i doświadczoną życiowo kobietę, która miała po uszy alimentów, ale nic poza tym. Keith poszybował oczywiście na orbitę dla nich niedosięglą. Jednak Ellen, czy to z litości, czy z niezniszczalnej sympatii, nadal widywała się z Nancy, która zdawała się czerpać z tych spotkań pewną przyjemność, jakby za pośrednictwem szczęśliwego, pobłogosławionego dzieckiem małżeństwa Rossów, mogła w jakiś sposób odzyskać najlepsze chwile swej własnej przeszłości.

Ellen postawiła spodek i filiżankę na blacie i miała sobie nalać dużą dawkę wrzącej kawy, gdy nagle zaśmiała się ponuro i wzięła drugą filiżankę. *Póki co nie jestem jeszcze porzuconą żoną!* Starannie zaaranżowała tanią, cynową tacę – serwetka, cukierniczka, dzbanuszek ze śmietanką, gałązka złocistych jesiennych liści obok parujących filiżanek – i ruszyła po stromych schodach do mieszkania pani Frankfort na najwyższym piętrze.

Wzruszona życzliwością Jacoba, który dźwigał jej na górę wiadra z węglem, wynosił śmieci i podlewał kwiaty, gdy wyjeżdżała z wizytą do siostry, ta wdowa w średnim wieku zaproponowała mu, by korzystał z jej mieszkania w ciągu dnia, gdy ona jest w pracy. – Dwa pokoje nie pomieszczą pisarza, jego żony i rozbrykanego dziecka! Niech i mój wdowi grosz ma swój przyczynek do rozwoju literatury światowej. – Ellen mogła więc pozwolić małej Jill, by raczkowała po całym domu i wrzeszczała tak głośno jak zechce, bez obawy, że zakłóci to koncentrację Jacoba.

Gdy dotknęła końcami palców drzwi pani Frankfort, otworzyły się szeroko, ukazując plecy Jacoba, jego ciemną głowę i szerokie ramiona, odziane w kudłaty rybacki sweter, pocerowany na łokciach więcej razy niż chciała pamiętać. Jacob pochylony był nad laskonogim stołem, na którym walały się pogryzmołone kartki papieru. Znieruchomiła, wstrzymując oddech, a Jacob roztargnionym gestem przecesał włosy palcami i odwrócił się w krzesło. Gdy ją zobaczył, twarz mu pojaśniała, a ona podeszła z uśmiechem i przekazała mu dobrą wiadomość.

Odprawiwszy Jacoba, świeżo ogolonego, uczesanego, i przystojnego w porządnie wyszczotkowanym garniturze – jego jedynym garniturze – Ellen poczuła dziwne rozczarowanie. Jill zbudziła się z porannej drzemki, gaworząca i jasnooka. – Dadada – bajdurzyła, gdy Ellen zmieniła jej mokrą pieluchę – darowawszy sobie zwyczajową zabawę w „gdzie jest mamusia?”, gdyż umysł miała zaprzątnięty czym innym – i włożyła ją z powrotem do kojca.

To się nie stanie od razu, rozmyślała Ellen, rozgniatając marchewkę, którą ugotowała dla

Jill do obiadu. *Ludzie nie rozchodzą się od razu. To się rozwinie powoli, jeden znaczący objaw po drugim, jak jakiś potworny, demoniczny kwiat.*

Oparłszy Jill o poduszki na łóżku do południowego karmienia, Ellen dostrzegła kątem oka maleńki, kryształowy flakonik francuskich perfum na toaletce, niemal zagubiony w chaosie puszek zasyпки, butelek z tranem i słoików z watą. Kilka ostatnich kropeł drogocennego bursztynowego płynu jakby mrugało do niej kpiąco – Jacob postanowił zaszaleć i resztę „wierszówki” po zakupie wózka przeznaczyć na coś mniej praktycznego. Dlaczego, nigdy całym sercem nie rozkoszowała się perfumami, tylko wydzielala je sobie kropla po kropli jak jakiś nieodtworzalny eliksir życia? Kobieta pokroju Denise Kay na pewno ma w budzecie znaczącą pozycję pod tytułem „czarujące pachnidła”.

Ellen posepnie karmiła Jill marchwianą papką, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. *Psiakość!* Bezceremonialnie zdeponowała Jill w kojcu i ruszyła ku schodom. *Jak na złość.*

W progu, obok batalionu nie umytych butelek po mleku, stał nienagannie ubrany mężczyzna. – Czy zastałem pana Jacoba Rossa? Jestem Karl Goodman, redaktor „Impactu”.

Ellen z respektem rozpoznała nazwę prestiżowego miesięcznika, który zaledwie kilka dni wcześniej przyjął trzy wiersze Jacoba. Zakłopotana świadomością, że bluzkę ma upaprana marchewką, a fartuch cały uświniony, Ellen wybąkała, że Jacoba nie ma w domu.

– Wzięliście kilka jego wierszy! – powiedziała nieśmiało, po czym dodała: – Byliśmy zachwyceni.

Karl Goodman uśmiechnął się.

– Chyba powinienem pani powiedzieć, w jakiej sprawie przyszedłem. Mieszkam w pobliżu i akurat byłem w domu na obiedzie, więc pomyślałem, że przyjdę osobiście...

Denise Kay zadzwoniła tego przedpołudnia do „Impactu” z pytaniem, czy nie chcieliby opublikować fragmentu lub całości sztuki Jacoba w okolicach premiery.

– Chciałem się tylko upewnić, czy pani mąż nie ma zobowiązań wobec jakiegoś innego pisma – dokończył Karl Goodman.

– Nie, nie sądzę – Ellen starała się mówić spokojnym głosem. – A właściwie wiem na pewno, że nie ma. Na pewno z chęcią da państwu sztukę do rozpatrzenia. Na górze jest egzemplarz. Czy przynieść panu...?

– Byłbym bardzo wdzięczny.

Gdy Ellen pobiegła do mieszkania, przywitał ją oburzony jazgot Jill. *Jeszcze chwileczkę, kochanie*, obiecała. Złapawszy za imponująco gruby tekst, który przepisywała na maszynie pod dyktando Jacoba podczas tak wielu pełnych nadziei podwieczorków, ponownie zbiegła na dół.

– Dziękuję pani, pani Ross. – Speszona Ellen poczuła, że bystre oczy Karla Goodmana lustrują ją od wieńca brązowych warkoczy po zdarte, choć wypolerowane czubki butów na płaskim obcasie. – Jeżeli przyjmujemy to do druku, a jestem pewien, że przyjmujemy, każę z góry wysłać czek.

Ellen spłoniła się, myśląc: Nie jesteśmy aż tak zdesperowani. Nie aż tak.

– Dziękuję bardzo – powiedziała.

Powoli wygramoliła się na schody, przy akompaniamencie piskliwych krzyków Jill. Już nie pasują. Jestem domowej roboty, przestarzała jak zeszłoroczna moda. Nancy na moim miejscu złapałaby za ten czek i pognęła do drogiego fryzjera, a po wizycie u kosmetyczki i zakupach na Regent Street wróciłaby do domu taksówką. Ale ja nie jestem Nancy. Stanowczo przywołała się do porządku, po czym przybrała macierzyński uśmiech i weszła do środka, aby dokończyć karmienia Jill.

Siedząc w poczekalni u lekarza, gdzie przysła z Jill na badania okresowe, Ellen przeglądała pisma kobiece i ponuro rozmyślała nad przepaścią, jaka ją dzieli od pewnych siebie, ustrojonych w futra, pióra i biżuterię modelek, wpatrzonych w nią zaskakująco

dużymi, wodnistymi oczyma.

Czy one kiedykolwiek wstają z łóżka w złym nastroju? – zastanawiała się. *Z bólem głowy... albo z bólem serca?* Usiłowała sobie wyobrazić baśniowy świat, w którym te kobiety budzą się rześkookie i rumianolice, ziewają rozkosznie jak kotki, a ich włosy od samego świtu wznoszą się cudownie nienaruszoną wieżycą w kolorze złotym, renetowym, granatowo-czarnym bądź też srebrnym z odcieniem chabrowym. Wstają, gibkie jak baleriny, aby przyrządzić mężczyźnie swego życia egzotyczne śniadanie – złocista jajecznica z pieczarkami albo krab na grzance – delikatnie stąpają po supernowoczesnej amerykańskiej kuchni, w mechatej podomce, snując za sobą jedwabne tasiemki, które powiewają jak sztandary zwycięstwa...

Nie, Ellen dokonała korekty scenariusza. Śniadanie zostanie im oczywiście przyniesione do łóżka, jak prawdziwym księżniczkom, na wystawnej tacy: chrupkie grzanki, mleczny połysk kruchej porcelany, ledwo zdjęta z kuchenki woda na herbatę z kwiatu pomarańczy... W ten bajkowy świat z papier-mâché wtargnęła nagle niepokojąca wizja Denise Kay. Najwyraźniej czuła się tam ona jak u siebie, z ciemnobrązowymi, niemal czarnymi oczami pod pyszną kaskadą miedzianych włosów.

Żeby chociaż okazała się głupia i powierzchowna: Ellen na chwilę poddała się spekulacjom niegodnym przedsiębiorczej żony. *Żeby chociaż...*

– Pani Ross? – Recepcjonistka dotknęła ją w ramię i Ellen wytrąciła się z marzeń. *Żeby chociaż Jacob był w domu, kiedy wrócę,* zmieniła swe zaklęcie na rokujące większe nadzieje, *z nogami na sofie, gotowy do podwieczorku...* Wziąwszy Jill na ręce, weszła za kompetentną kobietą w białym fartuchu do gabinetu lekarza.

Ellen otworzyła drzwi, udając przed sobą, że jest w radosnym nastroju. Jednak gdy tylko przeszła przez próg, ze śpiącą Jill w ramionach, ogarnęła ją fala rozczarowania. *Nie ma go...*

Mechanicznie położyła Jill do popołudniowego snu i bez większego entuzjazmu zaczęła wycinać krój dziecięcych śpiochów, które zamierzała zszyć tego wieczoru na ręcznej maszynie sąsiadki. Zauważyła, że pogoda sprzeniewierzyła się porannym obietnicom. Nawisie chmury spuściły swe brudne spadochronowe czasze nisko nad plac, toteż domy i prawie bezlistne drzewa wyglądały jeszcze bardziej obskurnie.

Kocham tę dzielnicę. Ellen zaczęła agresywnie ciąć nożycami ciepłoczerwone frotté. *Mayfair – phi, Knightsbridge – phi, Hampstead – phi...* zdmuchiwała srebrne kopuły luksusu jak dmuchawce na łące, gdy zadzwonił telefon.

Czerwony materiał, szpilki, papierowy wykrój i nożyczki sfrunęły na dywan, gdy gramoliła się z krzesła. Jacob zawsze dzwonił, gdy coś go dłużej zatrzymało, żeby się nie martwiła. W tym momencie każdy przejaw, choćby najdrobniejszy, tego, że o niej myśli, będzie dla niej miłszy niż woda dla zabłąkanego na pustyni wędrowca.

– Jak się masz, kochanie! – zabrzmiał w słuchawce beczelny, teatralny głos Nancy Regan.
– Jak leci?

– Świetnie – skłamała Ellen. – Wszystko dobrze. – Żeby się uspokoić, usiadła na skraju przykrytej perkalem skrzyni, która pełniła podwójną funkcję szafy garderobianej i stolika pod telefon. Nie ma po co przed nią ukrywać: – Jacobowi właśnie przyjęli pierwszą sztukę...

– Wiem, wiem.

– Ale skąd...? – *Jak ona to robi, że zawsze się dorwie do najdrobniejszej ploteczki? Jak zawodowa sroka, ptak zlej wróżby...*

– To proste, kochanie. Zobaczyłam Jacoba w Sali Tęczowej tête-à-tête z Denise Kay. Znasz mnie, musiałam się dowiedzieć, co to za okazja. Nie wiedziałam, że Jacob lubi martini. Już nie mówią o rudowłosych...

Pod wpływem odrętwiającego smutku, podobnego do gęsiej skórki, Ellen zrobiło się najpierw gorąco, a potem zimno. W świetle sugestywnych uwag Nancy nawet jej najgorsze

przecucia zdawały się naiwne.

– Jacob potrzebuje odetchnąć po tej całej pracy – odparta, starając się nie zdradzać ze swym niepokojem. – Większość ludzi ma przynajmniej wolne weekendy, ale Jacob...

Rozległ się dźwięczny śmiech Nancy. – Nie mów mi! Jestem największą specjalistką od nowo odkrytych dramaturgów. Wydajecie przyjęcie?

– Przyjęcie? – Po chwili Ellen przypomniała sobie okazałe tuczne ciele, jakie Reganowie zaserwowali dla uczczenia ich pierwszego naprawdę dużego czeku – znajomi, sąsiedzi i obcy tłoczyli się w ciasnych, zadymionych pokojach, śpiewali, pili i tańczyli aż noc zbłękitniała i nad krzywymi kominami zaświtało niebo, blade jak mokry jedwab. Jeśli butelki z budzącymi respekt etykietkami, krokiety z kurczaka od Fortnuma i Masona, duży talerz kawioru i importowane sery mogą być jakąś miarą sukcesu, Reganowie zagarnęli jego lwią część. – Nie, chyba nie będziemy robić przyjęcia, Nancy. Wystarczy, że będziemy mogli na czas zapłacić rachunki za gaz i prąd, no i dziecko tak szybko wyrasta z wyprawki...

– Ellen! – jęknęła Nancy. – Gdzie twoja wyobraźnia?

– Ja chyba nie mam wyobraźni... – wyznała Ellen.

– Wybacz, że jak zawsze wtrącam się do nie swoich spraw, ale brzmiś mi naprawdę smutno, Ellen! Może zaprosisz mnie na herbatę? Pogadamy sobie jak za dawnych czasów i od razu ci się poprawi humor...

Ellen uśmiechnęła się blado. Nancy jest nie do zdarcia, trzeba to jej przyznać. Kogo jakiego, ale jej naprawdę nie można oskarżyć o uzalanie się nad sobą. – Możesz się uważać za zaproszoną.

– Daj mi dwadzieścia minut, kochanie.

– Powiem ci, co powinnaś zrobić, Ellen... – Wytworna, choć trochę zbyt pulchna, w szykownym kostiumie i futrzanym toczku, Nancy zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu i sięgnęła po swoją trzecią filiżankę herbaty. – Mmm – mruknęła – lepsza niż Lyons. Powiem ci, co powinnaś zrobić – powtórzyła. – Wybacz mi szczerść, ale nie możesz się tak chować w sobie.

– Nie bardzo cię rozumiem. – Ellen pochyliła się nad Jill, popijając sok pomarańczowy, i podziwiała jej przejrzyste szare oczy. Zbliżała się piąta, a od Jacoba dalej ani słowa. – Co ja takiego w sobie chowam?

– Ależ tkwiącą w tobie kobietę! – powiedziała Nancy ze zniecierpliwieniem. – Musisz się sobie porządnie przyjrzeć w lustrze. Czyli zrobić to, czego ja nie zrobiłam, zanim było za późno – dodała pośpiesznie. – Żaden mężczyzna się do tego nie przyzna, ale każdy chce, żeby kobieta wyglądała na stuprocentową *femme fatale*. Kapelusz, kolor włosów, wszystko musi być takie jak trzeba. Teraz masz szansę, Ellen. Nie przegap jej!

– Nigdy nie było mnie stać na fryzjera – odparła Ellen potulnie. *Jacobowi podobam się z długimi włosami*, zaprotestował w niej cichy, sekretny głos. *Sam mi to powiedział, kiedy to było? Tydzień temu, miesiąc temu...*

– Pewnie, że nie było cię stać – naigrawała się Nancy.

– Bo poświęcałaś te wszystkie „zbytkowne babskie kaprysy” dla kariery Jacoba. Ale teraz on już jest ustawiony. Możesz wreszcie poszaleć, kochanie. Naprawdę poszaleć...

Ellen na chwilę wyobraziła sobie, że wychyla się uwodzicielsko z okna rolls-royce’a, zawinięta w filtra i inkrustowana bezcenną biżuterią, zielony cień do powiek obfitszy niż u Kleopatry, szminka w jednym z tych nowych, perłowych kolorów, kokieterijny toczek... Nie dała się jednak zwieść – przynajmniej nie na dłużej niż kilka sekund. – Ja się do tego nie nadaję.

– Och, bzdura! – Nancy machnęła połyskującą pierścieniami dłonią z karminowymi paznokciami, która przypominała Ellen łapę drapieżnika. – Na tym polega twój problem, Ellen. Brak ci pewności siebie.

- I tu się mylisz, Nancy – Ellen odzyskała trochę rezon.
- Mam pewności siebie za jakieś dwa szylingi.

Nancy wsypała sobie kopsiastą łyżeczkę cukru do kolejnej filiżanki herbaty. – Znów utyję – zganiła się, po czym trajkotała dalej nie patrząc na Ellen. – Nie dziwię się, że jesteś ździebko zmartwiona tą Denise. Przeszła już do legendy jako zawodowa rozbijaczka rodzin. Specjalizuje się w domatorach...

Ellen poczuła szarpnięcie żołądka, jakby płynęła statkiem podczas sztormu. – Jest mężatką? – zapytała mimowolnie. Nie chciała tego wiedzieć; Chciała tylko zakryć uszy dłońmi, uciec do kojącej sypialni z tapetą w róże i znaleźć ujście dla łez, które tężały jej w gardle w twardą grudę.

– Mężatką? – Nancy zaśmiała się cierpko. – Nosi obrączkę, co okazuje się świetną taktyką. Jej obecny facet – chyba trzeci z kolei – ma żonę i troje dzieci. Żona nie chce słyszeć o rozwodzie. Denise wszystko ustawia pod kątem kariery – zawsze znajdzie sobie faceta z powikłaniami, toteż nigdy nie kończy jako pomywaczka i kuchta... – Radosny szwargot Nancy zwalniał biegu, jak płyta gramofonowa, aż wreszcie zupełnie ustał. – Skarbie! – zawołała, zerknąwszy na twarz Ellen. – Jesteś blada jak papier! Nie chciałam cię zmartwić, naprawdę nie chciałam, Ellen. Pomyślałam sobie tylko, że powinnaś wiedzieć, z czym walczysz. Ja się dowiedziałam ostatnia, jak się sprawy mają z Keithem. W tych czasach – autoironiczny uśmiezek Nancy nie zdołał zatuszować drżenia w jej głosie – myślałam, że wszyscy mają złote serca, że wszystko odbywa się otwarcie i szczerze...

– Och, Nan! – Ellen impulsywnie położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. – To były dobre czasy, prawda? – Ale w jej sercu kołatał bezustannie nowy refren: *Jacob jest inny niż Keith, Jacob jest inny niż Keith...*

– „Nie zgaśnie tej przyjaźni czar...” Pch! – Delikatnym prychnięciem Nancy odrzuciła przeszłość i zaczęła naciągać swe klasyczne rękawiczki w kolorze lilaróż.

Gdy tylko za Nancy zamknęły się drzwi, Ellen zaczęła się zachowywać w dziwaczny i zupełnie dla siebie nietypowy sposób. Zamiast włożyć fartuch i krzątać się po kuchni, żeby zrobić kolację, wsadziła Jill do kojca z sucharkiem i jej ulubionymi zabawkami, po czym zniknęła w sypialni, gdzie zaczęła grzebać w szufladach komody, od czasu do czasu wydając z siebie znaczące mruknięcia, jak Sherlock Holmes w spódnicy, który wpadł na jakiś ważny trop.

Przecież mogą to robić co wieczór! powiedziała do siebie pół godziny później, gdy zaróżowiona i świeżo wykąpana wbiła się w szafirowe wdzianko z jedwabiu, które dostała kilka lat wcześniej na Gwiazdkę od krążącej po całym globie znajomej, dziedziczki dużej fortuny, lecz nigdy nie ubrała – ta zwiewna, delikatna szata zdawała się zupełnie nie na miejscu w jej zdroworoządkowym ś wiecie. Potem rozpięła wieniec warkoczy i ułożyła włosy w brawurowy zaimprovizowany kok, który chwiejnie umocowała kilkoma szpilekami. Kilkoma nieśmiałymi figurami walca przyzwyczała się do swej balowej pary wysokich czarnych szpilek, a na koniec spryskała się obficie ostatnimi kroplami francuskich perfum. Podczas tego rytuału stanowczo powstrzymywała się od patrzenia na krągłą tarczę zegara, którego krótsza wskazówka prześliznęła się już za wpół do szóstej. *Teraz pozostaje mi już tylko czekać.*

Weszła w lansadach do salonu, lecz poczuła nagłe ukłucie. *Zapomniałam o Jill!* Dziecko spało smacznie w rogu kojca do zabawy, z kciukiem w buzi. Ellen delikatnie podniosła ciepły mały kształt i zaniósła do sypialni.

Przy kąpieli świetnie się bawiły. Jill śmiała się i wierzgała, rozchlapując wodę po całym pokoju, lecz Ellen prawie tego nie zauważyła, gdyż myślała o tym, że Jill i Jacob mają identycznie ciemne włosy i spokojne szare oczy. Nawet gdy Jill kopnęła miskę z owsianką i poplamiała Ellen jej najlepszą czarną spódnicę, nie potrafiła się na nią rozgniewać. Wkładała

Jill łyżką do buzi gotowane śliwki, gdy usłyszała dźwięk klucza w zamku drzwi frontowych i zamarła. Lęki i frustracje całego dnia, na chwilę odsunięte na bok, znów opadły ją ze wszystkich stron.

– Przyjemnie zobaczyć taki widok po całym dniu ciężkiej pracy! – Jacob oparł się o framugę drzwi, rozjarzony tajemniczym blaskiem, który wcale nie zdawał się pochodzić od martini i rudowłosych kobiet. – Żona i córka czekają przy ognisku domowym, żeby powitać pana domu... – Jill uraczyła ojca okazałym uśmiechem od ucha do ucha, który składał się głównie z gotowanych śliwek. Ellen zachichotała, a jej rozpaczliwa modlitwa z tego ranka zdawała się prawie wysłuchana, gdy Jacob w dwóch krokach przeszedł przez pokój i objął ją serdecznie wraz z lepkiem talerzem śliwek.

– Mmm, kochanie, cudownie pachniesz! – Ellen komie czekała na wzmiankę o francuskich perfumach. – Taki wspaniały, domowej roboty melanz płyn do mycia naczyń i tranu. I do tego jeszcze nowa góra od pidżamy! – Przytrzymał ją czule na wyciągnięcie ramion. – Włosy masz upięte, jakbyś wyszła prosto z wanny.

– Ooooh! – Ellen wyrwała się. – Wy mężczyźni! – Ale ton ją zdradził. – Jacob ewidentnie widział w niej typ żony i matki, co jej jak najbardziej odpowiadało.

– A tak poważnie, kochanie, mam dla ciebie niespodziankę.

– Czy sztuka nie wystarczy na jeden dzień? – spytała Ellen rozmarzonym głosem, opierając głowę na jego ramieniu i zadając sobie pytanie, dlaczego nie ma najmniejszej ochoty urządzić mu sceny o obiad z Denise czy nieusprawiedliwioną nieobecność przez całe to mdłe, pełne zmartwień popołudnie...

– Dzwoniłem do agenta nieruchomości.

– Agent nieruchomości?

– Pamiętasz to dziwne małe biuro na uboczu, gdzie wstąpiliśmy się rozejrzeć podczas wakacji w Kornwalii, tuż przed urodzinami Jill...?

– Ta-ak – Ellen nie śmiała wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

– No więc on dalej ma do sprzedania ten dom nad zatoczką, który wynajmowaliśmy. Chcesz?

– Czy chcę?! – Ellen prawie krzyknęła.

– Liczyłem na to, że chcesz, po tym, jak się nim zachwyciłaś zeszłej wiosny – powiedział Jacob kokieteryjnie. – Bo umówiłem się, że zapłacę zaliczkę czekiem, który Denise Kay wręczyła mi przy obiedzie...

Jeszcze na chwilę wróciły złe przeczucia. – Nie musisz zostać w Londynie na próby...?

Jacob zaśmiał się. – Nigdy w życiu! Ta Denise Kay to kobieta, która wie, czego chce i idzie jak taran. Nie mam zamiaru wchodzić jej w drogę! Jest taka narwana, że wyłopała martini, które dla mnie zamówiła, gdy jej powiedziałem, że w dni powszednie nie tykam alkoholu...

Przerwał mu telefon, dziwnie stonowany, niemal melodyjny. Ellen wcisnęła mu Jill w ramiona, żeby zaśpiewał jej kołysankę i utulił do snu, po czym pobiegła odebrać.

– Ellen, kochanie. – Na hulaszczym tle jazzu i śmiechów głos Nancy Regan brzmiał chwiejnie i cienko jak cynfolia. – Zachodziłam w głowę, co by tu zrobić, żeby cię wyciągnąć z dołka i umówiłam cię z moim Roderigo na jedenastą w sobotę. To niesamowite, jak nowa fryzura potrafi postawić człowieka na nogi...

– Dziękuję, Nan – powiedziała łagodnie Ellen – ale będziesz musiała to odwołać. Mam dla ciebie wiadomość.

– Tak?

– W tym sezonie wracają warkocze. Ostatni krzyk mody dla prowincjonalnej pani domu!

NOTKA

Utwory zawarte w niniejszym wyborze zostały pierwotnie opublikowane w:

Część I:

The Day Mr Prescott Died i The Wishing Box – „Granta”, 1956 i 1957

The Fifteen-Dollar Eagle – „Sewanee Review”, 1960

The Daughters of Blossom Street i The Fifty-Ninth Bear – „London Magazine”, 1960 i 1961

Johnny Panic and the Bible of Dreams – „Atlantic Monthly”, IX 1968

Mothers – „McCall's”, X 1972 (pod tytułem *Mothers' Union*)

'Context' – „London Magazine”, 1962 (na zamówienie)

A Comparison – na zamówienie dla „The World of Books”, programu BBC Home Service, nadane w VII 1962, opublikowane w „The Listener”, VII 1977

Ocean 1212-W – nadane w BBC w 1962, opublikowane w „The Listener”, 1963

America! America! – „Punch”, IV 1963

Snow Blitz ukazuje się po raz pierwszy.

Część II:

Initiation – „Seventeen”, I 1953

Sunday at the Mintons – „Mademoiselle”, VIII 1952

Superman and Paula Brown's New Snowsuit – „Smith Review”, Wiosna 1955

In the Mountains – „Smith Review”, Jesień 1954

All the Dead Dears – „Gemini”, Lato 1957 (Podziękowania należą się Richardowi Steuble za znalezienie tego opowiadania.)

Day of Success – „Bananas”, 1976